

ADAM
WIŚNIEWSKI-SNERG
NAGI CEL



Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, tel. 012 251 25 10, www.wydawnictwoliterackie.pl

Adam Wiśniewski-Snerg

Nagi cel

Nagi cel

Copyright © by Adam Wiśniewski-Snerg

Redakcja: Paweł Dembowski

Korekta: Katarzyna Derda

Ilustracja na okładce: Jarek Kubicki

Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

ISBN 978-83-65074-08-9

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz

ul. Sosnkowskiego 17 m. 39

02-495 Warszawa

<http://www.bookrage.org>

Terrorysta

O terrorystach wiedziałem tyle, co wszyscy; zbyt wiele, by spokojnie spać w samolocie. Wolałem czytać o nich w prasie, niż być świadkiem ich działalności. Byłem pasażerem przezornym, toteż gdybym przewidział na lotnisku, że obok mnie usiądzie ten niezwykły człowiek, poleciałbym innym samolotem. Wtedy jednak nie poznałbym tajemnicy Dachy Świata i w ramach jednego życia nie dowiedziałbym się, czym w swej istocie jest śmierć.

Początkowo mój sąsiad zachowywał się zwyczajnie: miał swobodny sposób bycia, żartował i łatwo zawierał znajomości. Kiedy przy okazji wymiany zdań na temat stopniowania ambicji spytałem go, jak widzi własną przyszłość i czy jest optymistą, rzucił lekko: „Każda praczka nosi w swym tornistrze kalesony Napoleona”. Był bezpośredni i chętnie mówił o sobie, przy czym ironizował. Po obiedzie kupił butelkę whisky. Pijąc rozmawialiśmy o samobójcach.

— Zgodnie z zasadami kopytologii, to jest nauki o prawidłach stosownego zachowania się w towarzystwie, powinienem wreszcie się przedstawić — powiedział po czwartym kieliszku.

Nazywał się Nuzan (nie wyjaśnił, czy jest to jego imię, czy nazwisko) i miał trzydzieści jeden lat. Stwierdziłem, że jestem o siedem lat starszy. Z prędkością, do jakiej skłaniała mnie swoboda jego pytań w rozmowie na tematy osobiste, zdradziłem mu też pozostałe moje personalia. Ale on nie powiedział, co robi i gdzie mieszka. Zamiast tego wyznał, że samolotem leci po raz pierwszy w życiu, a kiedy spróbowałem mu zaimponować liczbą godzin spędzonych w powietrzu, dodał z dziwnym błyskiem w oczach: „I po raz ostatni!”.

— Skąd ta pewność? — spytałem.

Rozejrzał się ukradkiem. Miał poważną minę.

— Bo umrę tu za kilka minut — szepnął mi do ucha.

Tak zawarliśmy znajomość. Z całą pewnością skończyłaby się ona na tej tajemniczej zapowiedzi, gdybym zajmował fotel z prawej strony Nuzana. Przypadkiem jednak siedziałem po lewej jego stronie, co w krytycznej chwili okazało się bardzo istotne. Dzięki temu niepozornemu

faktowi znajomość nasza trwała jeszcze przez szereg niezwykłych dni.

Cóż jednak można powiedzieć człowiekowi prawie obcemu, ale zapewne zdrowemu fizycznie, gdy po kilku kieliszkach alkoholu i po godzinie spokojnego lotu na wysokości dziesięciu kilometrów pochyła się raptem nad uchem przygodnego znajomego, by szepnąć: „Umrę tu za kilka minut!”. Przyjazna atmosfera naszej rozmowy zobowiązywała mnie do życzliwej reakcji. Lecz po tak ponurym oświadczeniu mogłem podejrzewać, że trafiłem na godzinę urojeń jakiegoś szalonego psychopaty.

Chyba nie byłem dobrym psychologiem: wymamrotałem coś niezbyt sensownego, co ani pytaniem nie było, ani pocieszeniem. Słyszając to; mój dziwny sąsiad położył palec na ustach. Miał smagłą cerę południowca, czarne, dość długie włosy i ciemnobrązowe oczy. Wpatrywał się we mnie nieugiętym wzrokiem i obrócił kilka razy głową przecząco, jakby chciał rzec: „O co innego tu chodzi, mój drogi”. Nie podobała mi się ta jego mina: skupiona, nieledwie groźna w swej zaciętości. Wzruszyłem ramionami i wyjrzałem przez okienko.

Monotonny szum silników odrzutowca działał usypiająco. W górnej części przestrzeni poza szybami okienka rozciągało się czyste niebo. Miało barwę znacznie ciemniejszą od błękitu oglądanego z powierzchni ziemi. Patrząc w głąb tego nieba wyobrażałem sobie kolejne zmiany w jego kolorze od lazuru poprzez granat do czerni, na której tle w czasie dnia kosmonauci oglądają gwiazdy. Zapamiętałem dobrze ten zwyczajny obraz: daleko w dole kłębiły się śnieżnobiałe chmury. Cumulusy jak eksplodujące góry lodowe wznosiły się nad zawrotną przepaścią pod skrzydłem samolotu, Ziemi wcale nie było widać, zaś wszystkie obłoki oślepiały w ostrym blasku południowego słońca.

Kiedy oderwałem policzek od szyby, Nuzan przywołał stewardesę. Powiedział do niej coś, czego nie dosłyszała. Po chwili powtórzył, ale jeszcze ciszej. Przy akompaniamencie huk silników stewardesa uśmiechnęła się uprzejmie do mojego sąsiada. Aby zrozumieć, musiała pochylić się nad nim, lecz wtedy jakiś ostry cień zniekształcił rysy jej twarzy. Zasłoniła ją rękami.

Ta reakcja tak mnie zaintrygowała, że oparłem brodę na ramieniu domniemanego psychopaty, skąd miałem nadzieję zobaczyć, co jest przyczyną zamieszania. W tej samej chwili usłyszałem jego lodowaty

szept:

— Więc widziałaś już taką zabawkę?

Rewolwer leżał pod prawą dłonią na kolanach terrorysty. Raz jeszcze odwinął połę marynarki i kciukiem lewej ręki, w której trzymał koniec drutu w czerwonej izolacji, wskazał okolicę swej kieszeni na piersiach, gdzie ukrywał coś, czego z mojego miejsca nie było widać.

Bomba! — błysnęło mi! Czasami serce staje się obcym, wstrętnym i jakby zamkniętym w klatce piersiowej zwierzęciem, które z furją uwięzionego małego potwora szarpie i pożera wszystkie wnętrzności. Nie mogłem uwierzyć! Tyle razy dowiadywałem się o zamachach dokonywanych gdzieś w dalekim, więc ledwie realnym świecie, że myśl o bezpośrednim — osobistym — zagrożeniu nie chciała się precyzyjnie w mojej głowie przez ukształtowany środkami masowego przekazu obraz rzeczywistości, obiektywnie burzliwy wprawdzie, lecz z indywidualnego punktu widzenia przesycony niepoprawnym optymizmem i tak nieskończenie bezpieczny.

Widziałem plecy Nuzana i nie dostrzegłem, do jakiego zapalnika biegł przewód w czerwonej izolacji; w każdym razie na widok ładunku przegapionego przez kontrolę lotniska stewardesa zbladła. Podniosła ręce do ust, jakby chciała zdławić okrzyk przerażenia. Chyba ukończyła jakiś kurs pirotechniczny i umiała odróżnić bombę prawdziwą od pozorowanej. Gdy spróbowała wycofać głowę spomiędzy foteli, terrorysta brutalnie przytrzymał ją za włosy.

— Spokojnie! — szepnęła. — Nie wywołuj zamieszania w samolocie. Panika nie jest mi potrzebna, a wam mogłaby tylko zaszkodzić. Nikomu tu włos z głowy nie spadnie, jeżeli pilot spełni moje żądanie. Ja zaraz zginę tak czy inaczej, ale wy nie musicie umierać.

— Czego pan chce?

— Zanim zdarzy się nieszczęście, biegnij do kabiny pilotów. Zanieś kapitanowi kartkę z moim żądaniem. Spowoduję eksplozję, jeżeli w czasie kwadransa pilot nie spełni tego polecenia.

— O co panu chodzi?

— Nie twoja sprawa. Wystarczy, że pilot będzie wiedział.

— Wylądujemy tam, gdzie pan zechce — podsunęła w imieniu załogi.

— Oczywiście — dodałem z ulgą.

— Idioci! — syknął przez zaciśnięte zęby. Posłał mi spojrzenie, które mogłoby zabijać. — Lądujcie sobie choćby i na końcu świata. To mnie nic nie obchodzi, bo ja zaraz wysiadam.

Stewardesa zrobiła głupią minę.

— Tutaj?

— Nie. — Spojrzał w górę. — Tam!

Wskazał wzrokiem sufit odrzutowca.

— Samolot jest szczelny — zauważyła nieśmiało.

Roześmiał się z politowaniem. Wcisnął do jej ręki kartkę zapisaną drukowanymi literami i pchnął ją w kierunku kabiny załogi.

Pasażerowie kończyli obiad. Siedzieli spokojnie, ponieważ nikogo nie zaniepokoiła nasza ścisza rozmowa. Stewardesa szła między rzędami foteli. Po drodze zaglądała do kartki, kilka razy spojrzała za siebie, zwolniła, wreszcie zawróciła i stanęła przy terroryście. Wahala się ze łzami w oczach.

— Może dać panu lekarstwo na uspokojenie? Mam w apteczce doskonały...

— Jazda do kapitana! — zdenerwował się.

Odeszła niepewnym krokiem. Była już w połowie długości pokładu turystycznego, gdy zawołał grzecznie:

— Proszę pani!

Wróciła raz jeszcze.

— Czy nadal lecimy na wysokości dziesięciu tysięcy stu metrów?

Drgnęła, jakby to zdanie było jadowitym wężem. Powtórzył pytanie.

— Tak, proszę pana.

— Dokładnie?

— Raczej tak.

— Dla pewności powtórzę, o co mi chodzi. — Odetchnął głęboko. — Niech pilot podniesie maszynę o dwa kilometry wyżej. Żądam więc, aby poleciał na wysokość dwunastu tysięcy stu metrów. Jasne?

— Ale w jakim kierunku?

— To obojętne. Niech nie zmienia kierunku, tylko wysokość.

Nie zdejmując palca ze spustu bomby, wyrwał kartkę i ręki stewardesy i grubym pisakiem podkreślił na niej liczbę „12.100 m”.

— Chyba to jest wykonalne — wtrąciłem się. — A co będzie potem?

— Jeżeli kapitan źle oceni wysokość, wysadzę samolot.

— A jeżeli dobrze ją oceni?

— Wówczas po upływie sekundy będzie mógł powrócić do poprzedniej wysokości i kontynuować lot zgodnie z wytyczonym kursem.

Stewardesa zniknęła za drzwiami przedziału nawigacyjnego. Wariat patrzył przed siebie kamiennym wzrokiem. Nie śmiałem odezwać się do niego, bo każda uwaga mogłaby wywołać jakąś nieprzewidzianą reakcję. Zresztą o naszym losie decydowała teraz ręka pilota spoczywająca na wolancie.

Samolot leciał bez wyraźnych wstrząsów, trwał w przestrzeni, pozornie nieruchomo względem dalekich obłoków. Po kilku minutach niepewności poczułem, że zaczynamy się wznosić. Nie odrywałem twarzy od okienka. Odniosłem wrażenie, że silniki wyją głośniejsze: nad zwyczajnym hałasem dominował wysoki, niepokojący ton.

Wariat nie dawał znaku życia. „Wyrwę mu tę bombę” pomyślałem, zdecydowany już, gdy nagle w głośnikach zabrzmiał drżący głos stewardesy:

— Lecimy na wysokości dwunastu tysięcy stu metrów. Temperatura za...

Na dachu świata

Bywa, że dwadzieścia lat odmierzone cyklami pustki codziennego bytowania mniej w życiu znaczy niż jedna, powstrzymana w biegu i ścieśniona do granic wytrzymałości sekunda, o którą pod wpływem olbrzymiego napięcia w przyśpieszonym pędzie czasu — jak o zaporę na drodze losu — rozbija się bezradna świadomość ludzka i która gradem ostrych ułamków na jawie i we śnie zasypuje godziny pozostałej części życia.

Taką właśnie, niezwykle długą sekundę zaczął odmierzać zegar pokładowy samolotu poczynawszy od chwili, gdy po słowie „za”, wypowiedzianym przez stewardesę, gwałtownie zwróciłem twarz w stronę szalonego terrorysty. W pierwszym jej ułamku zobaczyłem rewolwer na wysokości ucha mojego sąsiada, który przyłożył lufę do prawej swej skroni, w drugim — świadom faktu, że linia strzału poza jego głową przebiega też przez moje czoło, pomyślałem „koniec”, w trzecim — szybkim skłonem tułowia spróbowałem usunąć głowę, lecz już dostrzegłem ruch palca na spuście rewolweru, wreszcie w ostatnim ułamku tej — niezmiernie długiej sekundy wewnątrz samolotu znikło, zaś jego miejsce zajęła lodowata, zalana słonecznym światłem przestrzeń, w której pod rozległym błękitem nieba i tuż ponad gładkim lustrem bezkresnego oceanu z wielką prędkością mknęło obok mnie drugie nagie ludzkie ciało.

Samolot znikł gdzieś; jeszcze przez moment — obaj bez ubrań — trwaliśmy w takich samych jak poprzednio pozach, jakby nasze ciała, zastygłe w pozycji siedzącej i zawieszzone w pustce, czekały na powrót nieobecnych foteli: on trzymał zaciśniętą pięść przy swojej skroni, a ja — pochylając się przed nim — szukałem palcami tego miejsca na czole, którędy wpadła mi do głowy kula.

Po chwili cios wichru wytrącił nas z równowagi. Koziółkując spostrzegłem wielki dysk, który wynurzył się z powierzchni oceanu i z niewiarygodną prędkością pomknął na spotkanie z nami. Zaledwie zdążyłem odetchnąć i stwierdzić, jak lodowate i rozrzedzone jest powietrze na tak znacznej wysokości, gdy latający dysk dogonił nas i

wchłonął szybko do swego ciepłego wnętrza.

Wpadliśmy do środka przez otwór, który natychmiast zamknął się za nami. Zagadkowy pojazd leciał bez załogi, ale manewrował w przestrzeni tak precyzyjnie, jakby jego ruchami sterowała zdalnie jakaś odległa stacja. W czasie hamowania wielka siła bezwładności przycisnęła nas do ściany wysłanej elastycznym materacem.

Samobójca uśmiechnął się do mnie. Powiedział „przepraszam”, po czym mrugnął porozumiewawczo. Dzwoniło mi w uszach jakieś jego zdanie, ale byłem oszołomiony i nic nie pojmowałem w zamęcie: minęło jeszcze wiele minut, nim sens tamtej śmierci i nowego życia zaczął wolno docierać do mnie i zanim zrozumiałem, że słowem „przepraszam” Nuzan skwitował nieumyślne zabójstwo.

Pojazd unosił się nad powierzchnią oceanu. Od lustra wody oddzielała go bezkresna szyba. Wylądowaliśmy na niej w jakimś płytkim zagłębieniu. Na tablicy obok nas zaświecił się powtórzony w czterech językach napis: „Nie opuszczać kabiny do chwili przybycia ekipy ratunkowej”.

Nuzan zlekceważył to ostrzeżenie: pochwyił ze stosu dwa lekkie koce, nacisnął guzik przy kłapie i śmiało wyskoczył przez otwór w podłodze. Idąc jego śladem znalazłem się dwa metry niżej — na twardej granatowej płaszczyźnie, która z góry — przez szybę — wyglądała jak powierzchnia wody. Płaszczyzna ta była ogromna. Nie widziałem jej granic: lśniła w blasku słońca pod doskonale czystym lazurowym niebem i rozciągała się we wszystkich kierunkach, wszędzie jednakowo gładka — aż do dalekiego widnokręgu.

Jednak ten podniebny taras nie był doskonale pusty: tu i ówdzie, w znacznych na ogół odstępach, kręciły się po nim jak zjawy dziwnie ubrane postacie ludzi. Pojawiały się i znikwały. Wynurzały się z otworów rozmieszczonych na powierzchni i po kilkunastu krokach bliżej lub dalej rozpląwały się w przestrzeni.

Staliśmy w okrągłym cieniu rzuconym na taras przez pojazd zawieszony tuż nad naszymi głowami. W cieniu było chłodno. Nuzan podniósł jeden z koców i otulił się nim szczelnie. Podając mi drugi, wskazał dno tajemniczego wehikułu.

— Nic nie ryzykowałem... — Drgnął. Spojrzał w dal, wyskoczył z cienia i zapatrzony w jakiś punkt na trasie odszedł szybko od pojazdu.

Idąc, wpatrywał się uważnie w płaszczyznę pod naszymi nogami, jakby czegoś na niej szukał. — Nic nie ryzykowałem — powtórzył, gdy zbliżyłem się do niego. — Poszło jak po maśle, chociaż w przypadku większych katastrof tamte karetki zewnętrznego pogotowia ratunkowego nie są w takim stopniu niezawodne, jak systemy pogotowia wewnętrznego. W ubiegłym roku po eksplozji samolotu na wysokości trzynastu kilometrów nie zdążyły wyłapać wszystkich pasażerów.

Szliśmy między dwiema liniami namalowanymi na płaszczyźnie, którą z obu stron pokrywały różnobarwne rysunki.

Przystanął.

— Zajęte — szepnął cicho, jakby do samego siebie. — Dranie, wciskają się w każdą szczelinę jak mrówki. Dziewięćdziesiąt kanałów w jednym bloku i wszystkie zatkane! — Rozejrzał się wokoło. — Może tam.

Nie mogłem wydobyć głosu.

— To był doskonały pomysł — podjął. Pociągnął mnie za róg koca. Pochylił się nad szeregiem pól wypełnionych niezrozumiałymi znakami i przeszedł na drugą stronę wytyczonego liniami chodnika. — Tylko nie wzięłem pod uwagę twojego towarzystwa. Ale stało się! Teraz, jeżeli, nie masz nic przeciwko temu...

— Gdzie my jesteśmy? — spytałem wreszcie.

— Naprawdę nie wiesz?

— Nie.

— Poczekaj.

Szedł po okręgu wielkiego koła. Jego wnętrze wypełniał labirynt geometrycznych figur, na których błyszcząły wielocyfrowe liczby. Cyfry gasły, kiedy mijał rozplanowane na płaszczyźnie działki.

— Tu też zajęte — mruknął.

— Więc gdzie? — powtórzyłem.

— Na Dachy Świata — odparł obojętnym tonem. — Nie byłeś tu nigdy?

— Na dachu?

Wzruszył ramionami.

Moje pytania przeszkadzały mu i nudziły go najwyraźniej. Pochylił się nad jasnozielonym prostokątem. Przez chwilę oglądał go z uwagą, jakby studiował plan miasta. Nie odrywając palca od wykresu potwierdził roztargnionym głosem:

— Stoimy na Dachy Świata.

— Ale co to jest?

— Tak nazywa się zewnętrzna powłoka, która na wysokości dwunastu kilometrów otacza całą kulę ziemską.

— Otacza Ziemię?

— Może raczej należałoby powiedzieć: pokrywa ją. Bo wszystkie lądy i morza są ciasno zabudowane aż do wysokości dwunastu kilometrów. Więc znajdujemy się na najwyższej kondygnacji gmachu, który pokrywa ziemski glob.

Cofnąłem się.

— Jak to?

— Stój! — krzyknął.

Poczułem na plecach uderzenie bicia i dreszcz, jakbym wpadł na druty pod wysokim napięciem.

— Ani kroku dalej! — Obiegł sąsiedni sektor i podał mi rękę. — Co za ofiara! Trzeba cię pilnować jak dziecka. Nie wolno przekraczać tej linii. Jasne?

Cios niewidzialnej przeszkody zwałił mnie na kolana. Nie opodal nas zaświecił pomarańczowy trójkąt. Bliżej, poza szachownicą fioletowych prostokątów, z okrągłego otworu w tarasie wynurzył się jakiś mężczyzna. Stał zwrócony tyłem do nas.

Nuzan położył palec na ustach.

— Wskakujemy do jego kanału — szepnął mi do ucha. — Gdyby się rozpychał, wyrzucimy go. Prędko!

Zerwałem się z miejsca i posłusznie pobiegłem za Nuzanem w kierunku trójkątnego pola. Lecz nim tam dotarliśmy, mężczyzna uprzedził nas: wszedł na zielony numer i znikł.

Mój niezwykle towarzysz raz jeszcze pochylił się nad rysunkami pokrywającymi powierzchnię tarasu. Przy latającym dysku kręcili się ludzie ubrani w białe fartuchy. Jeden z nich patrzył w naszą stronę, drugi — mówiąc coś do niego, gorączkowo gestykulował.

— Zatrzymajcie się tam! — zawołał. — Kto wam pozwolił opuścić karetkę?

Chciałem podejść do pojazdu, lecz Nuzan pochwycił mnie za rękę i pociągnął w przeciwną stronę.

— Nie dyskutuj z nimi — ostrzegł. — Teraz nie mamy już ani chwili

do stracenia. Musimy wybrać cokolwiek. Może tutaj... — zatrzymał się — Siedemdziesiąty ósmy kanał jest wolny. Trzeba zaryzykować. Uwaga!

Przeprowadził mnie przez czerwoną linię do wnętrza małego kwadratu, którego powierzchnię wypełniały niezrozumiałe znaki. Jeszcze przez sekundę widziałem dookoła siebie bezkresną płaszczyznę Dachy Świata. Po chwili jej miejsce zajął inny, zaskakujący obraz.

Widma stereonu

Słoneczny dzień zastąpiła noc. Z ciemności wyłoniły się setki twarzy oświetlonych reflektorami. Usłyszałem zgiełk i grzmot oklasków przepełnionej widowni. Zebrani pod kopułą ludzie skandowali nasze nazwiska:

— Nuzan, Keys, Suchary!

Staliśmy pośrodku wielkiego amfiteatru, w jego najbardziej eksponowanym miejscu, gdzie koncentrowały się wszystkie światła. Okrąglą scenę obok nas zajmowała orkiestra. Jej dyrygent pochylał się w niskim ukłonie. Na oddzielnym pomoście wahała się tanecznym krokiem grupa dziewcząt, które nuciły jakiś refren.

W strumieniu kolorowych reflektorów stroje solistów wyglądały równie efektownie jak scenografia wnętrza sali: dziewczyna stojąca między nami ubrana była w długą wiśniową sukienkę, my zaś mieliśmy na sobie olśniewająco białe spodnie i srebrne kamizelki na czarnych jak sadze koszulach. W rękach trzymaliśmy gitary.

Gdy natężenie hałasu osiągnęło punkt kulminacyjny, z tunelu wiodącego na scenę wyszła para konferansjerów. Kobieta uśmiechnęła się do widzów; jej partner zbliżył do ust mikrofon.

Z pierwszego rzędu odezwał się donośny głos:

— Zagrajcie nam jeszcze raz, Kochane To-tu-to-tamy!

— Serdecznie państwa przepraszam — powiedział konferansjer. — Niestety, grupa „To tu — to tam” nie będzie już dzisiaj śpiewać.

— Nuzan, Keys, Suchary! — skandował tłum.

— To tu — to tamy!

— Proszę o chwilę uwagi.

Salę wypełniły gwizdy. Większość zebranych stanowiła młodzież. Chłopcy wskakiwali na siedzenia foteli, wrzeszczeli lub tupali nogami, nastolatki piszczały przeraźliwie. Dopiero po minucie wzmocniona siecią potężnych głośników uprzejma prośba o ciszę ostudziła nieco zapal szalejącej widowni. Para konferansjerów powróciła do niewdzięcznej roli strażników porządku. Teraz mężczyzna uśmiechał się grzecznie, podczas gdy jego asystentka próbowała przemówić do rozsądku naszych

nieprzejednanych wielbicieli:

— Dobrze państwo wiedzą, że regulamin festiwalu nie przewiduje możliwości bisowania w dniu konkursowym. Nie możemy robić wyjątku nawet dla największych ulubieńców publiczności!

Gdy konferansjer zapowiadał występ następnego zespołu, Keys (bo tak chyba — według skandowanych przez tłum okrzyków — nazywała się stojąca między nami dziewczyna) ukloniła się po raz ostatni i zeszła ze sceny w głąb tunelu prowadzącego na zaplecze amfiteatru. Nuzan roztropnie deptał jej po piętach. Miał wesołą minę, idąc za nim, zostawiłem gitarę w kącie ciemnego korytarza, przy czym odetchnąłem z ulgą, bo choć instrument ten nie przeszkadzał mi w ukłonach przed kamerami telewizji rozstawionymi w kilku punktach sali, gdyby doszło do bisu, nie wiedziałbym, jak go trzymać.

— Chłopaki — odezwała się do nas Keys, kiedy wtoczyliśmy się za nią do studia zajmowanego przez inną, oczekującą na swój występ grupę. — Londyn jest bajeczny nocą! Wypuszczamy się?

Do studia zajrzał jakiś czarny typ.

— Ja najmocniej pytać o wielka pan Nuzan i wielka pan Suchary! — zawołał, przekrzykując śpiewających piosenkarzy.

Perkusista jęknął nad kotłami. Dał znak innym, by przestali grać.

— Co tam?

— Moja pan, reżyser festiwalu, mieć dobry interes i prosić wasza do swój gabinet. Być wielka pieniądz, ach, za bardzo wielka!

— A miasto? — przypomniała Keys. — Chciałabym zwiedzić Londyn w waszym towarzystwie.

Nuzan pocałował ją w czoło.

— Wciągaj portki, mała, i nie przejmuj się. Palniemy temu reżyserowi nasze warunki i za trzy minuty wdepniemy tutaj po ciebie.

Murzyn zaprowadził nas do drugiego skrzydła gmachu. Po drodze milczał. W pewnej chwili pchnął jakieś drzwi, poza którymi panował mrok.

— Wejść najmocniej uprzejmie. — Wskazał w głąb ciemności. — Tu lampa zrobić pstryk. — Puknął w futrynę drzwi. — Wasza zaczeka jedna moment, to ja poleciał do moja pan, a ona biec tu szybko, oj, jak bardzo szybko! Ona zacierać ręka, bo czuć interes i wielka pieniądz.

— Trzymaj. — Nuzan wcisnął do garści Murzyna dolara

wygrzebanego z kieszeni. — Już my mu damy zarobić!

Poklepał po ramieniu naszego przewodnika i pierwszy przekroczył próg. Szukając na ścianie elektrycznego kontaktu, odniosłem wrażenie, że w pokoju przebywają jacyś ludzie. W powietrzu unosił się dym ze spalonych liści marihuany. Charakterystyczny zapach czuć było bardzo wyraźnie. Dostrzegłem żar papierosa i usłyszałem szept: męski głos nakazywał ciszę, ktoś inny mówił w języku włoskim, co mnie zastanowiło, bo dotąd wszyscy tu rozmawiali po angielsku.

Nagle trzasnęły drzwi. Ktoś unieruchomił klamkę od strony korytarza. Potrąciłem Nuzana błędzącego w ciemności.

— To pułapka — szepnął.

W tej samej chwili poczułem na ramionach kilka par rąk, które porwały mnie w głąb pokoju i powaliły na podłogę. Jakaś koścista dłoń zakneblowała mi usta. Słyszałem przekleństwa wykrzykiwane po włosku, brzęk tłuczonych naczyń, odgłosy przewracanych krzeseł i szamotania dobiegające z miejsca, gdzie Nuzan zmagał się z innymi napastnikami.

Najgorsze było ukłucie igły: poczułem je na przedramieniu ręki przyciśniętej do podłogi kolanami jednego z przeciwników. Przestraszyło mnie ono bardziej niż cios noża. Jednak po kilkunastu przyspieszonych uderzeniach serca ciało zalała mi fala przyjemnego odprężenia.

Wyspa

Czas zatarł większość szczegółów tej długiej podróży. Nie straciłem przytomności. Lecz prawie wszystko, co się ze mną działo w czasie kilku następnych godzin, przypominało halucynacje pod wpływem silnego narkotyku i z pewnością było wywołane jego działaniem. W obrazie narkotycznego snu pewna liczba sytuacji przeplatanych marzeniami wyglądała jednak dość prawdopodobnie, to znaczy nosiła cechy rzeczywistych zdarzeń; zresztą fakty poznane wkrótce potwierdziły ich autentyczność.

Przechowałem więc w pamięci obraz zatłoczonej ulicy, barwne neony oglądane przez szybę jadącego wozu, wysoki dom na skraju równiny, ryk silników odrzutowca, jeszcze jedno ukłucie igły, mdłości, strzępy rozmów prowadzonych w języku włoskim, z których wynikało, że Czarne Pióra nie znają strachu, twarze ludzi, kiedy w deszczu nieśli mnie do drugiego samochodu, znowu światła wielkiego miasta, wreszcie szum, fal, kołysanie i ostateczny spokój we wnętrzu jakiegoś mieszkania.

Kiedy otworzyłem oczy, było gorące popołudnie. Blask jasnego dnia wpadał do pokoju przez szerokie okno wy pełnione błękitem nieba i obramowane gałęziami figowego drzewa. Wnętrze dużego pokoju zastawione było kosztownymi meblami, nowymi, ale wzorowanymi na antykach minionej epoki. Sufit pokrywało malowidło przedstawiające rajski ogród, a podłogę — przeplatana płytami z bladoróżowym deseniem — marmurowa mozaika. Spoza ściany dobiegał głos włoskiego spikera radiowego czytającego popołudniowe wiadomości.

Leżałem na szerokim łóżku obok śpiącego mężczyzny, w którym z łatwością rozpoznałem towarzysza niezwykłych przygód — tajemniczego Nuzana. Obaj byliśmy ubrani w białe spodnie (niezbyt już czyste co prawda) i w srebrne kamizelki zapięte na czarnych koszulach, mieliśmy więc na sobie te same stroje, które pojawiły się na naszych ciałach po przekroczeniu pewnej linii na Dachy Świata. Tam to właśnie — w chwili zakończenia owacyjnie przyjętego występu grupy piosenkarzy — otoczyła nas scena i wnętrze amfiteatru zatłoczonego

sympatykami tego zespołu — czyli naszymi wielbicielami.

Podsumowanie to wcale nie uporządkowało chaosu panującego w mej głowie od wielu godzin. Przekonany, że Nuzan wytłumaczy mi wkrótce mechanizm kilku dokonanych tutaj cudów, zerwałem się z łóżka i pobiegłem do drzwi. Nie były zamknięte na klucz; oknem również mogliśmy wyskoczyć do ogrodu. A przecież zostaliśmy porwani!

Uchyliłem drzwi — w głębi obszernego przedpokoju klęczała sprzątaczką myjąca schody. Wyszedłem z sypialni.

— Gdzie jesteśmy? — zapytałem po angielsku.

Kobieta wzruszyła ramionami i zabrała się do wykręcania szmaty. W końcu korytarza znikła postać barczystego mężczyzny.

— *Dove siamo?* — rzuciłem za nim.

Zatrzymał się i wrócił. Po drodze gładził dłonią policzek pokryty czarnym zarostem. Patrzył spod niskiego czoła wystającego nad głębokimi oczodołami. Podchodząc do mnie, pochylił się w niskim ukłonie.

— *Buon giorno, signore. Ha dormito bene?*

Powtórzyłem pytanie.

— *Questa casa si chiama Residenza Diamante. Siete a Capri.*

— Na Capri! — wykrzyknąłem.

— Co on tam mruczy? — spytał Nuzan.

Patrzył na nas przez otwarte drzwi, wyglądając spoza rzeźbionego szczytu łóżka.

— Drań powiada, że ten dom nazywa się Diamentowa Siedziba. Jesteśmy na Capri.

— Na tej wyspie, która leży naprzeciwko Neapolu?

— Tak utrzymuje.

— Niesłychane. — Wstał z łóżka i podszedł do nas chwiejąc się na sztywnych nogach — Co za bandyci — rzekł z grymasem niekłamanego gniewu. — Zapłacą nam za to!

Zastanowiło mnie autentyczne oburzenie brzmiące w głosie mojego kolegi. Przecież w zestawieniu z naszym cudownym ocaleniem po samobójczym strzale Nuzana — przeżycia związane z nocnym porwaniem nie powinny już zrobić na nim wielkiego wrażenia.

— Jeżeli mam być szczery — powiedziałem — to co innego znacznie bardziej zdumiewa mnie w całej tej historii.

— A co? — rzucił zaczepnie.

Miałem na myśli przynajmniej dwie sprawy wymagające wytłumaczenia. Ale sytuacja nie zezwalała mi na zadawanie pytań.

— Luciano! — ryknął jakiś głos z głębi Diamentowej Siedziby.

Nasz rozmówca drgnął. Gdzieś na piętrze trzasnęły drzwi. Na górnym podejściu monumentalnych schodów ukazało się kilka osób ze starym mężczyzną na czele. Mimo ciężaru lat Włoch poruszał się energicznym krokiem. Jego twarz miała klasyczne rzymskie rysy. Schodził w towarzystwie kobiety, która kończąc jakąś myśl, mówiła do niego po angielsku:

— ...co jest nieuniknione, bo z każdym dniem sytuacja staje się bardziej dramatyczna.

— Dlatego w Sorrento trzymamy w pogotowiu drugą grupę operacyjną.

W tej chwili starzec zobaczył nas.

— Witam serdecznie! O, Luciano jest tutaj. — Zwrócił się do kobiety: — Kto mu pozwolił zakłócić panom zasłużony wypoczynek? Cholera jasna, od rana chodzimy na palcach, by nasi mili goście mogli zapomnieć o trudach podróży, a on śmiał wtargnąć do ich sypialni.

— To ja go zaczepiłem.

— *Allora tutto va bene?*

— *Permette che mi...* — zacząłem.

— Pst! — Położył palec na ustach. — Mówmy po angielsku. Ściany mają uszy. Zerknął ukradkiem na sprzątaczkę myjącą schody. — Przewornych Bóg strzeże. *Oh Dio del cielo!* — Wzniósł oczy ku niebu. — Ale do rzeczy: nazywam się Salvatore de Stina.

Nastąpiła prezentacja obecnych osób. Włosi czarująco uśmiechali się do nas. Padały nazwiska i słowa powitania przeplatane zwrotami typu: „Jest mi niezmiernie miło”, „Cała przyjemność po mojej stronie”, „Nie potrafię opisać, jak bardzo się cieszę” czy wreszcie: „To zaszczyt poznać tak sławnych ludzi!”

Po wymianie uścisków dłoni pan de Stina, widać niezbyt zadowolony z siebie, uznając, że powitanie — mimo wszystko — wypadło zbyt chłodno, raz jeszcze zapewnił nas o swej szczerzej sympatii i podziwie, jaki żywi dla zespołu „to tu — to tamów”. Na zakończenie tej sceny, w której Włosi nie pozwolili Nuzanowi dojść do słowa, starzec

podziękował nam gorąco za łaskawe przybycie na wyspę Capri.

Ponieważ ostatnie jego zdanie wołało o pomstę do nieba, pan de Stina, w obawie przed wybuchem mego kolegi (bardzo już tą szopką rozzłoszczonego), pochwycił nas za ręce, wciągnął do „naszej” sypialni, zamknął szczelnie drzwi i dopiero gdy się upewnił, że pod oknem nikogo nie ma, wypowiedział drżącym szeptem wielce zastanawiające słowa:

— Błagam, zaklinam na wszystkie świętości, nie mówmy o takich drobiazgach, jak to nieszczęsne, ale nieuniknione porwanie, gdy idzie o los, o zagrożone bezpieczeństwo... o życie! miliona ludzi.

— O życie miliona ludzi? — powtórzył Nuzan.

— Ciszej! — syknął pan de Stina.

Zdenerwował się:

— Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy!

Kilka razy szybkim krokiem przemierzył odległość od ściany do ściany. Kiedy spytałem go, o co tu właściwie chodzi, wyskoczył bez słowa z pokoju trzaskając drzwiami.

Wrócił po minucie. Usiadł ciężko na łóżku ukrywając pomarszczoną twarz w kościstych dłoniach. Był łagodny jak baranek.

— Nie spałem dwie noce — jęknął. Zasepił się ze wzrokiem utkwionym w podłogę. — Musicie mi wybaczyć! Od czterech dni krążę między Rzymem a Neapolem, bo dopuszczono mnie do ścisłej tajemnicy, a są sprawy, których nie można załatwić telefonem. Zresztą wszyscy mamy nerwy porwane na strzępy.

Wstał.

— Bardzo biegle mówi pan po angielsku — zauważyłem neutralnym tonem.

— Dziękuję. — Uśmiechnął się z przymusem. — Uprzejmie proszę o kilka minut cierpliwości. Za kwadrans zbierzemy się w pokoju na górze, gdzie poznacie niezbędne szczegóły całej sprawy. Musieliśmy sprowadzić was z Londynu, bo tam znacznie trudniej byłoby nam panów przekonać. Oczywiście, że piętujemy metody stosowane przez ludzi, którym nierozważnie powierzyliśmy tę delikatną misję: za użycie przemocy zostaną ukarani, wy zaś otrzymacie odszkodowanie. Jednak wysokie honorarium, jakie wkrótce zaproponuje wam pan Malfei w zamian za wszystkie poniesione dotąd straty oraz tytułem przewidywanych kosztów, nie może dać panom pełnej moralnej

satysfakcji Nie może zadowolić was — artystów tej miary! Dlatego przede wszystkim przepraszam panów. Przepraszam uroczyście i najmocniej, przepraszam w imieniu... — zawahał się. — Padam z nóg. Luciano wskaże wam drogę. Do zobaczenia na górze!

Ultimatum

Pokój, do którego zostaliśmy wprowadzeni przez dyżurującego na piętrze agenta, był duży i mroczny. Jedną jego ścianę pokrywały oszklone półki z książkami i dlatego później — w myśli — nazywałem go biblioteką. Poza kilkoma wyjątkami, jak telewizor i gramofon stereofoniczny, we wnętrzu znajdowały się ciężkie, dziewiętnastowieczne meble. W okrągłym rogu — naprzeciwko wysokich okien zaciemnionych kotarami — stał otwarty fortepian. Siedziała przy nim trzynastoletnia dziewczyna, jak się potem okazało, wnuczka pana de Stiny, właściciela Diamentowej Siedziby. Przy nakrytym do obiadu stole czekało pięć osób. Dwa krzesła były wolne i o ich zajęcie poprosił nas gospodarz willi.

Usiedliśmy pomiędzy dwiema niezbyt młodymi, poznanymi wcześniej kobietami, naprzeciwko de Stiny, któremu towarzyszyli przedstawieni nam na korytarzu panowie: Aldo Melfei, przystojny, może czterdziestoletni, ale już nieco szpakowaty mężczyzna, oraz bardzo otyły Włoch noszący czarną brodę i nazwisko trudne do zapamiętania. Gdy wchodziliśmy, panie wyrażały swój podziw dla talentu Paoli (grającej tu na fortepianie przed naszym przybyciem). Za nami wszedł kelner. Dziewczyna pocałowała dziadka, ukłoniła się zebrany i opuściła pokój. Wówczas gospodarz dał znak kelnerowi, by otworzył butelki i napełnił talerze.

Jedzenie było wyborne. Podczas obiadu rozmowa obracała się wokół spraw — jak mi się zdawało — całkowicie nieistotnych (przynajmniej tam, gdzie „idzie o życie miliona ludzi”): Włosi chwalili zespół „To tu — to tam” (wyszło przy tym na jaw, że również oni prawie nic o nas nie wiedzą) — my zaś, aby zmienić ten niewygodny temat, zadawaliśmy im pytania dotyczące turystycznych uroków Italii, była więc mowa o aktywności Wezuwiusza, o ruinach Pompei, o Neapolu, który warto zobaczyć, by potem umrzeć, o przepaściach na karkołomnej drodze z Salerno do Amalfi i o pełnej słońca Ligurii, gdzie króluje wieczna wiosna, ponieważ góry osłaniają ją od wiatrów północy.

Po obiedzie gospodarz oddalił kelnera, przywołał agenta

spacerującego pod drzwiami i kazał mu pilnować, by od tej chwili absolutnie nikt nie zaglądał do naszego pokoju. Kiedy zostaliśmy sami, sąsiadka Nuzana (często przekręcająca różne słowa w rozmowie prowadzonej po angielsku) wypaliła niespodziewanie:

— Wybaczą nam panowie to nieprzyzwoite pytanie: Czy jesteście kawalerami?

Melfei zakasłał.

— Chyba miała pani na myśli pytanie „niedyskretne” — sprostował de Stina.

Kobieta zmieszała się. Była bardzo wysoka i spinała rude włosy na czubku głowy, co sprawiało, że przy stole dominowała wzrostem nad wszystkimi.

— Oczywiście. Chodziło mi o pytanie „niedyskretne”. Przepraszam. Więc czy jesteście kawalerami?

— Tak — odparł Nuzan wielce zaintrygowany tonem.

— A ja jestem rozwiedziony — uzupełniłem.

Obydwie panie pochyliły się nad stołem wymieniając między sobą znaczące spojrzenia.

— To jest sprzyjająca okoliczność — powiedział de Stina.

— Świetnie! — ucieszył się otyły brodac.

Nim ochłonęliśmy, ruda pani uciszyła Włochów, stawiając nam drugie niesamowite pytanie.

— Jeszcze jedno chcielibyśmy wiedzieć: Czy panowie — działając pod wpływem najszlachetniejszych pobudek — zdolni bylibyście do odegrania pewnej... delikatnej mistyfikacji, której szczegóły zostałyby wyreżyserowane przez nas, gdyby od powodzenia waszej wyjątkowej misji zależało bezpieczeństwo mieszkańców wielkiego miasta?

Poczułem na kolanie zaciskające się w pięść palce Nuzana i usłyszałem przy uchu jego cichy gwizd.

— A cóż to za „delikatna mistyfikacja”?

Echo tego pytania brzmiało w ciszy przez kilkanaście sekund, aż pani Veunais (bo tak nazywała się nietypowa Włoszka) zwróciła się do swoich rodaków z ogniem w oczach, jakby chciała rzec: „Brama została otwarta. *Avanti, signori!*”

Pierwszy na jej nieme wołanie zareagował milczący dotąd Melfei:

— Najpierw poprosimy panów o złożenie uroczystej przysięgi, że w

tej sprawie, po otrzymaniu odszkodowania w wysokości miliona dolarów, zachowacie całkowite milczenie.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem, pieniądze te proponuje pan w zamian za straty poniesione przez nas w Londynie, skąd gwałtem zostaliśmy tu przewiezieni w gorącym czasie trwającego tam festiwalu, oraz prosi pan o to, abyśmy nikomu nie ujawnili treści naszej dzisiejszej rozmowy.

Melfei rozejrzał się wokoło.

— *Di che si tratta?* — spytał gruby Włoch.

Nad stołem skrzyżowały się zdania wypowiedziane w języku włoskim, bo również moja milcząca sąsiadka (nieznająca angielskiego) dopytywała się, o co chodzi.

— Tak — odparł Melfei.

— Lecz czy nasza przysięga pociągnie za sobą konieczność zrealizowania tej zagadkowej misji, którą łaskawa pani była uprzejma nazwać „delikatną mistyfikacją”?

— Nie.

— Więc składamy ją.

Potwierdziłem ruchem głowy, zaś Melfei, jakby jeszcze nie uzyskał pewności, czy przysięga złożona została we właściwej formie, błędził wzrokiem po ścianach pokoju (może w poszukiwaniu krzyża), przy czym kontynuował z przejęciem:

— Liczymy na waszą dyskrecję, gdyż wszystko, o czym tu mówimy, obejmuje ścisła tajemnica państwowa. W kraju zna ją tylko kilkanaście osób. Zezwolono nam powierzyć ją panom pod warunkiem, że uzyskane tutaj informacje nie zostaną przez was przekazane.

— Przyrzekamy uroczyście. Ale niechże pan wreszcie ujawni, o jakie miasto tu idzie i czym jest ono zagrożone.

— Chodzi o miasto włoskie.

— Które?

— Właśnie tego nie wiemy! Jednak dzięki wam wkrótce będziemy wiedzieli.

— Dzięki nam?

— Mamy taką nadzieję.

— Nie pojmuję, jaki związek zachodzi między naszym stanem cywilnym (tak was ucieszył fakt, że jesteśmy wolni) i możliwością uratowania mieszkańców bliżej nieokreślonego miasta włoskiego.

— Związek ten jest najzupełniej przypadkowy i kiedy zawodzą wszystkie inne metody... powiedzmy to otwarcie: walki — na nim musimy oprzeć ostatnie nasze nadzieje. Tutaj przede wszystkim liczy się szczęśliwy zbieg okoliczności, to że należycie do słynnego zespołu piosenkarzy.

— Oj, nie czarujmy się: przecież takich zespołów istnieje na świecie przynajmniej kilkanaście.

— Ale istnieją też ludzie, którzy grupę „To tu — to tam” cenią sobie najbardziej i byłiby szczęśliwi, gdyby was mogli poznać.

— Wiemy o tym doskonale, że mamy licznych zwolenników, toteż jeśli traci pan czas na powielanie starych komplementów...

— Niech się pan nie denerwuje. Z wielkiej liczby waszych wielbicieli tylko dwie osoby zainteresowały nas i jedynie one mogą nam się przydać.

— Kogo macie na myśli?

— Dwie kobiety.

— Włoszki?

— Tak.

— Jak się one nazywają?

— Tego też nie wiemy.

— Nie znacie ich?

— Niestety.

Mój kolega uniósł brwi i rozejrzał się bacznie, jakby przywoływał obecnych na świadków tego obłądnego dialogu.

— Zaraz, bo chyba wpadłem do jakiegoś labiryntu. Więc nic właściwie nie jest wam znane: ani położenie zagrożonego miasta, ani rysopisy dwu kobiet, które przepadają za nami.

— Trafne podsumowanie.

— *Mamma mia!* — Nuzan trzasnął pięścią w stół, aż zadrżały wszystkie szklanki. — To po co nam zawracacie głowy?

— *Cosa e accaduto?* — wymamrotał grubas przez usta zatkane czwartym kawałkiem tortu.

— *Niente* — rzuciłem obojętnym tonem. Uśmiechnąłem się uprzejmie. — Wszystko gra. *Tutto va bene!*

Musiałem zamienić z nim kilka zdań i uspokoić przestraszoną sąsiadkę, gdyż ona też chciała wiedzieć, co się stało. W tym czasie Nuzan

— ufając potędze zasady: „Kto pyta, nie błądzi” — dalej piłował Melfeiego:

— Osobliwa sytuacja! Zatem z jednej strony nie potraficie wskazać miasta, któremu grozi jakieś niebezpieczeństwo, ale jesteście przekonani, że ono istnieje...

— Tak jest!

— ...zaś z drugiej — chociaż nigdy nie nawiązaliście kontaktu z tamtymi dwiema kobietami i choć nie wiecie, jak się nazywają i jak wyglądają — twierdzi pan uparcie, że one bardzo chętnie zawarłyby znajomość z nami, co pana cieszy, gdyż do czegoś mogą wam się przydać.

— Rzeczywiście: bez nich jesteśmy zupełnie bezradni.

— Dlaczego?

— Ponieważ te kobiety wiedzą, jakiemu miastu grozi niebezpieczeństwo...

— To one wiedzą!

— Właśnie. Więc gdybyście je poznali i działali zręcznie, mogłyby to wam powiedzieć.

— Domyślam się, że panu nie pisną ani słowa.

— Wykluczone!

— Pewnie nie mają do was zaufania.

— Nie chciałbym w tej chwili rozwijać tego ubocznego tematu.

— I nie ma potrzeby; wystarczy to, co ustaliliśmy. One wam nic nie powiedzą, nam zaś — gdyby dały się wplątać w jakąś „delikatną mistyfikację”, powiedzmy: oszustwo matrymonialne — zdradziłyby może za jednym zamachem obydwie tajemnice: nad jakim miastem wisi groźba i na czym ona polega.

— Ten drugi fakt jest nam doskonale znany.

— Jak to?

— Wiemy dobrze, co zagraża jednemu z miast włoskich.

— Wiecie? I od godziny mąci mi pan w głowie, roztrząsając drugorzędne szczegóły, zamiast na wstępie ujawnić fakt najważniejszy?

Melfei wyprostował się dumnie.

— Signor Nuzan — zaczął wyniośle. — Bardzo przepraszam. Najwyższe władze powierzyły mi tę misję, ufając, iż w tak ciężkiej dla Italii chwili przyjmimy naszych gości z należyтым szacunkiem. Pan pytał, a ja uprzejmie i ściśle odpowiadałem na pańskie inteligentne

pytania, oto rezultat! W czterech zdaniach zreferowałbym całą sprawę, gdyby mi pan w rozmowie pozostawił inicjatywę i choć raz...

— *Basta* — wtrącił się de Stina. — *Lasciamo stare*. Wracajmy do rzeczy.

Melfei pochwycił szklanę z winem, opróżnił ją szybko i z trzaskiem postawił na stole.

— Ma pan rację — przyznałem. — Jednak w końcu chcielibyśmy wiedzieć, co zagraża jednemu z miast włoskich.

Podniósł się z krzesła. Podeszedł do drzwi i wyjrzał na korytarz. Opuścił żaluzję za oknem. Zapalił lampę w kącie pokoju, usiadł przy stole i dopiero wtedy, gdy zbadał wzrokiem twarze milczących rodaków, zwrócił się powoli do mnie, by cichym głosem wypowiedzieć wreszcie te trzy pełne napięcia słowa:

— Wybuch bomby termojądrowej.

W pokoju zapanowała cisza. Nuzan nie dawał znaku życia. Czy to pod wpływem sugestii, że milczeniem prędzej sprowokuje Włocha do dalszych wyjaśnień, czy też może po prostu obrażony na niego — nie zadawał kolejnych pytań.

Napełniłem winem szklanę Melfeiego.

— Prosimy — szepnąłem. — Niech pan kontynuuje.

Wyjął kieszonkowy kalendarzyk, otworzył go i na stronie zapełnionej notatkami zakreślił czerwonym pisakiem trzy daty. Mówił miarowym głosem, akcentując, niektóre słowa uderzeniami czerwonego ostrza:

— Oto fakty. Drugiego lipca, więc przed pięcioma dniami (bo dzisiaj jest siódmy), nasze Ministerstwo Spraw Wewnętrznych otrzymało list o następującej treści: „Dnia szesnastego lipca, punktualnie o godzinie osiemnastej, jedno z dużych miast włoskich zostanie zmiecione z powierzchni ziemi eksplozją bomby termojądrowej, jeżeli do tego czasu nie zostaną zwolnieni z krajowych więzień wszyscy przetrzymywani w nich członkowie organizacji Czarne Pióra. Nasza decyzja jest przemyślana i nieodwołalna”.

Treść tego listu zacytowałem z pamięci, opuszczając niektóre jego fragmenty. Nie zostałem upoważniony do ujawnienia innych faktów, jakie towarzyszą tej tragicznej sprawie, ponieważ są one utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Z punktu widzenia naszego celu wystarczy, jeżeli

przekażę panom najistotniejsze informacje w postaci krótkiego podsumowania.

Omawiany list należałoby zlekceważyć, jako nieodpowiedzialny wybryk jakiegoś bezsilnego szaleńca lub agresywnego psychopaty, gdybyśmy nie mieli całkowitej pewności, że jego autorami są pozostali na wolności członkowie wspomnianej organizacji i że skradziona w czasie transportu bomba (jej brak odnotowano w tajnym raporcie wojskowym) rzeczywiście znajduje się w rękach groźnych terrorystów.

Obecnie w więzieniach włoskich odsiadyuje kary czterystu sześćdziesięciu ośmiu ekstremistów z szeregów Penne Nere. Jak panom zapewne wiadomo, ludzie ci są awanturnikami na wielką skalę. W skrytobójczej walce z władzami porządkowymi nie cofają się przed użyciem ostatecznych środków. Mają oni na sumieniu tysiące różnego rodzaju aktów gwałtu: liczne porwania samolotów, zabójstwa, krwawe napady rabunkowe, podpalenia i wiele zamachów bombowych. Ofiarami ich padają najczęściej niewinni ludzie: przygodni konsumenci w restauracjach, interesanci, klienci, pasażerowie publicznych środków komunikacji oraz przypadkowi przechodnie.

Dotąd Czarne Pióra dysponowały tylko bronią konwencjonalną. Teraz społeczeństwo nasze staje nad krawędzią przepaści. Nie wyobrażamy sobie przyszłości: zwolnić wszystkich terrorystów — to znaczy zapoczątkować nieodwracalny, lawinowy proces nieustannie pogłębiającego się chaosu, to znaczy oddać kraj na pastwę przemocy, bezprawia i okrutnego terroru.

Stoimy przed nierozwiązalnym dylematem: nie możemy tych przestępców uniewinnić, lecz wnioski płynące z dotychczasowej ich działalności wskazują, że w przypadku gdy do szesnastego lipca nie zwolnimy zatrzymanych terrorystów, nastąpi tragedia, jaka nigdy jeszcze nie wydarzyła się na ziemi. Bo cóż to znaczy „duże miasto”? Każde z kilkunastu największych miast włoskich można nazwać „dużym”! Gdybyśmy teraz ogłosili światu, czym grożą nam Czarne Pióra, nastąpiłaby nieopisana panika. Zapowiedź eksplozji bomby tego typu wywołałaby masową ucieczkę ludzi z miast — sparaliżowałaby życie całego kraju. Dlatego musimy milczeć; ekstremiści zaś ze swojej strony również nie podają treści listu do publicznej wiadomości: nie chcą tracić biernego poparcia, które znajdują w pewnych kręgach społecznych.

Melfei umilkł.

— Wpadliśmy w perfidną pułapkę — powiedział de Stina. — Musimy tę bombę znaleźć. Czas nagli, bo najpóźniej za osiem dni, aby nie spowodować jednej tragedii, trzeba będzie dopuścić do drugiej. Ale jak prowadzić poszukiwania „igły w stogu siana”, choćby się dysponowało tysiącami wywiadowców, jeżeli tym ludziom nie wolno powiedzieć, czego szukają?

— Zatem sprawa wyglądałaby beznadziejnie... — zacząłem.

— ...gdyby nie pewien szczęśliwy przypadek — dokończył. — Bo właśnie teraz moglibyście nam pomóc. Otóż wczoraj rano w jednym z rzymskich hoteli, gdzie od kilku dni podsłuchiowano przemytników ściganych za udział w handlu narkotykami, agenci nagrali na taśmę magnetofonową (przez zainstalowany w pokoju mikrofon) rozmowę pewnej młodej pary. Chociaż funkcjonariusze Wydziału Narkotyków nie znają „naszej sprawy”, podsłuchana wymiana zdań wydała im się bardzo podejrzana.

W prowadzonej przez studentów rozmowie padały takie dziwne słowa, jak „ultra-super-zamach” oraz „błysk16.07”. Cenną taśmę bezzwłocznie skierowano do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przypadkowo przesłuchaniem jej zajął się pracownik zapoznany z ultimatum Czarnych Piór. Liczbę „16.07” łatwo mu było skojarzyć z datą planowanego „super-zamachu”. Treść nagrania wskazuje, że studenci są członkami tej organizacji, lecz nie wiedzą, gdzie ukryta jest bomba i w jakim mieście nastąpi jej wybuch.

Jednak tę tajemnicę znają między innymi dwie kobiety (w rozmowie nazwane pseudonimami Gamma i Delta), które należą do kilkunastoosobowej grupy stojącej na czele ekstremistów. Kobiety te — co wynika z zarejestrowanego na taśmie dialogu studenckiej pary — przebywają obecnie na Capri i mieszkają w hotelu Voce del Silenzio. Mają one zamiar pozostać tutaj jeszcze kilka dni. Są wielbicielkami zespołu „To tu — to tam”. Zbierają płyty z waszymi nagraniami i nie opuszczają żadnego programu telewizyjnego, w którym występujecie. Z łatwością moglibyście nawiązać z nimi znajomość, a reszta zależy już tylko od...

Przy lewym uchu usłyszałem miarowe chrapanie. Nuzan miał zamknięte oczy. Opierał łokcie na stole, podtrzymując głowę dłońmi przyciśniętymi do uszu.

Zaskoczeni Włosi przez dłuższą chwilę wpatrywali się w śpiącego. Było mi wstyd. Trąciłem go w ramię. Zatoczył się na panią Veunais. Odzyskując równowagę, wyciągnął do mnie rękę. Podałem mu papierosy. Zapalił, przetaił sobie oczy i ziewnął swobodnie, jakby wstał z łóżka.

— Narkotyk bardzo nas osłabił — usprawiedliwiłem go. — Może jutro omówilibyśmy pozostałe szczegóły. Ja również jestem znużony.

— To nasza wina — przyznała Veunais.

Nuzana ośmieliła ta uwaga.

— Przepraszam. — Przeciągnął się bez ceregieli. — Czy nikt z was nie zasnął w kinie albo — co wygodniejsze — przed ekranem telewizora? Melfei wstał od stołu.

— Nie zrozumiałem tej aluzji.

— Bo adresowałem ją do kogoś, kogo tu nie ma i kto nie przejmuje się żadnymi aluzjami.

Po tych słowach mój tajemniczy kolega również podniósł się z krzesła. De Stina obiecał, że jeżeli uda nam się ustalić miejsce ukrycia bomby, dostaniemy jeszcze po dwa miliony dolarów — niezależnie od sumy przekazanej już na nasze konta w Londynie. Tytułem zaliczki na bieżące wydatki Melfei wręczył mi plik banknotów. Paczka zawierała półtora miliona lirów włoskich. Gospodarz podziękował nam za „wizytę”. Poprosił, abyśmy przenieśli się do Głosu Ciszy, gdzie mieszkają terroryści i gdzie już zarezerwował dla nas pokój.

— Niestety, podobnie jak wszystkie hotele na Capri, Głos Ciszy jest przepełniony — powiedział. — Podejrzone dziewczyny przebywają tam w tłumie dziewięciuset innych gości. Będziemy ich szukali między młodymi kobietami, które mieszkają razem w jednym pokoju i po wyspie chodzą parami. Takie przyjaciółki, jak Gamma i Delta, z pewnością nie spacerują samotnie.

Na zakończenie obiecał, że skontaktuje się z nami rano. Do tego czasu jego wywiadowcy ustalą dokładnie, jakie pary młodych kobiet trzeba będzie otoczyć szczególnie uważną obserwacją.

Trzeci wymiar ekranu

— Ciekawi cię to? — spytał Nuzan, gdy wyszliśmy z Diamentowej Siedziby.

— Co czy mnie ciekawi?

Oderwałem wzrok od okazałej willi, zamknąłem furtkę i rozejrzałem się po okolicy. Był pogodny wieczór. Z daleka dobiegała muzyka. Szliśmy wąską, opadającą w dół ulicą. W ogrodach zarośniętych drzewami cytrusowymi stały kolorowe domki. Przez splecione z suchych gałęzi nieforemne płoty przewijały się pnącza winnej latorośli. Horyzont na obu końcach wyspy przysłaniały dwie góry. Wapienne skały lśniły w promieniach niskiego słońca. W dali — za położoną niżej centralną częścią Capri — rozpościerało się spokojne morze.

— Pytam, czy ciekawi cię ten stereon.

— Słyszałem. Ale nie rozumiem, o czym mówisz.

— Stereon — to film trójwymiarowy.

Aby ominąć dużą grupę japońskich turystów, przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Zastąpiłem Nuzanowi drogę.

— Mógłbyś mi powiedzieć, gdzie teraz jesteśmy?

— Naprawdę nie wiesz?

— Jasne, że nie pytam o nazwę tej ulicy.

— Znajdujemy się we wnętrzu trójwymiarowego ekranu. Co jeszcze chciałbyś wiedzieć?

— A czym jest to wszystko, co nas otacza?

— To są obrazy przestrzenne.

— Obrazy? Przecież my ich dotykamy! Sprawiają wrażenie przedmiotów materialnych.

Rzucił mi w milczeniu obojętne spojrzenie. Oglądał się za Japonkami.

— Nie pojmuję — kontynuowałem — jak można zjeść przestrzenny obraz obiadu.

— Można, bo te obrazy są idealnymi kopiami ciał rzeczywistych.

— Powiedz, w jaki sposób powstają.

Zniecierpliwił się ostatecznie.

— Słuchaj, kochany — burknął nieprzyjemnym tonem. — Nie myślisz chyba, że akurat teraz, gdy nie mamy chwili do stracenia, usiądę z tobą gdzieś pod płotem, by ci wyłożyć teorię stereonu?

— Nie musimy siadać!

— Masz zbyt wysokie wyobrażenie o mojej wiedzy. Oglądałeś setki waszych płaskich filmów. A czy umiałbyś wytłumaczyć komuś, na jakiej zasadzie działa telewizja?

Zanim zebrałem myśli, ruszył szybko w kierunku osiedla. Skręciliśmy w zatłoczoną ulicę. Zatrzymałem się przy kiosku z gazetami. Z okładki czasopisma „Noi donne” dowiedziałem się, że jest rok 1957. W tym czasie Nuzan zapytał przechodnia o drogę do portu.

— Ja tu nie zostanę — powiedział, gdy stanęliśmy przy stacji kolejki funicolare, którą można było zjechać do Marina Grande. — Uciekajmy na kontynent przez Sorrento albo popłynijmy wprost do Neapolu. Musimy zdążyć na ostatni wodolot. Wcale mnie nie bawi ta dwudziestowieczna historia. Przeczuwam, że ona źle się skończy. Źle — to znaczy bardzo szybko. Znam podobne scenariusze. Gdzie indziej kowboje, Indianie, gangsterzy lub kosmici, a tu ekstremiści. W żadnym stereonie tego typu nie można się utrzymać długo. A ja marzyłem o wielomiesięcznym pobycie wypoczynkowym. Będziemy mieli wczasy, kiedy dobiorą się do nas Czarne Pióra! Natychmiast po unieszkodliwieniu tamtej bomby znajdą nas i zatłuką, choćbyśmy ukryli się na końcu świata.

— Co się dzieje z widzem, który umiera w jakimś stereonie?

Skierował palec w głąb ziemi. Miał taki wyraz twarzy, jakby wskazywał piekło:

— Wraca do mrowiska.

— Nuzan, czy możesz mi powiedzieć, kim ty właściwie jesteś?

— Turkiem. A ty?

— Ja jestem Polakiem. Ale mniejsza o to. Chciałem cię zapytać, skąd przybyłeś.

— Stamtąd. — Znowu wskazał ziemię. — Pamiętaj, że obraz Capri istnieje na wysokości dwunastu kilometrów.

— Kręci mi się w głowie od tych wiadomości. Pewnie dlatego, że rozmawiamy chaotycznie.

Weszliśmy do wagonu.

— Przy falochronie stoją jakieś statki. — Patrzył przez szybę na

morze. — Gdybyśmy wsiedli...

— Poczekaj — przerwałem mu. — Najpierw wytłumacz mi, co się tu dzieje.

— Już ci to wyjaśniłem.

— Ale ja nadal niczego nie rozumiem. Co się stało w samolocie? Czy począwszy od chwili, kiedy kula z twojego rewolweru przebiła nasze głowy, przebywamy na „tamnym świecie”?

— Od tamtej chwili jesteśmy w dziewięćdziesiątym szóstym wieku.

— Masz na myśli podróż w czasie?

Kiedy stawiałem to pytanie, poczułem na twarzy czyjeś natarczywe spojrzenie. Zwróciłem głowę w stronę grupy włoskich pasażerów i napotkałem wzrok jasnowłosej, może dwudziestoletniej dziewczyny, która jeszcze przez moment wpatrywała się we mnie niebieskimi oczami. Nie wyglądała na Włoszkę. Po chwili jakaś kobieta pociągnęła ją za rękę. „Lucia — usłyszałem. — *Guarda che sole*”. Wtedy dziewczyna odwróciła się w kierunku zachodzącego słońca.

Kolejka toczyła się po łagodnym stoku góry.

— Podróż w czasie? — powtórzył Nuzan. — Nie! Chyba tylko w takim sensie, w jakim dwudziestowieczny widz kinowy przenosi się w czasie, gdy po wyświetleniu filmu o wojnie trojańskiej dostrzega biały ekran w miejscu, gdzie pływały okręty starożytnych Greków, zaś wokół siebie widzi ludzi powstających z foteli — słowem, kiedy w jednej chwili powraca do swojej epoki. Samolot, którym lecieliśmy, należał do roku 1978. Po moim samobójstwie (i po zabójstwie — jeśli o ciebie chodzi) otoczyły nas realia 9591 roku. Już raz ci mówiłem, że wszystkie lądy i morza zabudowane są zwartymi konstrukcjami. Ten jednolity gmach rozciąga się wokoło całej kuli ziemskiej i wznosi się aż do wysokości dwunastu kilometrów, gdzie go pokrywa gładka sfera Dachy Świata. Jego powierzchnia jest jednym wielkim kinoplanem — to znaczy placem widowiskowym, na którym stłoczone w głębi gmachu miliardy mieszkańców naszego globu mogą niekiedy przeżywać różne nierzeczywiste historie. Ukryty pod pancierzem mechanizm fabryki „snów na jawie” materializuje tutaj większość fabularnych stereonów. Przestrzeń tuż ponad Dachem Świata wypełniają prostopadłościenne bloki o wysokości 50 metrów. Mają one w podstawie długość 200 i szerokość 100 metrów. Są niewidzialne dla ludzi przechodzących

korytarzami. Jeden trójwymiarowy ekran zajmuje całe wnętrze prostopadłościanu, lecz takich ekranów w każdym bloku jest dziewięćdziesiąt, dlatego muszą one przenikać się wzajemnie. Akcja oglądanego przez nas stereonu — wskazał przestrzeń dookoła siebie — toczy się w roku 1957. Taką datę odczytałem na tablicy informacyjnej, kiedy zajmowaliśmy stanowisko wyjściowe siedemdziesiątego ósmego ekranu. Ponadto musisz wiedzieć, że każdy, kto umiera w jakimś stereonie, w życiu poza nim staje się młodszy biologicznie. Aby obliczyć aktualny wiek, trzeba odjąć dziesięć procent od liczby ukończonych lat. Więc ja mam teraz dwadzieścia osiem lat, gdyż jestem o trzy lata młodszy. Ty natomiast — dzięki mojej nieuwadze w chwili strzału — zyskałeś prawie cztery lata.

— Z twojego opowiadania wynikałoby, że dotąd wiodłem pozorne życie.

— Akurat twoje życie było prawdziwe, bo inaczej po śmierci nie opuściłbyś centralnego stereonu. Wytłumaczę ci to przy innej okazji. Wkrótce zetkniesz się z faktami które nie pozwoliłyby zasnąć waszym filozofom.

— Owszem, wizja stereonu przenikającego podniebny gmach świata jest bardzo interesująca. Lecz prędzej uwierzę w sen na pokładzie samolotu. Chciałbym obudzić się dopiero na lotnisku.

— Tam już wylądowały nasze martwe ciała. A zresztą! — Machnął ręką. — Czy dzikusowi z lasu warto tłumaczyć, co w radioodbiorniku w czasie burzy bzyka, jeśli on wie swoje i lep na muchy do głośnika wtyka?

Wysiedliśmy z kolejki. Dzwoniło mi w uszach imię „Lucia”. Szukałem jej wzroku, ale dziewczyna więcej nie spojrzała na mnie. Nuzan szybkim krokiem zmierzał do przystani.

— Ja tu pozostanę — powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie.

Pomyślałem, że ten tajemniczy człowiek — kimkolwiek jest — nie narzuci mi swej decyzji opuszczenia wyspy.

— Jeżeli ja popłynę do Neapolu, ty utoniesz w morzu — odparł zagadkowo.

— Dlaczego miałbym się utopić?

— Ponieważ statek jest silniejszy od ciebie.

Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć. Zauważyłem, że nie

mamy papierosów. Byłem zdenerwowany. Poprosiłem Nuzana, aby chwilę zaczekał. Został przy kasie biletowej, a ja poszedłem do kiosku. Obserwowałem go przez okno sklepu tytoniowego. Nie czekał na mnie. Skierował się do przystani. Przy wejściu na statek zagroziło mu drogę kilku mężczyzn. Dwaj z nich — jak mi się zdawało — przyjechali tu z nami kolejką. Z gwałtowności gestów ludzi stojących na trapie wywnioskowałem, że toczyła się tam jakaś gorączkowa dyskusja. Nuzan wycofał się z trapu na molo. Poszedł w stronę końca otaczającego port falochronu. Coraz bardziej oddalał się od brzegu.

Opuściłem kiosk i zatrzymałem się nad wodą. Myślałem o dziewczynie, która znikła w barze. Nuzan zachowywał się dziwnie: wyprostował przed siebie ręce; idąc dalej, pochylił się do przodu, jakby pchał niewidzialny ciężar. W chwili kiedy to spostrzegłem, poczułem, że coś ciągnie mnie w jego stronę. W następnym ułamku sekundy zwarłem się plecami z jakąś doskonale przezroczystą szybą. Spychała mnie z brzegu. Nie mogłem pokonać jej nacisku. Straciłem równowagę i spadłem z pomostu do wody.

Wdrapałem się na molo zmoczony do ostatniej nitki. Nuzan wrócił na brzeg.

— Przepraszam. — Roześmiał się. — Ten wypadek — prędzej niż długi wykład — każe ci zrozumieć, dlaczego tutaj nie możemy się rozstać. Zresztą teraz również razem nie popłyniemy na kontynent, ponieważ jesteśmy uwięzieni na wyspie. Tamci dranie — wskazał mężczyzn stojących na trapie — wędrowali za nami z Diamentowej Siedziby. Można to było przewidzieć! Od tej chwili agenci de Stiny będą dyżurowali w porcie przez całą dobę i nie wpuszczą nas na żaden statek.

Było gorąco. Zdjąłem koszulę i spodnie, wykręciłem je i powiesiłem na barierze mola.

— Co mnie zepchnęło do wody? — spytałem.

— Rama ekranu — odparł ze złośliwym błyskiem w oczach. — Popchnąłem ją z jednej strony, a przeciwległa ściana strąciła cię z pomostu. Wiedziałem, że w tej sytuacji grozi ci tylko kąpiel w ciepłej wodzie. Lecz gdybym dostał się na pokład i odpłynął od brzegu, statek ciągnąłby cię za sobą w odległości dwustu metrów albo ja wyleciałbym za burtę w zależności od tego, kto z nas znalazłby bardziej trwałe oparcie na swym stanowisku. Na Dachy Świata nie ma żartów! W jednym

stereonie dwaj ludzie ze względów technicznych nie mogą oddalić się od siebie na odległość większą od długości przekątnej ekranu. Fakt ten stwarza różne ryzykowne sytuacje. Na przykład ktoś prawdziwy, kto zajmuje miejsce w przedziale odjeżdżającego pociągu, pozostawiając drugiego żywego widza, naraża go na śmiertelne niebezpieczeństwo. Dlatego stereony zewnętrzne w zasadzie należy oglądać indywidualnie. Chyba że członkowie grupy znają doskonale prawa tego świata i mają do siebie zaufanie. W przeciwnym razie łatwo można wrócić do mrowiska.

— Przecież, aby dostać się z Diamentowej Siedziby do portu, przebyliśmy odległość znacznie większą niż dwieście metrów. A droga z Londynu na Capri? Czy ekran wędruje z nami po powierzchni Dachy Świata?

— Nie! On tu nigdy nie zmienia swego położenia.

— Zatem pozostaje tylko druga możliwość: muszę uwierzyć, że w jego sztywnych ramach przesuwają się przestrzenne obrazy ludzi i przedmiotów otaczających widza.

— Tak właśnie jest! Nie może być inaczej, ponieważ począwszy od chwili, gdy otoczył nas nierzeczywisty tłum sympatyków piosenki, przebywamy nieustannie we wnętrzu jednego bloku stereonów. Nasz trójwymiarowy ekran jest prostopadłościanem o długości 200 i wysokości 50 metrów. Trzeci jego wymiar można nazwać głębokością ekranu. Ma ona 100 metrów. Prostopadłościan ten — podobnie jak prostokątny ekran w sali kinowej, gdzie wyświetlano filmy płaskie — zajmuje wciąż określone miejsce na Dachy Świata. Jego ściany są nieruchome względem kinoplanu. Przesuwają się tylko przestrzenne obrazy, które wypełniają wnętrze ograniczone ścianami, w czym nie ma jeszcze nic osobliwego, bo dokładnie tak samo przemieszczały się pejzaże w nieruchomych ramach telewizora. Lecz teraz doszedł trzeci wymiar i możliwość aktywnej postawy widza w kształtowaniu sugestywnej fikcji. Udział widza jest bezpośredni, gdyż nie musi się on już wcielać w ekranowego bohatera: jest nim w rzeczywistości. Ruchem krajobrazów i postaci sterują zdalnie automaty „fabryki materialnych snów”. Złożone aparaty modelują scenografię całej okolicy widza, nadając przestrzennym formom w każdej chwili kształt właściwy dla fabuły określonego stereonu. Urządzenia te reagują błyskawicznie na wszelkie zmiany wprowadzone do akcji przez widza obdarzonego wolną

wolą w działaniu: natychmiast przystosowują obraz do nowej sytuacji. Chociaż początek akcji w każdym stereonie jest szczegółowo określony, dalszy jej rozwój może znacznie odbiegać od ustaleń naszkicowanych w scenariuszu. Widz jest tutaj współtwórcą dzieła, a nie tylko biernym jego odbiorcą. Ale nie odpowiedziałeś mi na pytanie, czy podoba ci się stereon oglądany przez nas.

— Wcale nie myślę o jego treści. Przytłoczyła mnie forma tego widowiska. Czy dziki człowiek zastanawiałby się nad treścią słów spikera radiowego, gdyby ktoś przed nim postawił gadającą skrzynkę? Czuję się jak jeden z tych pierwotnych widzów, którzy chcieli uciec z sali, gdzie wyświetlano pierwszy w dziejach kinematografii film o pociągu wjeżdżającym na stację. Pochłania mnie mechanizm cudu, a nie fabularne losy ludzi walczących tu z terrorystami. Ponadto nadal jestem zdezorientowany jak dziecko. Na przykład nie rozumiem, co dzieje się z postaciami, które same wychodzą z wnętrza ekranu lub z innych powodów nie mieszczą się w jego obrębie.

— Nie muszę ci chyba drugi raz tłumaczyć, że żywy człowiek może opuścić ekran tylko jedną drogą — przez śmierć. Dla naszych ciał panoramiczne ściany tej obszernej klatki są nieprzenikalne, zaś inne postacie, jakie tu postrzegamy, również — w rzeczywistości przynajmniej nigdy — nie przedostają się na tamtą stronę. Gdy przekraczają płaszczyznę graniczną (komuś z nas, kto jej dotyka, przypomina ona doskonale przejrzystą szybę), obserwujemy je z wnętrza, jakby szły dalej w głąb stereoskopowego obrazu, który roztacza się poza tą niewidzialną granicą i stanowi przedłużenie wewnętrznego krajobrazu. Faktycznie jednak postacie te znikają w momencie wyjścia poza jedną z sześciu ścian ekranu. Przestają istnieć jako utwory przestrzenne, ale odpowiednie aparaty przechowują w swej pamięci dokładne zapisy ich budowy i odtwarzają je wielokrotnie w razie potrzeby, to znaczy przy każdym powrocie do wnętrza prostopadłościanu. „Nie ma tu żadnego cudu” — powiedzieliby w podobnych okolicznościach konstruktorzy pierwszego na świecie kinematografu. — „Ze względów technicznych cały pociąg nie mieści się na ekranie”. Wkrótce oswoisz się z tymi faktami. Lecz zanim to nastąpi, musimy pomyśleć o noclegu.

Polowanie

Nazajutrz rano zbudził mnie dzwonek telefonu. W pierwszej chwili nie zorientowałem się, gdzie jestem.

Leżałem pod kocem obleczonym w jasnozieloną kopertę, na wąskim tapczanie, w dość obszernym pokoju, którego dwie ściany wyłożone były kosztowną boazerią. Nuzan spał w łóżku naprzeciwko szerokiego okna. Jeden z rogów pokoju zajmował duży kolorowy telewizor. Hałasujący telefon stał pod ręką — na szafce ze stereofonicznym radioodbiornikiem.

Podniosłem słuchawkę. Dzwonił Melfei. Przeprosił mnie za pobudkę o tak wczesnej porze i zapowiedział, że za pół godziny złoży nam wizytę w hotelowym pokoju. Odkładając słuchawkę, spojrzałem na zegarek. Była siódma godzina. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że noc spędziliśmy w hotelu, gdzie przebywały terrorystki.

Poprzedniego dnia wieczorem, zanim zdecydowaliśmy się na nocleg w Głosie Ciszy, rozważaliśmy możliwość ukrycia się przed wywiadowcami de Stiny w innym hotelu. Szukaliśmy jakiegoś małego *albergo* lub *pensione*, lecz w pełni turystycznego sezonu trudno było znaleźć na Capri wolny pokój. Ponadto okazało się — i to było ważniejsze — że agenci nieustannie depczą nam po piętach. Nie mogliśmy ich zgubić. Fakt ten zmusił nas do zmiany poprzedniego planu: postanowiliśmy zamieszkać w Głosie Ciszy, gdzie de Stina wcześniej uregulował za nas wszystkie opłaty związane z dwutygodniowym pobytem.

W hotelowym hallu recepcjonistka rozpoznała nas natychmiast (chyba miała nasze zdjęcia) i bez wahania wręczyła nam klucz do pokoju 1628 oraz karty wstępu do lokalnych restauracji. Dopiero po chwili, jakby się spostrzegła, że zbyt prędko załatwiła meldunkowe formalności, zapytała miłym głosem: „*Signori Ibrahim Nuzan e Antoni Suchary, non e vero?*”. Gdy potwierdziliśmy, uśmiechnęła się i dodała: „*Benvenuti!*”. Przy okazji powitania poznałem imię Nuzana i odtąd — również w myślach — nazywałem go Ibrahimem.

Pokój nasz znajdował się na szesnastym piętrze. Zająłem łóżko przy oknie, z którego teraz — w porannym blasku słońca — roztaczał się poza

balkonem rozległy widok na zachodnią część wyspy. Nie mieliśmy ze sobą żadnych przyborów toaletowych. W łazience znalazłem tylko mydełka i ręczniki. Wszędzie panowała idealna czystość. Meble miały nowoczesne kształty. Wszystkie wnętrza były luksusowo urządzone. Dopiero w wannie — pod strumieniem gorącej wody — po raz pierwszy tego dnia zmroziła mnie myśl, że cały ten obraz jest dziełem „fabryki snów na jawie”.

Melfei zapukał o wpół do ósmej, gdy Ibrahim siedział jeszcze w łazience. Zaraz wyciągnąłem go stamtąd, gdyż nasz gość bardzo się niecierpliwił.

— Przed ósmą będziecie musieli rozpocząć wstępne eliminacje — oświadczył zagadkowo.

— Po co ten pośpiech? — zaprotestował Ibrahim. — Może ryby o tej porze dobrze biorą, ale dziewczyny śpią jeszcze, inaczej niż kury, a i koguty ostrzą dopiero swoje ostrogi.

Odwrócił się tyłem do naszego gościa i wyszedł na balkon, skąd zagwizdał „O sole mio”.

— Signor Nuzan. — W głosie Melfeiego zabrzmiała znów ta sama nuta z trudem powstrzymany gniewu, jaka poprzedniego dnia w czasie jego potyczki z Ibrahimem ostrzegła nas przed wybuchem Włocha. — Ja bardzo pana proszę o chwilę uwagi.

Nuzan wrócił do pokoju.

— Słucham.

— Czy pan w ogóle ma zamiar wziąć udział w opracowanej przez naszych zwierzchników „akcji TZ”?

— Akcja TZ? A cóż to takiego?

— To kryptonim wiadomej sprawy. Jakiś filozof z ministerstwa nazwał ją tak od pierwszych liter pseudonimów Gamma i Delta.

— Nie widzę żadnego podobieństwa między tymi literami.

— I ja go nie dostrzegam. Ale to podobno chodzi, by wszystkim zamieszać w głowach! Zdaniem tamtego dyplomaty, dzięki tej sprytnej mistyfikacji, ani nasi wrogowie, ani tezetowcy (tak nazwał funkcjonariuszy powołanych do służby w ramach TZ) nie pochwycą nigdy związku między naszą akcją i ekstremistami. Na tym polega ścisła konspiracja. Wywiadowcom nie możemy powierzyć tajemnicy zamachu „błysk16.07”, bo hultaje nie utrzymaliby języków za zębami. Wystarczyła

im standardowa bajka o dwu kobietach z obcego wywiadu, których tutaj szukamy. Dla waszej wygody noszą oni w klapach odpowiednie znaczki. Zapytani o pochodzenie symbolu TZ mają odpowiadać, że przyjechali do Głosu Cisy na Kongres... Turystów Zmotoryzowanych.

Melfei stuknął się palcem w czoło.

— Nikt w to nie uwierzy — przyznałem. — Na tak małej i skalistej wyspie trudno myśleć o turystyce zmotoryzowanej.

— Signor Antonio, — Włoch życzliwie uśmiechnął się do mnie. — Myśleć na wyspie, a jeździć po niej — to dwie różne sprawy. Zresztą w czasie obrad każdego kongresu wcale nie trzeba myśleć, a mówić można o najtrudniejszych sprawach. Ale czy zamierzacie nam pomóc w odnalezieniu bomby?

— Tak — odpowiedziałem zdecydowanym tonem.

— Ostatecznie... — Ibrahim posłał mi porozumiewawcze spojrzenie. — Po śniadaniu możemy się trochę pobawić. W tej chwili jednak — skoro świt i z pustym żołądkiem — nie mam ochoty na amory.

— Oj, signor Nuzan! Droczy się pan ze mną jak dziewczica, a do amorów jeszcze daleko. W Głosie Cisy mieszka obecnie blisko pięćset osób. Nasi wywiadowcy dokładnie zbadali sytuację. Z rozmowy podsłuchanej w rzymskim hotelu wynika, że Gamma i Delta są rówieśniczkami tamtej pary studentów, których wiek łatwo nam było ustalić. Studentka ma dwadzieścia jeden lat, a jej chłopiec — dwadzieścia trzy. Ponieważ zdanie studenta: „One są w naszym wieku” nie jest określeniem całkowicie jednoznacznym, na wszelki wypadek przedział wieku poszukiwanych kobiet rozszerzyliśmy do granic od osiemnastu do dwudziestu sześciu lat. Karty meldunkowe Głosu Cisy wskazują, że czterdzieści trzy pokoje tego hotelu zajmują pary kobiet w takim właśnie wieku. Wśród nich odnotowaliśmy dziewiętnaście par Włosek. One nas tylko interesują, bo pozostałe turystki są cudzoziemkami i w Italii przebywają okresowo. Oto spis numerów dziewiętnastu pokoi. Jeden z nich na pewno zamieszkują ekstremistki.

Wręczył nam dwie kartki. Zawierały wystukane na maszynie przez kalkę pionowe kolumny czterocyfrowych liczb.

— Noście je przy sobie — poradził. — Pierwsze dwie cyfry każdej liczby oznaczają numer piętra, a następne — pokoju. Dla dobra sprawy lepiej będzie, jeżeli nie zdradzę wam imion ani — tym bardziej —

nazwisk lokatorek tych pokoi. Przypadkiem moglibyście obudzić ich podejrzenia, gdybyście wiedzieli o nich więcej, niż same wam powiedzą.

— Czy wyobraża pan sobie, że każdy z nas będzie tu flirtował z dziewiętnastoma Włoszkami równocześnie? — spytał Ibrahim, unosząc głowę znad swego wykazu.

— Nie, tego nie przewidujemy. Aby z naszej listy wykluczyć wszystkie kobiety, które was w ogóle nie znają, musicie możliwie najszybciej rozpocząć wstępne eliminacje. Przypadkowe spotkanie w hallu lub wspólne śniadanie stwarza dobrą okazję do konfrontacji, jakie bary są tutaj czynne całą dobę, ale hotelowe restauracje wydają posiłki przez dwie godziny od chwili otwarcia: śniadania — od ósmej, obiady — od trzynastej, a kolacje — od osiemnastej. W hallu i wokoło basenów kąpielowych czuwają już nasi agenci z ekipy TZ. Będą was oni kierować na właściwe ścieżki i dyskretnie wskazywać te kobiety, których nazwiska zanotowaliśmy. Opuszczając hotel goście za każdym razem zostawiają swe klucze w recepcji. Fakt ten zezwala na przeprowadzenie szybkiej identyfikacji wszystkich osób. Działamy w porozumieniu z godnymi zaufania pracownikami hotelu. Bez naszej pomocy przez miesiąc nie znaleźlibyście ekstremistek w takim tłumie...

— A wy bez nas jeszcze bardziej bylibyście bezradni...

Ktoś zapukał do drzwi.

— *Avanti!* — Melfei uciszył Nuzana. — Czas na mnie. Zmieńcie ubrania i szybko zjeżdżajcie na parter. Potem postępujcie zgodnie ze wskazówkami wywiadowców.

Do pokoju wszedł mężczyzna ze szczeciną czarnego zarostu na smagłej twarzy. Melfei zamienił z nim kilka zdań po włosku i zniknął za drzwiami. W przybytku rozpoznałem Włocha, który razem z innymi ciemnymi typami transportował nas z Londynu na Capri, a potem pierwszy powitał nas w korytarzu Diamentowej Siedziby.

Luciano przyniósł paczkę zawierającą dwa kompletne ubrania. Nowe spodnie, koszule, kostiumy kąpielowe i lekkie sandały były tuzinkowe — takie, jakich najwięcej widziałem poprzedniego dnia na zatłoczonych ulicach Capri. Przebierając się, zrozumiałem, czym kierował się Melfei, gdy wybierał dla nas w sklepie te popularne stroje: chciał, aby ekstremistki miały trudniejsze zadanie. Jeżeli interesowały się nami, powinny rozpoznać nas bez scenicznych kostiumów. Dodatkową

przeszkodę stwarzał fakt, że na ekranie telewizora piosenkarz wygląda nieco inaczej niż w życiu codziennym.

— *Ho qualche cosa da vendere* — przemówił Luciano.

Przebraliśmy się pod czujnym spojrzeniem jego głęboko osadzonych oczu. Kiedy byliśmy gotowi do wyjścia, raz jeszcze oświadczył, że ma coś do sprzedania.

— A co? — zainteresował się Ibrahim.

— Niech on nam teraz nie zawraca głowy jakimiś ciemnymi interesami! — rozzłościłem się. — *Dopo, adesso abbiamo molta fretta!*

Wyszedłem na korytarz z kluczem w ręku.

— Na drobny handel zagraniczny przyzwoity człowiek zawsze znajdzie czas — oświadczył Ibrahim. — Może ma coś ekstra.

Został z Włochem w pokoju, stąd po chwili usłyszałem jego podniesiony głos:

— Idź do diabła!

Dopiero na parterze Nuzan zwierzył mi się, że Luciano oferował mu amerykańskie środki antykoncepcyjne.

Naprzeciwko Głosu Cisy stał Flore delia Luna — Księżycowy Kwiat. Obydwa hotele miały smukłe sylwetki. Były dwudziestopiętrowymi wieżowcami i górowały znacznie nad niskimi domkami Capri. (Faktycznie w dwudziestym wieku gmachów tych nie było za wiele.) Dzieliła je odległość stu pięćdziesięciu metrów. Przestrzeń między ich oszklonymi parterami prawie w całości zajmowały trzy duże baseny kąpielowe. W gładkiej powierzchni wody przeglądały się rosnące nad brzegami palmy i cyprysy.

W naszym hotelu działały cztery szybkie windy. Parter — obok obszernego hallu z recepcją — zajmowały dwie niezależne restauracje, zaś podziemie budynku — wielka dyskoteka o groźnej nazwie „Pod wysokim napięciem”. Ponadto w gmachu znajdowało się sześć małych barów kawowych, liczne bistra i druga dyskoteka, niewielka, ale bardzo głośna, a jeśli ktoś nie znosił hałasu, mógł tańczyć w jednej z sal konsumpcyjnych na dziesiątym lub dwudziestym piętrze wieżowca, gdzie na dansingach grały tradycyjne orkiestry. Było tam jeszcze wiele innych atrakcji, jak sala automatycznych gier i circorama, które odwiedzałem kolejno przy okazji licznych spotkań i spacerów z poznawanymi na wyspie kobietami.

Do obiadu, agenci Melfeiego skonfrontowali nas z jedenastoma parami, przy czym cztery dziewczyny rozpoznały nas, zaś numery pozostałych dziewięciu dwuosobowych pokoiw skreśliliśmy z listy, gdyż ich lokatorki najwyraźniej nie wiedziały, że jesteśmy popularnymi piosenkarzami. Oczywiście, w tej fazie akcji TZ nie mieliśmy jeszcze czasu na zawieranie znajomości: chodziło tylko o ustalenie prostego faktu, które z liczby trzydziestu ośmiu Włosek są wielbicielekmi zespołu „To tu — to tam”.

Więc najpierw, kręcąc się przed wejściem do jednej lub drugiej restauracji albo w czasie spaceru między idącymi na śniadanie ludźmi, wchodziliśmy w pole widzenia kobiet wskazywanych nam dyskretnie przez tezetowców, którzy wcześniej (za pośrednictwem znaczków ukrytych pod klapami) ujawnili swe kompetencje do dyrygowania nami. Następnie zjedliśmy śniadanie w towarzystwie dwu podejrzanych kobiet, a kiedy sympatyczne siostry opuściły salę, przysiedliśmy się do innej pary. Nie przeszkodził nam fakt, że brunetki rozmawiały z przystojnymi Niemcami i wcale na nas nie zwróciły uwagi: stoły tu były duże, ośmioosobowe, więc przy nieustannej rotacji konsumentów hotelowi goście mogli podczas każdego posiłku zawierać nowe znajomości. Wkrótce wtajemniczony kelner podał mi kartkę z wiadomością, że w bliźniaczej restauracji kończy śniadanie samotna dziewczyna. Jej koleżanka zachorowała i pozostała w łóżku.

Do godziny dziesiątej jeszcze dwukrotnie zmieniliśmy restauracje, a potem blisko przez godzinę czatowaliśmy w głębokich fotelach naprzeciwko recepcji. Zajrzeliśmy też do kilku barów. W hallu wielu wczasowiczów paradowało w kostiumach kąpielowych, co mi nasuwało myśli o chłodnej wodzie, bo upał robił się coraz większy.

Wreszcie przebraliśmy się w pokoju na górze i wyszliśmy między ludzi opalających się przy basenach pod hotelem, gdzie inni wywiadowcy raz jeszcze zapędzali nas do roboty; czasem trzeba tam było położyć się na leżaku obok jakiejś dziewczyny, kiedy indziej zastąpić jej drogę na ścieżce lub wskoczyć razem z podejrzaną do wody. Słońce prażyło nieomal ze środka kopuły lazurowego nieba. Ukryty w cieniu Melfei spoglądał spod parasola i cieszył się pewnie w każdym przypadku, gdy jego prześladowane rodaczki nie reagowały na nasz widok. Ich obojętność zwiększała szansę odnalezienia bomby. Tezetowcy operowali

małeńkimi nadajnikami radiowymi. Porozumiewali się przy ich pomocy w obrębie hotelu i wokoło basenów, często zmuszając nas do zmiany stanowiska.

Cała ta gonitwa przypominała polowanie z nagonką; jednak najczęściej wcale nie odzywaliśmy się do tropionych kobiet: śledziliśmy tylko ich zachowanie po niemej konfrontacji; interesowały nas ich miny i gesty po spotkaniu oraz reakcje w chwili, gdy nas dostrzegały. Bo główną rolę w tej fazie eliminacji odgrywały nie słowa, lecz spojrzenia i — ewentualnie — ich wymiana, jeśli kobiety zwracały na nas uwagę i miały z kim dzielić się wrażeniami.

Wszystkie nadzieje opieraliśmy na przekonaniu, że poszukiwane ekstremistki same w końcu powinny się zdradzić. Wiadomo, jak trudno jest zachować obojętność, gdy w pobliżu przebywa jakaś znana postać lub ulubiony aktor; każdy podgląda go kątem oka i — przy kilku powrotach — przynajmniej raz obejrzy się za nim. W oczach mijanej kobiety szukaliśmy błysku ciekawości, lecz z ich wyrazu nie musieliśmy natychmiast wywnioskować, czym to zainteresowanie zostało wywołane: czy naszą popularnością na estradach, czy banalnym faktem, że byliśmy mężczyznami. Toteż jeżeli dziewczyny patrzyły na nas obojętnie jak na kołki w płocie, a potem nie szukały nas wzrokiem, skreślaliśmy je z listy podejrzanych. W tłumie hotelowych gości wielokrotnie byliśmy obserwowani lub nawet zaczepiani przez różnych sympatyków piosenki. Ci ludzie nie należeli jednak do grupy określonej planem TZ i dlatego my z kolei nie zwracaliśmy na nich uwagi.

Melfei miał zadowoloną minę, kiedy o pierwszej godzinie wywiadowcy zapoznali go z wynikiem dotychczasowej akcji. Tylko dwie z liczby jedenastu przeprowadzonych prób „na rozpoznanie” dały pozytywny wynik. Agenci podkreślili w swych notesach numery pokoiów 0216 i 1507.

Pierwsza para wpadła w zastawione przez tezetowców sidła wkrótce po śniadaniu, gdy siedzieliśmy w fotelach ustawionych w hallu.

Zobaczyłem tam dwie dziewczyny, które opuszczając windę skierowały się do wyjścia na baseny. W połowie drogi wzrok jednej z nich spoczął na naszych twarzach. Natychmiast zatrzymała się i trąciła swoją koleżankę. Tamta również znieruchomiała w pozie wyrażającej zaskoczenie. Po sekundzie wahania podeszły do recepcji, gdzie zostawiły

klucz. Dwaj mężczyźni z krawędzi basenu przywoływali je do siebie, lecz one zwlekały pod pretekstem zakupu widokówek. Staraly się przybrać obojętne miny, ale obecność grupy „To tu — to tam” w hotelu na Capri najwyraźniej musiała je zaintrygować. Przy szklanych drzwiach raz jeszcze zerknęły do wnętrza hallu. Zajmowaliśmy miejsca w grupie wielu innych ludzi, nietrudno więc było odgadnąć, dlaczego akurat nam przyglądały się z ukrywanym zainteresowaniem.

Po chwili wywiadowca siedzący obok recepcjonistki mrugnął do nas, wskazując dziewczyny znaczącym ruchem głowy. Ta, która pierwsza nas dostrzegła, malowała się wyzywająco i robiła głupie miny. Miała ładne włosy, ale w rysach jej twarzy coś mi się nie podobało. Koleżanka jej — również brunetka — była jeszcze niższa i masywna przy tym, chociaż uśmiechała się sympatycznie.

W sumie — raczej obydwie nie wyglądały zbyt pociągająco. Wywiadowca zanotował numer ich pokoju, więc klamka zapadła. Zaniepokojony tym faktem zajrzałem w oczy Nuzanowi i zobaczyłem w nich rozpacz. Cóż mogłem powiedzieć mu na pocieszenie? Nie byłoby tu dramatu, gdybyśmy musieli z tymi dziewczynami spędzić życie na bezludnej wyspie. Z dala od możliwości porównania łatwiej pogodzić się z nieszczęściem i w końcu dostrzec zalety nawet tam, gdzie ich nie ma. Ale tutaj byliśmy narażeni na liczne pokusy: wokoło kręciły się atrakcyjne kobiety, do których pachołcy de Stiny nie pozwalali nam podejść.

Humory odzyskaliśmy dopiero na basenie, gdzie dwie inne Włoszki zaczęły nas wprost, wykrzykując nasze nazwiska. Były starsze od tamtych, poznanych w hallu, ale znacznie od nich ładniejsze. Na mnie zwróciły uwagę w chwili, kiedy kierowany przez agentkę pływającą ze znaczkiem ukrytym w biustonoszu wynurzyłem się przy nich z wody. Narobiły zaraz wielkiego hałasu, aż Ibrahim zwabiony ich okrzykami skoczył z trampoliny pomiędzy nasze głowy. Jego też natychmiast rozpoznały, więc musiałem tłumaczyć mu komplementy, jakich nie szczędziły naszemu zespołowi.

Pływaliśmy przez kilka minut razem. Na brzegu okazało się, że obydwie są zgrabne i pięknie opalone. Nie mogliśmy sobie niczego lepszego życzyć, toteż mieliśmy ochotę trochę poflirtować z nimi, zwłaszcza że jedna z nich mówiła niezłe po angielsku. Druga miała duże,

nieco podkrążone oczy i ta szczególnie przypadła mi do gustu.

Chociaż obydwie należały do grupy kobiet tropionych, Melfei ze swego stanowiska pod parasolem rozkazującym gestem skierował nas w drugi koniec zespołu basenów. By mieć całkowity obraz sytuacji, zamierzał pewnie wypróbować najpierw wszystkie pozostałe pary. Nasze nowe znajome powróciły na leżaki. Zdążyliśmy tylko zapytać je o imiona. Nazywały się Marisa i Clara. Mieszkały na piętnastym piętrze Głosu Ciszy pod numerem 1507.

Po uzyskaniu tej informacji zniknęliśmy w ogrodzie otaczającym baseny.

Psychopatka

Wielkie restauracje na parterze — Głosu Ciszy, podobnie jak jadłodajnie w wioskach wakacyjnych w rodzaju Citta del Mare na Sycylii, wydawały posiłki i wino własnej produkcji w nieograniczonej ilości. Lokale te były samoobsługowe. Gość hotelowy, płacąc za pobyt, otrzymywał bloczek kart wstępu. Przed wejściem oddawał bileterce aktualny odcinek, po czym z tacą i pustymi talerzami wędrował po obszernym przedsiionku sali, który zajmowały stoły uginające się pod ciężarem różnorodnych potraw. Każdy sam sobie wybierał i nakładał dania zimne — wystawione na porcelanowych półmiskach, lub gorące — ze stolika z brytfannami tavolo calda. Wino kelnerzy roznosili w wielkich dzbanach, lecz ono nam nie smakowało. Natomiast w pozostałych lokalach gastronomicznych hotelu za wszystko trzeba było płacić gotówką.

Za kwadrans pierwsza wyszliśmy z basenu i na ławce pod hotelem kilkoma celnymi zdaniem przeanalizowaliśmy problem, jak zdobyć zaufanie Marisy i Clary. Myśląc o tym, że bez nafty znacznie trudniej jest przełamać opór groźnych terrorystek, w drodze na obiad zatrzymaliśmy się pod stoiskiem z poważniejszymi alkoholami.

W hallu robił się tłok. Ponieważ w sklepie stało już kilku popołudniowych amatorów, aby nie tracić czasu, Ibrahim zostawił mnie w niespokojnej kolejce i poszedł do kiosku z drobiazgami po przybory toaletowe, których brakowało nam w łazience.

Kupiłem litr whisky i mocnym krokiem ruszyłem pod windy.

— Jak tam? — spytał z daleka, wracając ze swymi zakupami.

Podniosłem ręce uzbrojone w butelki.

— Mało! — rzucił.

— Zwariowałeś?

— A skąd wiesz, czy do wieczora zdążymy rozkopać grunt wokoło tej bomby?

— Przekopimy się do niej za kilka dni, kiedy dziewczyny złagodnieją nieco i zmiękną.

— Jaki ty jesteś niedoświadczony! — Podał mi torbę ze swoimi

zakupami i wyciągnął rękę po pieniądze. — Trzeba je zaraz rozpalić i kuć żelazo, póki gorące.

Wrócił do sklepu, a ja wsiałem do windy. Wszedłem do niej tyłem, nacisnąłem guzik szesnastego piętra i dopiero wtedy spostrzegłem, że w rogu kabiny stoi Lucia — jasnowłosa dziewczyna, na którą zwróciłem uwagę poprzedniego dnia w kolejce, kiedy jechaliśmy do portu Marina Grande.

Tym razem wcale nie spojrzała w moją stronę. Przyjechała z góry, ale nie wysiadła na parterze. Była czymś bardzo zdenerwowana i zachowywała się dziwnie. Patrzyła w przestrzeń obok mnie oczami, z których wyglądało przerażenie. Rozbawiony rozpędem Ibrahima w przygotowaniach do spotkania z Marisą i Clarą nie od razu uświadomiłem sobie, że Lucię już wcześniej musiał sparaliżować w windzie jakiś wyimaginowany obraz.

Jeszcze przez chwilę miała taką minę, jakby w przeciwległej ścianie zobaczyła upiora.

— Co ci jest? — spytałem po włosku.

Drgnęła i skoczyła do drzwi. Rzuciła mi po drodze krótkie spojrzenie. Pochwyciłem w nim niemą prośbę o ratunek.

Ponieważ cofała się w kierunku otwartej ściany, gdzie ze znaczną prędkością przemykały drzwi kolejnych pięter, aby nie dopuścić do wypadku, objąłem ją w pasie rękami. Patrząc gdzieś w dal ponad moim ramieniem, skwapliwie przytuliła się do mnie. Miałem na sobie tylko kąpielowy kostium, a ona ubrana była w lekką, zapinaną na guziki sukienkę, przez którą poczułem na gołej skórze jej gorące uda i piersi.

Zamiast słów pocieszenia świadomość wypełniło mi pytanie: „Kim ona właściwie jest?”. Wsłuchując się w uderzenia naszych serc, próbowałem myśleć o nieszczęściu tej zagadkowej istoty, ale fizycznie trwałem tuż przy jej rozchylnych ustach i cieszyłem się blaskiem oczu, choć ich źrenice rozszerzał lęk.

Była piękna i tak wystraszona, że pewnie do chwili, gdy pocałowałem ją w usta, nie widziała we mnie mężczyzny, tylko jedną w kabinie osłonę przed urojoną groźbą. Bezwiednie odwzajemniła mój uścisk. Lecz kiedy winda znieruchomiła na szesnastym piętrze, dziewczyna wyrwała mi się z ramion i wyskoczyła na korytarz. Tyle ją widziałem, ile trwa połączenie styków elektrycznych, bo zaraz ktoś

ściągnął windę na wyższe piętro, skąd natychmiast zbiegłem po schodach, by z rozpaczą stwierdzić, że w korytarzu nikogo już nie ma.

„Dlaczego nie wysiadłem razem z nią?” — ryknęło coś we mnie. — „Ponieważ zatrzasnęła drzwi i przytrzymała je” — odparłem. Ale dziwna sprawa: nie byłem tego pewny.

Nasze drugie spotkanie trwało zaledwie dwadzieścia kilka sekund. Oszołomiony jego niezwykłym przebiegiem, to cieszyłem się myślą, że w ogóle do niego doszło, to już widząc siebie w roli jej opiekuna, wyrzucałem sobie rażący błąd w postępowaniu z człowiekiem umysłowo chorym.

Lucia miała jakieś przywidzenia. Trzeba było najpierw zorientować się, o co w tym przypadku chodzi. Atmosfera bezpieczeństwa pomogłaby jej przewyciężyć nieuzasadniony strach. A czy moje zachowanie w windzie miało coś wspólnego z przywoływaniem spokoju? Czy nie zmarnowałem jedynej okazji do zawarcia znajomości z tą dziewczyną? Nie pozyskałbym jej zaufania i dlatego uciekła.

„Przesada — pomyślałem zaraz. — Ona nic nie miała przeciwko temu, że ją tam w zamieszaniu pocałowałem. Uciekła, bo kobiety lubią grę w chowanego”.

W każdym razie wcale nie miałem pewności, czy Lucia mieszka w Głosie Ciszy i czy ją jeszcze kiedyś zobaczę. Zły no siebie i przygnębiony błąkałem się w pustych korytarzach kilku niższych kondygnacji. Wreszcie wróciłem na szesnaste piętro, — gdzie Ibrahim czekał na klucz do naszego pokoju.

Bez słowa otworzyłem drzwi i wyszedłem na balkon. Było bardzo gorąco. Żadna chmura nie przesłaniała głębokiego lazuru nieba. Do przystani w Marina Grande podpłynął statek. W centrum Capri panował ożywiony ruch, ale teren wokoło basenów między hotelami nieco opustoszał. Przez chwilę, śledziłem pojazdy jadące drogą do wioski Anacapri, którą z tej strony wyspy przysłaniał szczyt Monte Solaro.

Cały ten sugestywny obraz istniał daleko poza ramami ekranu. Naraz przyszło mi do głowy, że o Lucię mógłbym zapytać w recepcji.

— Nie mam ochoty flirtować z tamtymi dziewczynami — powiedziałem, wracając do pokoju.

Na stole stały cztery butelki whisky. Ibrahim podał mi jedną z napełnionych szklanek.

— Przed kwadransem byłeś w lepszym nastroju — zauważył ze zdziwieniem.

— To fakt.

— Zmieniło się coś?

— Może.

— Co?

Nie chciałem nudzić go opowiadaniem o mojej przygodzie i znajomej z windy.

— Kiedyś na Monte Solaro był wyścig krzeselkowy — powiedziałem z nadzieją, że uda mi się wykręcić. — Pojedziemy tam?

Przyjrzał mi się uważnie spoza szeregu butelek.

— Jeżeli masz na myśli wspólną jazdę z Marisą i Clarą, to przestałem cię rozumieć. Chcesz o bombie wodorowej paplać z pijanymi dziewczynami na takim wyciągu? Chyba nie wiesz, jaka jest odległość między kolejnymi krzeselkami! Ja w Clarę zamierzam wlać szklanek whisky i wyciągnąć się z nią w łóżku, a nie na jakimś krzeselku.

Myślałem o tym, jak dyskretnie pozbyć się Ibrahima i podejrzanych kobiet razem z towarzyszącymi im agentami, by mi nie przeszkadzał w poszukiwaniu Lucii.

— Zaproś Clarę do naszego pokoju — zaproponowałem. — Ponieważ nie muszę asystować wam przy zawieraniu bliższej znajomości, pojedę do Anacapri.

— Wylecę za tobą z łóżka, zanim tam dojdiesz.

— Co ty znów pleciesz?

— Ściana bloku stojącego na kinopłanie wypchnęłaby mnie przez okno, gdybyś wszedł do autobusu i pojechał w tamtą stronę. Zapomniałeś o wymiarach ekranu?

— Prawda!

— W tej chwili prostopadłościan obejmuje obydwa hotele i zespół basenów zbudowanych między nimi.

— W takim razie pójdę się wykapać.

— Chory jesteś?

— Nie.

— Więc przestań się wreszcie wygłupiać! — Wlał alkohol do szklanek i dopełnił je tonikiem. — Spędzimy popołudnie w miłym towarzystwie. Nie wiadomo, co wyniknie z pierwszego spotkania, ale ta

zabawa to nasz obowiązek. Teraz nie możemy już wycofać się z rozkręconej akcji, bo Melfei zna wytrzymałość napiętej struny i wkrótce zdenerwują go nasze kaprysy. Sytuacja jest groźna: dopóki działamy zgodnie z ich planem, Włosi są grzeczni i serdeczni dla nas, zwłaszcza że tylko od naszej dobrej woli i pomysłowości w postępowaniu z ekstremistkami zależy los mieszkańców zagrożonego miasta.

— Ich życie to fikcja.

— Fakt, że niczego nie ma poza ścianami ekranu. Ale dzięki temu stereonowi nie musimy teraz przepychać się w tłoku pod Dachem Świata.

— Mógłbyś mi w końcu powiedzieć, co się tam właściwie dzieje!
Uśmiechnął się i nagle sposepniał.

— Nie dzisiaj — mruknął. — Przynajmniej przez kilka dni nie zwracaj mi głowy tym tematem.

— Zauważyłem, że starannie go unikasz.

Teraz on z kolei wpadł w ponury nastrój.

— Po co ludzie kiedyś kręcili filmy? — spytał.

— Dlatego między innymi, by oglądając je, zapomnieć o określonej rzeczywistości.

— Właśnie! Stereon jest dla mnie tym, czym w twojej epoce był film dla człowieka zamurowanego w więziennej celi.

— Domyślam się, dlaczego mówisz niechętnie o sytuacji ludzi dziewięćdziesiątego szóstego wieku.

— To czemu przypominasz mi nieustannie, gdzie faktycznie jesteśmy?

— Postaram się opanować ciekawość do czasu nierzeczywistej śmierci. Jednak mógłbyś być dla mnie bardziej wyrozumiały.

Wypiliśmy przygotowany aperitif.

— Pamiętasz, skąd przylecieliśmy na Dach Świata? — odezwał się po chwili milczenia.

— Z góry.

— I odtąd przebywamy tu nielegalnie: jak widzowie w kinie bez ważnych biletów. W kolejce do wolnego miejsca na kinopłanie trzeba czekać przez długie lata. Mimo to, dzięki różnym zręcznym manewrom, większą część życia spędziłem w stereonach. Ich akcja toczyła się zwykle w okolicach dwudziestego wieku. Faktowi temu zawdzięczam dobrą

orientację w sprawach dotyczących twojej epoki oraz znajomość waszego archaicznego języka.

Podniósł się z krzesła.

— Idziemy na obiad?

— Jeszcze jedno pytanie — zatrzymałem go. Świadomość zajmowało mi wspomnienie sugestywnego obrazu psychopatki. — Czy oni myślą i czują?

— Kto?

Znieruchomiał naprzeciwko lustra.

— Ci wszyscy ludzie, którzy tutaj nas otaczają lub kręcą się gdzieś dalej we wnętrzu trójwymiarowego ekranu.

— Chyba żartujesz. Równie dobrze mógłbyś spytać, czy myśli i uczucia towarzyszą ruchom obrazów ludzi w dwudziestowiecznym kinie. Gra światła i cieni na ekranie filmowym tylko w nas wywołuje myśli i uczucia. Przecież tych płaskich postaci żaden widz nie utożsamia z autentycznymi ludźmi. Są one martwymi przekąźnikami żywych idei, przy których pomocy twórcy przemawiają do odbiorców. Udoskonalenia techniczne na drodze do fotografii poprzez film do stereonu niczego istotnego w tej iluzji nie zmieniły: wzrósł tylko znacznie stopień złudzenia zmysłowego widzów, ale wprowadzenie trzeciego wymiaru do filmu nie dało tym postaciom duszy, podobnie jak kiedyś statycznych fotografii — w ścisłym tego słowa znaczeniu — nie ożywił fakt, że kino je uruchomiło.

— Więc oni nie mają świadomości istnienia? — spytałem raz jeszcze.

Wzruszył ramionami i stuknął się palcem w czoło.

— Wybij to sobie z głowy.

Sposób użycia

Zanim opuściliśmy pokój, Ibrahim zadzwonił pod numer 1507 — do Marisy i Clary. Dziewczyny wróciły już z restauracji. Słuchawkę podniosła Clara, która znała angielski. Powiedziała, że wybierają się do Marina Grande, gdzie mają zamiar wynająć łódkę i popłynąć do Lazurowej Groty. Ibrahim starał się zmienić ich plany; w końcu poprosił, aby czekały na nas w pokoju do trzeciej.

Obiad zjedliśmy przy stole zajmowanym przez hałaśliwą grupę młodych Włochów. Siedziała tam między innymi druga para sióstr. Wskazał je nam przy wejściu dyżurujący w restauracji wywiadowca. Pierwszą parę sióstr z grupy podejrzanych kobiet spotkaliśmy rano na śniadaniu, i tym razem spróbowaliśmy wtrącić się do rozmowy prowadzonej przy stole. Siostry wyglądały bardzo młodo. Były bliźniaczo do siebie podobne. Choć Ibrahim stroił uwodzicielskie miny, prawie nas nie zauważyły.

W drodze do wyjścia spostrzegłem, że agent skreślił w notesie numer ich pokoju. Odesłał nas przy tym w drugi koniec sali — do kobiety z wyglądu bardziej zaawansowanej w latach, niżby to wynikało z górnej granicy wieko określonego na „czarnej liście”. Trzymała na kolanach dziecko. Karmiąc je, kłóciła się z pozostałymi członkami neapolitańskiej rodziny. Z niechęci jej spojrzenia i reakcji w chwili, gdy Ibrahim żartobliwie pociągnął malca za ucho, łatwo było wywnioskować, że i ta próba wypadła negatywnie.

Dopiero w hallu jakiś młody funkcjonariusz TZ zwrócił moją uwagę na ładną szatynkę, która według jego słów od rana nie spuszczała nas z oka. Podobno była na basenie przed południem i obserwowała naszą zabawę w wodzie. Również podczas obiadu zaglądała przez szybę do wnętrza sali, wędrując za nami wzrokiem. Chłopak był bardzo podniecony swoją rolą, ale zachowywał się dyskretnie.

Nuzan bez wahania podszedł do stojącej pod hotelem dziewczyny. Rozmawiał z nią kilka minut. Oboje uśmiechali się do siebie i gestykulowali. Domyśliłem się, że jego nowa — potencjalna — ofiara słabo zna angielski.

— Jak ci poszło? — spytałem, gdy rozstał się z Włoszką i wszedł za mną do windy.

— Umówiłem się z nią na ósmą — oświadczył.

— Czego się dowiedziałeś?

— Zna nasze nazwiska i wie, w jakim zespole śpiewamy.

— Zapytałeś ją o to?

— Nie, sama mi powiedziała.

— Z tego może coś być.

Patrzyłem na swoje odbicie w lustrze. Jeżeli można było mu zaufać, rzeczywiście — zgodnie z zapowiedzią Ibrahima — wyglądałem bardziej świeżo i chyba byłem nieco młodszy.

— Widziałeś ją? — Grzebał w kieszeni, zerkając do lustra.

— Kogo?

— A o kim mówimy?

— Tę czarną, pod hotelem?

— Tak.

— Z daleka.

— Dobra jest, prawda? — Wyjął kartkę z numerami pokoiów. — Muszę zapisać, bo w końcu pogubimy się w szczegółach. Mamy już pięć podejrzanych na liście.

— Jest niezła — przyznałem, myśląc o ostatnio poznanej dziewczynie, która miała urodę typową dla kobiet z północnych brzegów Morza Śródziemnego.

— Zaraz po kolacji pójdziemy na dyskotekę. Łatwo dała się namówić.

— Pewnie będziesz miał kłopoty z jej angielskim, gdybyście czasem chcieli porozmawiać.

— Jakoś sobie poradzimy. Mieszka pod numerem 1205. Ma na imię Caterina.

— A jej koleżanka?

— Dowiem się wieczorem.

Wstąpiliśmy najpierw do naszego pokoju, skąd Ibrahim wyniósł dwie butelki i szklanki. Wypiliśmy tam jeszcze po jednym. Przed trzecią zeszliśmy schodami na piętnaste piętro i zapukaliśmy do drzwi oznaczonych numerem 1507.

Nasze znajome z basenu kończyły już przygotowania do

zapowiedzianej wycieczki.

— *Siamo pronte* — powiedziała Marisa.

Ibrahim uniósł brwi.

— Są gotowe — przetłumaczyłem.

— My również! — Podszedł tanecznym krokiem do stołu i postawił butelkę.

Clara spojrzała na niego krytycznie.

— Myślałam, że popłyniemy do Lazurowej Groty.

— I nie pomyliłaś się. — Napełnił cztery szklanki. — Już płyniemy. Tylko nie chlapcie!

Nie były zadowolone. Po kilku unikach z ich strony zaproponowałem toast z okazji zawarcia tak miłej znajomości. Podniosły szklanki do ust z prawdziwie włoskim temperamentem, lecz podczas gdy my obaj wypiliśmy do dna, one ledwie zmoczyły wargi.

Clara powróciła zaraz do tematu Lazurowej Groty. Z wypiekami na twarzy poinformowała nas, że słynna pieczara jest wielką atrakcją dla licznych turystów odwiedzających Capri. Aby się do niej dostać, trzeba wynająć łódkę w Marina Grande, gdyż wejście do olbrzymiej jaskini znajduje się w wapiennej skale od strony morza. Podobno otwór wiodący do niej ma zaledwie półtora metra wysokości. Kiedy świeci słońce, wewnątrz Lazurowej Groty zalewa urzekające światło, które przenika błękitną wodę, oświetlając jej śnieżnobiałe dno.

Następnie dziewczyna streściła nam historię wyspy. Przez jakiś czas Ibrahim uprzejmie podtrzymywał ten temat, chociaż w warunkach ostrego zagrożenia atomowego pewnie trudno mu było myśleć o ruinach starożytnych willi cesarzy rzymskich, Clara zaś — podniecona wizją zaczerpniętą z turystycznego przewodnika — tak wzruszyła się własnym opowiadaniem, że nie zauważyła nawet jego ręki na swoich kolanach.

Marisa nieufnie przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej w języku angielskim. Naraz wskazała mi naszą torbę, z której wystawała szyjka drugiej butelki.

— *Che cosa avete portato?*

W tym momencie Ibrahim przeniósł zainteresowanie z kolan na dłonie Clary i natychmiast dostał po łapie.

— Co ona tam śpiewa? — rzucił w moją stronę, by odwrócić uwagę swej nadąsanej partnerki.

Mimo to Clara wstała. Oświadczyła, że zrobi nam kawę. Wyjęła grzałkę i poszła do łazienki po szklanki.

— Marisa wysłedziła nasz utrwalacz — odpowiedziałem na pytanie Ibrahima.

Podniósł się z łóżka i chwiejnym krokiem powędrował do stołu, skąd podszedł do Marisy z butelką w ręku.

— A nieładnie — mruknął. — Grzeczna dziewczynka nie zaglądałaby do cudzej torebki.

Dopełnił jej szklankę.

— *Troppo!* — wykrzyknęła.

— O! — Rozejrzał się bacznie dookoła siebie. — Znowu coś wytropiła.

— Tym razem nie — zaprzeczyłem. — Marudzi tylko, że za dużo jej naląłeś.

— Za dużo? — Zachwiał się na nogach.

— *Troppo* — powtórzyła Marisa.

— A ja ci mówię, że nie za dużo.

— *Lui ha detto che non e troppo* — przełożyłem pilnie.

— *Mi dispiace molto, ma tanto non posso.*

— Bardzo jej przykro, ale tak wiele nie może.

— Może! — Tupnął nogą.

— Jeżeli do wieczora macie zamiar prowadzić takie rozmówki, to znajdźcie sobie innego tłumacza — zaprotestowałem.

— Poczekaj. — Zmierzył mnie błędnym wzrokiem. — O czym to ja ostatnio mówiłem?

— Powiedziałeś, że już nie możesz pić — podsunąłem skwapliwie. — I miałeś rację.

— Ja? — obruszył się. Wyjął szklankę z rąk Marisy i przechylił ją nad gardłem. — Oto!

Odwrócił szklankę do góry dnem.

— *A meraviglia!* — ucieszyła się Marisa.

— A co?

— Zachwyciłeś ją — wyjaśniłem.

— Drobiazg.

Wyprostował się dumnie. Zatoczył przy tym ręką nad telewizorem i strącił z niego wazon z kwiatami. Hałas zainteresował Clarę.

— Co wy tu wyprawiacie? — spytała, wracając do pokoju.

W kilku prostych słowach opisałem jej przebieg alkoholowego incydentu. Przyjrzała się Ibrahimowi.

— Nie nabierajcie mnie! Trzy czwarte szklanki?

— Tyle! Ani mniej, ani więcej.

Z poważną miną sięgnął po butelkę, by dokładnie wskazać, ile tego było. Ponieważ nie dowierzała, że jednym haustem mógł wypić taką ilość nierozwodnionej whisky, zanim zdążyłem go powstrzymać, urażony Ibrahim powtórzył swój popisowy numer.

Clara zaparzyła kawę. Podała ją nam, postawiła na stole talerz ze słodyczami i włączyła telewizor. Na ekranie ukażą to się dwóch smętnych panów. Prowadzili między sobą żywą dyskusję. Jeden mówił przyjemnym, niskim głosem, chociaż wypowiadał się zbyt lakonicznie, drugi argumentował piskliwie, ale za to budował zdania znacznie dłuższe. Fonicznie uzupełniali się i nawet nam nie przeszkadzali, tym bardziej że po wyczerpaniu alkoholowego tematu (głównie na skutek pogłębiającego się spadku formy Ibrahima), również przez następny kwadrans nasza rozmowa ani razu nie dotknęła ponurych i niebezpiecznych spraw związanych z terroryzmem.

Tylko Marisa konsekwentnie oglądała telewizję. Po zakończeniu audycji wtajemniczyła mnie, że bas został zagłuszony przez alt, co ją zdenerwowało, gdyż o problemach seksualnych — również jej zdaniem — należałoby mówić otwarcie.

Naraz zadzwonił telefon. Słuchawkę podniosła Clara i po chwili wręczyła mi ją. Poznałem głos sędziwego de Stiny. Wzywał nas do Diamentowej Siedziby na bardzo poważną naradę taktyczną. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie w pełni, gdzie jesteśmy i w jakim celu sprowadzono nas na Capri.

„Bardzo poważna narada” — pomyślałem. Wiedziałem, o czym tam będziemy mówili, toteż z niepokojem przyjrzałem się Ibrahimowi. Niestety, nie wyglądał dość poważnie: właśnie w tej chwili gramolił się z podłogi na łóżko Clary, by ponownie — zgodnie ze swym południowym planem strategicznym — wyciągnąć się tam, gdzie już raz wspólnymi siłami go ułożyliśmy. Zastanawiałem się, skąd de Stina wiedział, w jakim pokoju znajdzie nas o tej porze. Nie chciałem mu powiedzieć prawdy. Poprosiłem go o numer telefonu Diamentowej Siedziby i obiecałem, że

wkrótce zadzwonię.

Więc pudło. Już wyobrażałem sobie scenę, w której ten dostoyny starzec będzie nas pouczał, jak należy postępować z kobietami. Stosowany przez Ibrahima system zdobywania informacji — w przypadku Marisy i Clary — nie zdał egzaminu. Teraz ja musiałem okazać inicjatywę i ruszyć sprawę z martwego punktu. Ale jak?

Terroryzm — przynajmniej w pierwszej fazie zawierania znajomości — był tutaj tematem zakazany. Nie wolno nam było poruszyć go w obecności podejrzanych kobiet, ponieważ obudzilibyśmy w nich nieufność, grzebiąc raz na zawsze szansę odnalezienia bomby. Lecz przecież żadna z ekstremistek — spontanicznie — nie powierzyłaby tajemnicy człowiekowi prawie całkowicie obcemu. De Stina opierał swe nadzieje na fakcie, że poszukiwane Włoszki od dawna interesowały się nami. W myśl jego planu — wykorzystując tę sprzyjającą okoliczność — trzeba było zbliżyć się do nich, zaprzyjaźnić, zdobyć ich zaufanie — może nawet miłość.

Zostawiłem zwłoki Ibrahima na pastwę trzeźwej Clary i pod pretekstem, że pójdziemy na spacer, wyciągnąłem Marisę z pokoju.

W windzie nacisnąłem guzik szesnastego piętra.

— Gdzie chcesz iść? — zdziwiła się.

— Wstąpimy na chwilę po papierosy do mojego pokoju.

Oczywiście, mówiliśmy po włosku, a papierosy miałem w kieszeni. Kiedy wszedłem do środka, Marisa została na korytarzu.

Drzwi były szeroko otwarte.

— Zobacz! — zawołałem z balkonu. — Jaki piękny widok.

— Taki sam, jak z mojego okna — odpowiedziała z korytarza.

— Nie wejdiesz na chwilę?

Napełniłem dwie szklanki pomarańczowym sokiem, wypłem resztę z butelki i zapaliłem papierosa.

— Długo jeszcze będziesz tam marudził? — zniecierpliwiła się. — Weź te papierosy i idziemy.

Oj, niedobrze — pomyślałem. — Jest bardzo ostrożna. Może być z nią ciężka sprawa. Co robić?

— Antonio.

— Słucham.

— Jeżeli lubisz rozległe krajobrazy, to możemy pójść do kawiarni na

szczybie Głosu Ciszy.

Machnąłem ręką.

— Zgoda.

Pojechaliśmy na dwudzieste piętro. Marisa miała rację. Z wysokości dachu wieżowca można było zobaczyć znacznie więcej niż przez okno hotelowego pokoju: pełną panoramę wyspy i jej okolic. Przez dwie godziny rozmawialiśmy nad porcjami kremów. Źle się czułem w roli szpiega. Nie pytałem jej o nic, bo sama wiele opowiadała mi o sobie. Miała dwadzieścia sześć lat. Mieszkała z rodzicami w Mediolanie i pracowała tam w domu towarowym jako ekspedientka. Z opisu jej sytuacji materialnej wynikało, że nie była mężatką, miała jednak dziecko — dwuletnią dziewczynkę. O tym dziecku też chętnie mi mówiła.

To nie ona — pomyślałem w pewnej chwili. — Chociaż kto wie? Co na jej miejscu wymyśliłaby rzeczywista terrorystka? Kilka razy zapytała mnie o szczegóły z życia i o najbliższe plany naszego zespołu. Wykręciłem się ogólnikowymi frazesami.

Słuchając jej patrzyłem w dal: na wschodzie — poza Przylądkiem Campanella — leżało Sorrento, tuż nad północnym horyzontem, jak wąski srebrny pasek na błękitnym tle — błyszczał odległy miraż Neapolu, zaś w połowie drogi między nimi majaczyła spowita obłokami majestatyczna sylwetka Wezuwiusza.

O szóstej wywiadowca dyżurujący w kawiarni dał mi dyskretny znak, abym się do niego zbliżył. Wstałem od stolika pod pretekstem zapłacenia rachunku. Gdy podszedłem do agenta, poinformował mnie, że dziewczyny z pokoju 0216, które rozpoznały nas w hallu przed południem, kręcą się teraz po tarasie i w każdej chwili mogą wejść do lokalu.

Mówił łamaną angielszczyzną. Początkowo nie zrozumiałem, do czego zmierza.

— Proszę mówić po włosku.

— Lepiej, żeby one nie zobaczyły pana w towarzystwie innej kobiety, bo podwójna gra bardzo komplikuje u nas plany matrymonialne. Włoszki są zazdrosne!

Faktycznie — pomyślałem z niechęcią. — Nimi też wkrótce trzeba będzie się zająć. Wracając do stolika przypomniałem sobie ich niezbyt pociągające sylwetki.

Powiedziałem Marisie, że muszę zadzwonić w bardzo ważnej sprawie.

— Do jakiejś kobiety? — spytała nieufnie.

— Nie, do naszego impresario.

— O! Czy wystąpić we Włoszech?

— Niewykluczone. Właśnie dobijamy targu. Zadzwonię z pokoju, bo ta rozmowa może dłużej potrwać.

Pod drzwiami windy zawahała się i niespodziewanie zapytała:

— Mogłabym posłuchać?

— Jak targują się mężczyźni?

— To musi być ciekawe.

— Oczywiście! Zapraszam cię do siebie na sok pomarańczowy.

Ciekawe to wy jesteście — pomyślałem w drodze do pokoju. — Najpierw trzeba z wami pójść do kawiarni, byście mogły mieć złudzenie, że zawarta znajomość — dzięki porcji lodów — wzniosła się na właściwy szczebel zażyłości.

Nuzana nie było w pokoju. Gdy weszliśmy do środka, zamknąłem drzwi na klucz, czego Marisa nie zauważyła. Podniosłem słuchawkę. Wykręcając numer telefonu Diamentowej Siedziby, uświadomiłem sobie, jaki kierunek i prędkość trzeba nadać naszym wysiłkom, by rozszyfrować wszystkie te kobiety, nim nastąpi wybuch bomby wodorowej. Nie było tu czasu na przewlekłe flirty: mężczyzna czy kobieta — jeśli w ogóle powierzy komuś jakąś tajemnicę — najprędzej zdradzi ją w łóżku.

Słuchawkę podniósł Melfei.

— Nareszcie — powiedział po angielsku. — No... co tam?

— Rozmawiał pan już? — spytałem po włosku.

— Nie. A i kim? Przecież od dwu godzin czekamy tu na was.

— Więc ile?

— Słucham?

— Chyba zgubił pan jedno zero w tym rachunku.

— Jakie zero?

— Mało.

— O czym pan mówi?

— Nie podpiszemy takiego kontraktu.

— Signor Antonio, czy pan przypadkiem nie leżał dziś zbyt długo na

słońcu?

— Więc tylko tyle może ofiarować telewizja włoska za występ artystów przebywających na urlopie! Dla mnie ta suma nie jest dość okrągła. Zapytam Nuzana. Teraz spędzam czas w miłym towarzystwie i nie zamierzam nudzić tu nikogo rozmową na temat brakującego zera. Przyjdziemy do pana jutro rano o dziewiątej.

Odłożyłem słuchawkę.

— Często spędzasz czas w miłym towarzystwie? — zainteresowała się Marisa.

Zdziwiło mnie to pytanie, bo raczej spodziewałem się innego: „ile?”.

— Rzadko — odparłem. — Dlatego cieszę się, że cię poznałem. Jesteś bardzo ładną i miłą kobietą.

— Naprawdę?

Marisa rzeczywiście podobała mi się. Usiadłem obok niej. Miała brązowe oczy. Kiedy spróbowałem pocałować ją w usta, odsunęła się ode mnie i wstała. Zerknąłem ukradkiem na zegarek.

— Lubisz przy świetle czy w półmroku? — zapytałem.

— Co w półmroku?

Zasłoniłem okno.

— Posłać?

— Po kogo chcesz posłać?

— Nie „po kogo”, tylko „co”. — Wskazałem łóżko.

— Idziesz spać?

— Przecież nie sam!

Zastanowiłem się, skąd ona ma to dziecko. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Jak ty to sobie wyobrażasz?

— Zwyczajnie: robieramy się.

— Zaraz. — Zgasiła papierosa w popielniczce. — Ja z tobą?

— Nie: ty ze mną.

— Skąd przyszło ci do głowy... że mogłabym tak po prostu...

— A co powiedziałaś dwie godziny temu, tam — pod telewizorem? Że o problemach seksualnych należy mówić otwarcie!

— Mówić o nich, a rozwiązywać je.

— ...to dwie różne sprawy — dokończyłem. — Dlatego nie rozmawiajmy dłużej. Rozwiążmy ten problem w milczeniu!

Dotąd przez cały czas miała poważną minę. Naraz roześmiała się.

— Przecież tu nie ma żadnego problemu.

— Tym lepiej!

Wstałem, by działać.

— Nie gap się na mnie — szepnęła.

Już rozpiniała bluzkę. Od początku byłem łagodny i w delikatności mego uczucia dla Marisy postanowiłem wytrwać. Ponieważ dyskretnie odwróciła się twarzą do ściany, ja również taktownie nie podglądałem jej: i w tej fazie zalotów okazałem pełnię swej osobistej kultury.

— Ścigamy się? — zaproponowała za moimi plecami.

— Zgoda — przyjąłem wyzwanie. Brutalnie zerwałem z siebie koszulę i spodnie. — Ja już!

— To wskakuj pod koc, bo zmarzniesz — rzuciła w drodze do drzwi.
— Dobranoc!

Była kompletnie ubrana. Przekręciła klucz w zamku i znikła.

Nie od razu przystąpiłem do rachunku błędów. Najpierw zrobiłem rachunek butelek: w pierwszej pozostała na dnie odrobina whisky, dwie następne powędrowały z nami do pokoju 1507, a czwarta gdzieś przepadła. Z pewnością Marisa zabrała ją ze stołu, aby dopełnić Ibrahima.

Dopijając resztę z pierwszej butelki, patrzyłem intensywnie w lustro. Przy okazji wymyślałem różne nazwy dla tej subtelnej postaci, która siedziała naprzeciwko. Byłem w dobrej formie, toteż przychodziło mi do głowy wiele celnych epitetów. Jedynie wyzwiska „cham” nie miałem prawa użyć w stosunku do siebie i to zwłaszcza doprowadzało mnie do rozpacz. By się nieco pocieszyć, rozpatrywałem możliwość skrzyżowania osła z baranem, nie miałem jednak pewności, czy ofiara urodzona w takim mezaliansie równie głupio jak ja zachowałaby się w podobnej sytuacji. Na szczęście, przed ósmą ocknąłem się z zamyślenia, bo przez to rozpaczliwe wahanie straciłbym bezpłatną kolację.

Zjechałem na parter i zapytałem recepcjonistkę o Lucię. Niestety, na temat jasnowłosej dziewczyny nic nie potrafiła mi powiedzieć. Zostawiłem klucz. W restauracji spotkałem znajome z pokoju 0216, te dziewczyny, które rozpoznały nas rano w hallu, a potem wypłoszyły mnie z kawiarni na dwudziestym piętrze. Zjadłem z nimi kolację. Nazywały się Francesca i Rosa. Zapiisałem ich imiona obok numeru

pokoju. Rozmawiając z nimi, lojalnie spełniałem swój obowiązek. Ale też miałem złośliwą satysfakcję, gdy z radością przyjęły moje zaproszenie na dancing: sam sobie wymierzyłem sprawiedliwość!

Pojechaliśmy do lokalu na dziesiątym piętrze i siedzieliśmy tam do pierwszej w nocy. Tymczasem Marisa i Clara przetransportowały Ibrahima na szesnaste piętro. Kiedy wróciłem do naszego pokoju, leżał w ubraniu na wznak w poprzek łóżka. Przyłożyłem mu lusterko do ust: nie dawał znaku życia, ale jeszcze oddychał.

Instrukcje

Rano następnego dnia w drodze do Diamentowej Siedziby Ibrahim miał ponurą minę. Śniadanie zjedliśmy w całkowitym milczeniu. Myślałem, że świeże powietrze i słońce rozproszy zły nastrój mego kolegi, ale nawet orzeźwiający wiatr nie spędził posepnej chmury z jego twarzy.

— Długo wczoraj spałeś — zauważyłem ostrożnie.

— Co cię to obchodzi? — odburknął.

Minęliśmy plac Diaza i weszliśmy w ciasną uliczkę. Poza szeregiem skromnych domków stały malownicze wille. Między budynkami rosły cytrynowe i pomarańczowe drzewa.

— Pewnie psuje ci humor to charakterystyczne osłabienie, które często dokucza turystom przy zmianie klimatu — podsunąłem. — Nie przejmuj się tym. W takim upale nawet twój silny organizm musiał się załamać.

— Wiesz... — Zastanowił się. — Chyba masz rację, i jedzenie jest tutaj jakieś nieświeże. Ponadto zbyt często jadamy. Czeka! Czy śniadanie było zaraz po obiedzie? Wcale nie pamiętam wczorajszej kolacji.

Musiałem opowiedzieć mu historię ubiegłego wieczoru, ponieważ okazało się, że miał wielogodzinną przerwę w życiorysie.

— Jak to?! — zawołał z oburzeniem. — Trzymałeś Marisę w pokoju „pod kluczem” i wypuściłeś ją z garści?

— A ty?! — podniosłem głos. — Czy o własnych siłach wyciągnąłeś się w łóżku Clary?

Po tych okrzykach resztę wzniesienia pokonaliśmy w milczeniu. Dopiero u wrót Diamentowej Siedziby Ibrahim rozchmurzył się nieco.

— Więc powiadasz, że rozbieraliście się na wyścigi?

— Ona to zaproponowała. Wygrałem ten pojedynek i zwyciężyłbym w drugim...

— Gdybyś nie stosował przemocy. — Podniósł rękę do mojej koszuli i policzył na niej dziury po wyrwanych guzikach. — Uważaj! Kobiety nie znoszą agresywnych mężczyzn. Trzeba z nimi postępować łagodnie, jak uczy prawo i wybitni seksuolodzy.

— W istocie — odparłem wesoło. — Byłem dla siebie zanadto brutalny. Natomiast w twoim przypadku nawet do tego nie doszło. Bo czy mogłeś coś zdziałać, jeżeli...

— Nie tłumacz się, chłopie — przerwał mi bez uśmiechu. — Spójrzmy prawdzie w oczy: ten klucz! Może za miesiąc odzyskasz zaufanie Marisy. Rozbierzesz ją w czasie, gdy dawno już będzie po wszystkim. Trzeba było nie odkrywać kart, jeżeli nie umiesz rozgrywać asów. Pokpiłeś sprawę i nie ma tu o czym mówić.

Nie podobał mi się ton tego kazania. Ja żartowałem, a on niby to wtórował mi, zaś faktycznie usiłował mnie pouczać. Miałem już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale spostrzegłem, że za siatką stoi jakaś kobieta. Kiedy zbliżyła się do furtki, poznałem ją po znacznym wzroście i rudych włosach.

To była pani Veunais. Czekala na nas w ogrodzie. Po serdecznym powitaniu poszliśmy za nią do mrocznej biblioteki na piętrze. Zastaliśmy tam de Stinę i Melfeiego. Pili kawę i poczęstowali nas. Kiedy do pokoju weszła druga z poprzednio poznanych tu kobiet — ładna, choć niemłoda, pani Norieli, która nie znała angielskiego — do kompletu brakowało już tylko otyłego Włocha, jednak on poprzedniego dnia został wezwany do Rzymu i dotąd nie wrócił.

Zanim kelner przyrządził aperitify, Melfei poinformował mnie półgłosem, że pani Veunais jest z zawodu psychologiem, a pani Norieli — psychoterapeutką. Zdaniem Renza Rivonego, który kierował z Rzymu akcją TZ, terrorystki ukrywające się pod pseudonimami Gamma i Delta mogły nie być kobietami całkowicie zdrowymi psychicznie i dlatego do naszej pomocy skierowano na Capri odpowiednie specjalistki.

Usiedliśmy przy stole. Melfei wskazał ścienny kalendarz.

— Dzisiaj jest dziewiąty lipca — zauważył sucho. — Do szesnastego pozostało tylko siedem dni. Straciliśmy dużo czasu.

— Czy to ma być wymówka? — spytał zaczepnie Ibrahim.

— Tak. Ale kieruję ją pod własnym adresem. Ultimatum Czarnych Piór dotarło do nas drugiego lipca i dotąd niewiele zdołaliśmy zdziałać.

De Stina położył przed sobą listę z numerami hotelowych pokoi.

— Nie jest tak źle — powiedział. — Nasz pierścień zacieśnia się wokoło coraz to mniejszej liczby śledzonych tutaj kobiet. Z dziewiętnastu początkowo podejrzanych par wykluczaliśmy już jedenaście, natomiast z

ośmiu pozostałych — tylko pięć trzeba będzie jeszcze wypróbować, ponieważ trzy pary kobiet połknęły już haczyki i przebywają nieustannie pod naszą czujną obserwacją. W ich pokojach zainstalowaliśmy podsłuch. Agenci przeszukali dokładnie wszystkie walizki. Chociaż wśród rzeczy osobistych tych kobiet nie znaleziono żadnych materiałów obciążających, z pewnością Gamma i Delta, kiedy pozostają w pokoju same, czują się swobodnie i jest bardzo prawdopodobne, że w prowadzonych między sobą rozmowach zdradzą się wkrótce jakimś nieostrożnym słowem. Nie spodziewamy się, by tą drogą wskazały nam dokładnie, gdzie ukryta jest bomba: zyskamy wiele, jeżeli tylko zaczną mówić o sprawach związanych z planowanym zamachem. To je odsłoni przed nami: począwszy od tej chwili moglibyśmy skoncentrować siły na zdemaskowanej parze.

— Nie musimy tej bomby odnaleźć przed szesnastym lipca — odezwała się pani Veunais. — Wystarczy, gdy do tego czasu dowiemy się, w jakim mieście ma nastąpić eksplozja.

— To już wystarczy? — zdziwiłem się.

— Oczywiście — potwierdził de Stina. — Kiedy ustalimy, któremu miastu grozi niebezpieczeństwo, będziemy mogli sobie pogratulować.

— Czy nie za wcześnie?

— Nie, bo począwszy od tej chwili sytuacja zmieni się radykalnie na naszą korzyść.

— Ja nie byłbym takim optymistą. Wyobraża pan sobie, że oddziały saperów znajdą tę bombę we wskazanym mieście w czasie zaledwie kilkudziesięciu godzin?

— Na to nie liczymy.

— Zresztą gdyby terroryści spostrzegli, że w mieście prowadzone są poszukiwania na tak wielką skalę, nie czekali by ze spełnieniem swej groźby ani godziny dłużej.

— To też wzięliśmy pod uwagę.

De Stina miał tajemniczą minę. Nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

— Czy myśli pan o szybkiej ewakuacji ludności zagrożonej eksplozją? — spytałem.

— Nie.

— Jasne. Bo w takim przypadku mieszkańców ogarnęłaby panika.

Zamieszanie i wzmożony ruch uniemożliwiłyby kontrolę pojazdów w tłoku na drogach wylotowych z miasta. Terrorysty, opuszczając je razem z tłumem innych uciekinierów, wywieźliby bombę ze sobą, aby ją odpalić gdzie indziej.

— Ma pan rację.

— A czy są tu jeszcze inne możliwości?

— Przynajmniej jedna.

Zastanowiłem się po raz ostatni.

— Przecież zakładamy, że bomba wybuchnie, jeżeli nie znajdziecie jej lub jeżeli nie spełnicie żądania określonego w ultimatum, które domaga się zwolnienia wszystkich więzionych ekstremistów.

— Źle pan kalkuluje — wtrącił się Melfei. — Czarne Pióra nie zwrócą nam tej bomby w żadnym wypadku. Poza tym liczy pan trzeźwo: nie myślimy ani o natychmiastowym znalezieniu bomby, gdyż jest to igła w stogu siana, ani o rozproszeniu ludności, ponieważ chaos, który zapanowałby we wszystkich miastach po ogłoszeniu przyczyny tej ewakuacji, spowodowałby szkody nieomal równie wielkie, jak wybuch samej bomby.

— Więc co zamierzacie zrobić, kiedy się dowiecie, w jakim mieście nastąpi eksplozja?

— Natychmiast otoczmy to miasto pierścieniem ścisłej kontroli. Blokadę wszystkich dróg wprowadzimy pod pozorem, że kordon ma uniemożliwić ucieczkę groźnych kryminalistów. Równocześnie z zakładów karnych rozproszonych w całym kraju zwieziemy do tego miasta wszystkich czterystu sześćdziesięciu ośmiu ekstremistów należących do grupy Penne Nere. Fakt ten ogłosimy w środkach masowego przekazu i wytłumaczymy go koniecznością przeprowadzenia rewizji wyroków. Wtedy zapanujemy nad sytuacją. Przywódcy Czarnych Piór przebywający na wolności nie wywołają wybuchu tam, gdzie nastąpi przymusowa koncentracja prawie wszystkich terrorystów, my zaś będziemy mieli wiele miesięcy na odnalezienie bomby, której nikt — dzięki zwartemu kordonowi — nie zdoła w tym czasie wywieźć z miasta.

— Świetnie to sobie ułożyliście! — wykrzyknąłem z uznaniem dla autora cennego pomysłu. — Taki plan również nam znacznie ułatwia zadanie. Gamma i Delta mogłyby nie orientować się dokładnie, gdzie przechowywany jest ten groźny ładunek. Wówczas, gdyby nawet chciały,

nie umiałyby nam wskazać, w jakim garażu, kanale, mieszkaniu czy magazynie należy go szukać. Lecz przynajmniej muszą wiedzieć, w którym mieście nastąpi katastrofa, ponieważ wynika to z rozmowy studentów podsłuchanej w rzymskim hotelu.

— A propos — mruknął Ibrahim zwracając się do Melfeiego. — Czy w naszym pokoju również zainstalowaliście te swoje wesołe mikrofony? Melfei drgnął.

— Spodziewałem się tego pytania.

— Jeżeli przewidział je pan, to czemu, zamiast natychmiast odpowiedzieć „tak” lub „nie”. zostawił pan sobie czas do głębokiego namysłu?

— Pan mnie wciąż prowokuje. Właściwie... to po takim pytaniu powinienem się obrazić. Znam jednak pański sposób bycia, więc odpowiem krótko: Nie! Was nie podsłuchujemy.

— A ja, znając moc ciekawości, z jaką przeciętne ucho lubi polerować różne ściany, powinienem teraz wyrazić wątpliwość. Ale również odpowiem krótko: Dziękujemy.

Do drzwi zapukał agent dyżurujący w przedpokoju.

— Rzym — oznajmił. — Przełączyć czy zejdzie pan do gabinetu na dole?

— Przyjmę tutaj — powiedział de Stina.

Podszedł do telefonu. Korzystając z przerwy, uśmiechnąłem się do pani Norieli i zwróciłem się do niej po włosku:

— Pewnie bardzo nudzi się pani na naszych ściśle tajnych naradach?

— Niestety. Ale może wkrótce przydam się wam. Chciałabym być użyteczna.

— Psychoterapia to piękna specjalizacja.

— Dziękuję. A pan gdzie nauczył się włoskiego?

W tej chwili de Stina skończył rozmowę i wrócił do stołu.

— Co tam? — spytał Melfei.

— Donoszą, że dziewczyny z pokoju 1205 podały w recepcji fałszywe adresy. U Clary — poza nagraniami grupy „To tu — to tam” — niczego ciekawego nie znaleziono. Natomiast w mieszkaniach Marisy i Rosy przebywają pozostali członkowie ich rodzin. Nie można tam zaglądać bez wywoływania podejrzeń.

— Kto zajmuje pokój 1205? — spytałem.

De Stina zajrzał do swego wykazu.

— Caterina i Lucia.

— Lucia?! — wykrzyknąłem.

— Co pan tak podskoczył?

— Bo ja ją znam.

Melfei wzruszył ramionami.

— Cóż w tym osobliwego, że pan ją zna? Przecież dwudziestu sześciu agentów gimnastykuje się tutaj po to, by wam ułatwić zawieranie pożądanых znajomości.

— Ale ja ją poznałem indywidualnie!

— Chciał pan powiedzieć, że bez naszej pomocy. To nie ma znaczenia. Chociaż... — Popatrzył na mnie uważnie. — Proszę tu nie zawierać prywatnych znajomości. Do szesnastego lipca jesteście zaprzysiężonymi pracownikami naszego Urzędu Bezpieczeństwa.

— Pamiętam o tym. Może to nie jest ta sama Lucia. Jeszcze dzisiaj sprawdzę, czy dziewczyna, którą spotkałem, mieszka w pokoju 1205.

— A ja będę musiał przeprosić Caterinę za nieobecność na wczorajszej dyskotecie — powiedział Ibrahim. — Obiecałem, że zadzwonię do niej wieczorem, ale w tym czasie...

— Pełnił pan służbę w pokoju 1507 — dokończył Melfei.

— Pan wszystko wie.

— Nawet to, ile wczoraj wypiliście.

— No ile?

— Pan za dużo.

— Piłem za powodzenie akcji TZ. Ale czy wasze mikrofony mają alkoholowe wskaźniki?

— Słowa też mogą być dobrymi nośnikami informacji. To fakt, że alkohol często rozwiązuje ludziom języki. Rzecz w tym jednak, by je rozwiązał właściwym osobom, to znaczy terrorystkom, a nie zaprzysiężonym wywiadowcom, jakimi od dwóch dni obaj panowie jesteście.

— Chce pan powiedzieć...

— Tak! — Melfei wyjął kartkę. — Cytuję: „Mógłbym ci zaśpiewać piosenkę o turystach zmotoryzowanych, ale bez gitary zabrzmiałaby fałszywie”.

— Nie pamiętam.

— Tym gorzej. Tę pieśń chciał pan zanucić Clarze wczoraj o godzinie siedemnastej, kiedy zostaliście sami w jej pokoju.

— Przecież moja aluzja do kryptonimu akcji TZ w najmniejszym stopniu nie naruszyła tajemnicy.

— Wolałbym, żeby pan w przyszłości unikał tego rodzaju niebezpiecznych aluzji.

Pani Veunais uśmiechnęła się do mnie.

— Może teraz pan Suchary opowiedziałyby nam, jak jemu wczoraj się powiodło.

Obecnie zwrócili, się w moją stronę. Zaskoczony żądaniem pani Veunais zmieszałem się pod badawczym naciskiem jej wzroku.

— Średnio — odparłem. — Popołudnie spędziłem w towarzystwie Marisy, a wieczór z Francescą i Rosą. Byliśmy na dansingu. Nie powiedziały mi o sobie niczego, co by was mogło zainteresować. Raczej banalne historie.

— Tylko tyle?

— Więcej nie zdążyłem działać.

— Niedobrze. Chyba domyśla się pan, w jakim tempie musicie pogłębiać znajomości z tymi kobietami, aby przed szesnastym lipca wywołać w nich złudzenie, że mogą wam zaufać?

— Domyślam się tego.

— I jakie wnioski pan wyciąga?

— Że należy działać bardzo szybko.

— Szybko to mało. Trzeba jeszcze wiedzieć, w jakim kierunku. Mamy zaufanie do waszej inteligencji. Istnieje coś, co znacznie szybciej wiąże ludzi niż kawiarniane rozmowy i zatłoczone dansingi. Przecież wy podobacie się tym kobietom. One nie są mężatkami. Gdybyście postępowali zręcznie, pod waszym wpływem mogłyby zapomnieć o zabawie w krwawe super-zamachy. Pomyślałyby o swojej przyszłości, która w przypadku młodych kobiet prawie zawsze łączy się z planami założenia własnej rodziny. Te plany nie muszą być realizowane we Włoszech, gdzie teraz — w prowadzonej tu grze o najwyższą stawkę — Gamma i Delta są tylko pionkami. Moglibyście zaproponować im wyjazd do Ameryki Północnej lub Południowej. Perspektywa dokonania tak gruntownych zmian w życiu wywołałaby w ich świadomości istotne przeobrażenia. W nowej sytuacji przynajmniej jedna z nich zdradziłaby

wam tajemnicę ekstremistów, ponieważ jej matrymonialne plany nie miałyby nic wspólnego z terrorystyczną działalnością.

— Tak to sobie mniej więcej wyobrażałem.

— Jeżeli pan Nuzan ma podobną koncepcję postępowania, to nie traćmy czasu na dalszą rozmowę — powiedział de Stina.

Ibrahim skinął głową. Melfei włączył krótkofalówkę. Wywołał wywiadowcę noszącego numer TZ17. Po chwili usłyszeliśmy jego głos i poznaliśmy aktualną sytuację.

Marisa i Clara zaraz po śniadaniu popłynęły do Lazurowej Groty. Francesco i Rosa wyszły na basen pod Głosem Cisy. Opalały się tam od godziny. Przebywały w towarzystwie dwóch młodych Amerykanów do których Luciano skierował już swoich ludzi, by im wybili z głowy plany zawarcia niepożądanego dla nas znajomości. Caterina spacerowała w rynku miasteczka, zaś Lucia robiła zakupy przy stoisku z owocami niedaleko Diamentowej Siedziby.

Ibrahim wyszedł pierwszy. Skierował się na rynek, aby przeprosić Caterinę za nieobecność na wczorajszej dyskotecie. Kiedy zbliżałem się do furki, usłyszałem głos Melfeiego:

— Signor Antonio!

Stał w uchylonych drzwiach willi. Zaczekałem na niego.

— Odpowiada, panu klimat Capri? — spytał.

— Bardzo.

Wyszliśmy na ulicę.

— Porozmawiajmy jak mężczyźni — zaproponował. — Odniosłem wrażenie, że pan wszystkiego nam nie powiedział.

— Czułem się niezręcznie w obecności tych kobiet.

— Niesłusznie. Pani Veunais jest członkiem naszego konsylium. Przed nią musicie być szczerzy jak przed lekarzem. Mogłaby eliminować wasze błędy. To jej obowiązek.

— Natomiast do moich obowiązków należy składanie szczegółowych raportów nawet wtedy, gdy nic istotnego nie mam do powiedzenia?

— Konsylium oceniłoby, co w pana relacji jest istotne. Na tym polega nasza współpraca. Wymiana informacji umożliwi korygowanie wspólnych planów. Więc czy między panem i Marisą doszło już do zbliżenia?

— Nie.

— Dlaczego?

Staliśmy w cieniu pomarańczowego drzewa. Ibrahim zatrzymał się w perspektywie zalanej słońcem ulicy. Nieco bliżej mignęła mi w dali jasnowłosa postać podobna do sylwetki Lucii.

— Czy na to pytanie mogę odpowiedzieć językiem urzędowym? — spytałem.

— Proszę bardzo.

— Jak lojalny funkcjonariusz?

— Jak panu wygodniej. Byleby bez dalszych uników, bo obaj musimy rozpocząć kolejny dzień służby.

— Marisa jest ostrożna. Zaprosiłem ją do pokoju 1628, gdzie jeszcze nie zainstalował pan mikrofonu i gdzie zgodnie z odpowiednim punktem regulaminu, przedsięwzięłem niezbędne czynności przygotowawcze. Lecz nim przystąpiłem do współżycia z podejrzaną, wyżej wymieniona zbiegła z miejsca planowanego wypadku.

— Stosował pan przemoc?

— Nawet jej nie dotknąłem.

— Ta relacja nie tłumaczy mi, dlaczego Marisa uciekła.

— Czy mogę to wyjaśnić słowami mego doświadczonego kolegi Ibrahima Nuzana?

— Oczywiście. Jeżeli zna sprawę i postawił trafną diagnozę.

— Uciekła, ponieważ odkryłem przed nią wszystkie karty i nie umiałem rozegrać asów.

Ruszył wolno w kierunku morza.

— Signor Antonio. Nie wiem, jakimi kartami rozegrał pan partię ze swoją byłą żoną, co pan w ogóle studiował w Ameryce i jakie obyczaje dominują tam aktualnie. U nas — wbrew opiniom głoszonym oficjalnie — nic w tej dziedzinie nie zmieniło się w czasie ostatniego stulecia. Sprecyzujmy: pani, która pragnie zostać żoną poznanego pana, prawie nigdy pierwsza nie zaproponuje mu wspólnej wyprawy do łóżka, ponieważ wie, iż statystyczny mężczyzna chce mieć żonę wierną, a to znaczy niełatwą do zdobycia. W myśl tej prostej reguły dziewczyna bez sprzeciwu oddaje się chłopcu wtedy, gdy jej na nim nie zależy. W przeciwnym wypadku stawia mu opór tym większy, im bardziej chciałaby zostać jego żoną. Równocześnie prawie nikt dziś nie ryzykuje ślubu,

dopóki nie pozna swojego partnera. W takiej sytuacji życie zmusza miliony ludzi do odgrywania szopki pozornego gwałtu. Przed mężczyzną stoi tu trudne zadanie, ale też i rola kobiety w tej grze nie jest łatwa: ryzykuje ona, że zbyt stanowczym sprzeciwem zniechęci adoratora, którego nie chciałaby stracić. Wszystko zależy od sytuacji. Rozumie pan, do czego zmierzam?

Wyjął papierosa. Kiedy wyciągnął je w moją stronę, zorientowałem się, że nie będę mógł zapalić jego Lorda. W tej chwili rozdzieliła nas rama ekranu. Po przebyciu odległości dwustu metrów Ibrahim dotarł już do przeciwległej ściany. Sięgając po papierosa uderzyłem ręką w niewidzialną szybę. Ta techniczna przeszkoda wytrąciła mnie z równowagi psychicznej i fizycznej. Ibrahim coraz mocniej naciskał ramę ze swojego końca.

Melfei stał po drugiej stronie nieprzenikalnej granicy.

— Co pan tak się chwieje? — spytał.

— To skutek nocnej służby na odpowiedzialnym posterunku — odparłem. — Niestety muszę już pana pożegnać, bo Lucia zniknie mi z pola widzenia.

Odszedłem.

— Luciano mógłbym pana nauczyć kilku zręcznych chwytów. Wie pan, jak sprawy wyglądają po fakcie: można wtedy mówić o legalizacji istniejącego związku i trudne zwierzenia przychodzą znacznie łatwiej.

Wołał za mną z odległości kilkunastu metrów. Jego trójwymiarowy obraz był taki realny. Chociaż nadal miał wygląd żywego człowieka, wiedziałem przecież, że go już właściwie nie ma: mówił z głębi ściany ekranu, która nas dzieliła i poza którą pod wiecznie pogodnym niebem w blasku prawdziwego słońca rozciągała się zabudowana mirażami fabryki snów rozległa pustka Dachy Świata.

Sen w blasku słońca

Byłem ciekaw, jak Lucia zareaguje na mój widok i czy mnie w ogóle pozna. Równocześnie bałem się tego spotkania. Chciałem się jej spodobać, ale nie wiedziałem, jak zrobić dobre wrażenie na kimś, kto — jak ona w windzie — zachowuje się nienormalnie.

Nie znalazłem jej w najbliższej okolicy miejsca, gdzie kupowała owoce, w czasie gdy kończyliśmy naradę w Diamentowej Siedzibie. Agentka TZ, która ją z daleka śledziła, wskazała mi właściwą drogę: Lucia poszła w kierunku rynku miasteczka. Ponieważ Ibrahim, szukając Cateriny, udał się w tę samą stronę, mogłem mieć nadzieję, iż obaj zmieścimy się w ramach ekranu, którego wewnątrz poruszało się w przeciwnym kierunku.

Znalazłem ich w kawiarnianym ogródku przed restauracją Campanile. Najpierw dostrzegłem Ibrahima. Siedział z Cateriną przy stoliku pod parasolem. Lucia wchodziła za ogrodzenie. Zobaczyliśmy się równocześnie.

Natychmiast zatrzymała się i podniosła rękę. Uśmiechnęła się do mnie z daleka. Byłem zaskoczony jej zachowaniem. Wróciła do wyjścia i pobiegła w moją stronę. Najwyraźniej cieszyła się z naszego spotkania. Miała taki wyraz twarzy, jak gdyby spieszyła do kogoś bardzo bliskiego i długo oczekiwanego. Pod wpływem przykrego podejrzenia, że kto inny jest celem jej radosnego biegu, rozejrzałem się wokoło.

Po chwili poczułem na ramionach ręce Lucii, a na twarzy jej usta. W tym samym momencie w dali nad północnym widnokregiem pojawiła się lśniąca kropla rtęci. Spoczywała na granicy nieba i wody. Wynurzyła się z horyzontu i w krótkim czasie urosła do wielkości podniebnej góry. Srebrna półkula rozszerzała się wokoło czerwonej iskry. Rozbłysła na przeciwległym brzegu zatoki, gdzie leżał Neapol. Pęczniejąc jak balon wchłonęła miasto do swojego wnętrza. Po kilku sekundach stała się ogromna. Wierzchołek kopuły sięgał stratosfery. Jej lustrzana powierzchnia mknęła w stronę Capri. Przy naszym brzegu uzyskała przejrzystość mydlanej bańki. Przeniknęła wyspę w absolutnej ciszy i rozplynęła się w nieskończoność.

Stałem nad brzegiem morza tuż przy krawędzi stromego urwiska. Byłem sam. Miałem niejasną świadomość nagłej zmiany miejsca, czasu i sytuacji.

Ze skalistego urwiska roztaczał się rozległy widok na całą zatokę. Wąski pas ziemi między wodnym widnokretem i niebem wypełniała panorama dalekiego Neapolu. Północny brzeg wyglądał podobnie jak z dachu hotelu na Capri, lecz miasto przesunęło się w lewo i znajdowało się odrobinę bliżej. Również wulkan zmienił swoje położenie. Teraz był znacznie większy i bardziej wyrazisty. Słońce świeciło sponad zachodniego horyzontu. Na wschodzie pod błękitnym niebem rozciągał się skalisty łańcuch górski. Wszystkie szczyty rumieniły się w blasku niskiego słońca. Południową część nieba przysłaniały skłębione obłoki, pod którymi leżało wzgórze pokryte ciemnozielonymi drzewami. Niżej, na łagodnym stoku wzniesienia bieleły się ściany domów z różowymi dachami. Wnętrze doliny między górami zajmowało niewielkie miasto. Najbliższy budynek stał w cieniu korony starej pinii.

Znajdowałem się na południowym brzegu Zatoki Neapolitańskiej. Był gorący wieczór. Gdzieś niedaleko w otwartym oknie gadało radio. Usłyszałem, że jest godzina osiemnasta. Przy ścieżce nie opodal urwiska stał drogowy znak z napisem: „Ostello per la Gioventu”. Strzałka wskazywała wylot małej uliczki, z której wybiegała ku mnie jakaś znajoma postać.

Poznałem ją po jasnych włosach. To była Lucia. Znowu zarzuciła mi ręce na szyję. Miała łzy w oczach. Tym razem przytuliłem ją mocno do siebie. Oddychała gwałtownie i w przerwach między pocałunkami powtarzała coś, czego nie chciałem przyjmując do wiadomości:

— Bomba wybuchnie w Neapolu.

— Nonsens — szepnąłem. — Nie bój się tego! Jeśli wiemy „gdzie” — to nie wybuchnie nigdy.

Gorący wiatr targał włosy Lucii przy moim policzku. Patrzyłem ponad jej ramieniem w siną dal horyzontu. Neapol błyszczał w promieniach purpurowego słońca. Gdy skłoniłem głowę w poszukiwaniu ust dziewczyny, gdzieś w połowie drogi między wzniesieniem na przylądku Miseno i stożkiem starego wulkanu wyrósł garb ziemny, którego kontury dorównywały wielkością zarysowi sylwetki Wezuwiusza.

Zdawało mi się, że oglądam barwny film trójwymiarowy wyświetlany w niezwykle zwolnionym tempie. Równocześnie czułem niepokonaną sztywność we wszystkich mięśniach i nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Wyrwana z linii widnokręgu góra ziemi zawisa nisko nad Neapolem przybierając kształt ognistej kuli. Początkowo kula ta miała ciemnowiśniowy kolor, lecz już po sekundzie stała się pomarańczowa. Ledwie to zauważyłem, gdy świetlna tarcza przybrała barwę żółtą, osiągając jasność prawdziwego słońca. Po chwili zdominowała jego blask coraz to bardziej jadowitymi odcieniami koloru niebieskiego, a kiedy mrugnąłem czując w źrenicach żar szalejącego w dali piekła, cały zdolny roztopionym srebrem świat zawirował w mych oczach w powodzi biało-fioletowego błysku.

Ludzie wyrwani z objęć śmierci opowiadają niekiedy, że w momencie zagrożenia całe życie w jednej chwili przesunęło się przed ich oczami. U kresu drogi miniona lato powstają z ciemności, odległe i zapomniane sytuacje ukazują się w jasnym świetle dnia. Wszystkie zdarzenia na nowo odradzają się we wspomnieniach szybkich jak błyskawice. Ale przeszłość trwa zawsze w czasie teraźniejszym niezależnie od tego, czy została przechowana w czyjejs pamięci, bowiem życie i jego dzieje z najdrobniejszymi szczegółami utrwalone są w niezniszczalnej księdze losów dokonanego świata. Nie przemijają one nigdy, chociaż mają swój początek i kres.

Jest tak, jak gdyby przeszłość człowieka była wciąż żywa, jak gdyby dokonywała się gdzieś nieustannie i trwała tam w tęsknocie oczekiwania na jego ostateczny powrót. Każda godzina radości domaga się ponownego spełnienia, każdy tydzień szczęścia namawia do powtórnego zapoznania się z nim. Lata nie znają siebie wzajemnie. Wieczory nie muszą pamiętać światów, i nie trzeba powracać do całego życia: byleby mieć bodaj jeden dzień.

Tam, gdzie niczego nie można już zmienić, wracają wygasłe nastroje, domy powstają z ruin, puste podwórka dźwięczą znajomymi głosami, w mieszkaniach meble przenoszą się na stare miejsca, bieleją poźółkłe papiery, zdradzone namiętności raz jeszcze domagają się spełnienia, uczucia odzyskują dawną siłę, zapomniane sceny nabierają realności, przy której jawa jest mglistym snem.

Ogród milczenia

W dzień ludzie śpią najczęściej z otwartymi oczami. Stoją pod ścianami domów, wspierają czoła na szybach samochodów, słaniają się pod drzewami, leżą na chodnikach, chodzą zatłoczonymi ulicami.

Wszyscy mają posępne nieruchome twarze. Powieki im ciążą, oczy tracą blask, usta milkną w połowie zdania, blade uśmiechy nie wyrażają nadziei. Jedni drzemią od wielu tygodni, inni wstają co kilka godzin, rozglądają się ospale, przywołują przechodniów, równie jak oni sennych, zatrzymują ich, pytają, skarżą się na coś, ale nikt nie znajduje słuchaczy.

Czasami tu i ówdzie wybuchają awantury. Tam ludzie mają do siebie żal, tu dziękują, są wdzięczni, gdzie indziej kochają się w ukryciu, tęsknią, przez jakiś czas pamiętają i znów pogrążają się we śnie. Nikt już nie liczy minionych dni. Wszyscy kręcą się wokoło mnie jak zjawy, ukazują się i nikną, niczego nie rozumieją, a ja to tylko wiem, że jestem jednym z tych cieni.

Niektórzy wchodzą przez bramę do ogrodu i włóczą się między drzewami. Przesuwają talerze na stołach ustawionych pod gołym niebem, drą obrusy, węższą, zaglądają do butelek, podpalają trawę, łamią gałęzie, szukają cienia lub słońca, lecz i tutaj nikt nie znajdzie oazy. Również biały dom jest pełen takich ludzi: drzemią na okiennych parapetach, chwieją się przy balustradach, nieruchomieją w pokojach, zasypiają pod drzewami.

Owady brzęczą w sennej ciszy lata. Za każdym razem budzę się pod innym drzewem. Zawsze jest dzień. Ale w chwilach przebudzeń spostrzegam, że od czasu ostatniej jawy upłynęło wiele godzin wykreślonych z pamięci. Raz wieje świeży wiatr, kiedy indziej jest duszno i gorąco. Trawa paruje po deszczu lub usycha w palących promieniach słońca. Zasypiam w posępnym świetle chmur, a budzę się pod czystym błękitem. Patrząc na biały dom jaśniejący oszklonym parterem na tle ciemnego szeregu cyprysów, dostrzegam obciążoną pomarańczami gałąź, która kołysze się nade mną, słyszę szum liści i czuję woń trawy.

Oto jestem. Ale jest tak, jakby mnie tutaj nie było. Minuty jawy

spędzam na poszukiwaniu nowego legowiska. Błąkam się wokoło białego domu, omijam leżące na ziemi postacie, obracam w dłoni jakiś klucz i wciąż czegoś brakuje mi do zrozumienia świata.

Bywa, że razem ze mną budzi się kto inny jeszcze. Co pewien czas ktoś zrywa się z trawy, ktoś inny wstaje od stołu w pokoju na piętrze. Mamy na sobie odświętne stroje, lecz posypani jesteśmy popiołem. Ubrania tlą się, noszą ślady wygasłych ogni. Niekiedy — w głębszym przebłysku świadomości — spostrzegam, że wyglądamy coraz bardziej posepnie.

Gdzieś wciąż obraca się pęknięta płyta. Z ogrodu widać wnętrze dużego pokoju na parterze. Siedzą w nim mężczyźni i kobiety stłoczeni przy stołach nakrytych do ostatniej kolacji. Nie wszyscy wspierają na nich głowy: niektórzy jedzą i piją, gestykują w milczeniu, biją się o coś jawnie lub całkiem ukradkiem, uśmiechają się lub płaczą, wychodzą na ulice zmartwieni, a wracają szczęśliwi, i wszystko to robią we śnie.

Bowiem w dzień śpimy zwykle z otwartymi oczami. Nasze poranki nie troszczą się o południa. Wątki rwą się, wrażenia kłębią, uwaga goni za najtrwalszym śladem, lecz pamięć traci rachubę godzin.

Nie wiemy, na co czekamy. Niczego przed nami nie ma. Tylko ta pustka jest pewna.

Jest tak, jak gdyby nas wcale nie było. Jakby nie było rzeczywistości powtórzonej w myślach i jakby myśli same żyły, obejmowały się z miłością albo walczyły między sobą o coś niewiadomego.

Czas upiornego wschodu

Jest jasna, pogodna noc. Niezwykła poświata zalewa wszystko. Cały ogród pogrążony jest w księżycowym blasku.

Leżę w wysokiej trawie pod suchym drzewem, gdzie usnąłem ostatnio. Słyszę bliskie i dalekie głosy. Szepty przenoszą się w półmroku. Z jednej strony odzywają się śmiechy — z drugiej krzyki. Muzyka dobiega z miejsca, gdzie gwar jest najgłośniejszy. Raz jeszcze rozlega się śpiew, który obudził mnie ze snu.

Drzewa rzucają na ziemię ostre i długie, niezwykle głębokie cienie. W obrębie tych cieni panuje doskonały mrok. Niepowtarzalny jest nastrój tej gorącej nocy. W obrazie wszystkiego dominują dwie podstawowe gradacje: zabarwione liliowym światłem lśniące srebro i smolista, nieprzenikniona czerń. Intryguje mnie ona. Zanurzam rękę w ciemności: czuję szorstki owal pnia. Wtem coś ostrego kaleczy mi dłoń. To kolce — myślę. Zbyt wiele ciernistych krzaków rośnie w tym zaniedbanym ogrodzie.

Nie mogę spać. Wciąż słyszę te same dźwięki. Wreszcie uświadamiam sobie, że wszystkim ludzkim głosom towarzyszy daleki, wszechobecny szum i bliski, jadowity syk. Unoszę się z trawy i węszę. Niekiedy czuję zapach dymu, ale nigdzie nie widzę ognia.

Ogród zajmuje część polany na stoku wzgórza o pochyłości zwróconej w kierunku morza. Biały dom stoi nieco niżej. Mijam szereg wygiętych w pałki palm i patrzę w dal między czarnymi koronami owocowych drzew.

Księżyc wschodzi spoza północnego horyzontu. Jest ogromny. Jego nieforemna tarcza wynurza się z gładkiej powierzchni morza. W wodzie tuż pod siną kulą — jak w ciemnogrnatowym zwierciadle — odbija się pionowy, długi i drżący słup biało-fioletowego ognia. Widać wszystkie szczegóły na tarczy dziwnego księżyca. Przez dłuższy czas podziwiam ten obraz w głębokim zamyśleniu.

Schodzę w kierunku morza. Po obu stronach ścieżki leżą na ziemi nieruchome postacie. Niżej gromada młodych dziewcząt i chłopców siedzi wokoło wygasłego ogniska. Śpiewają przy dźwiękach gitary.

Spomiędzy czarnych drzew wyłania się znajoma willa. Jej białe ściany barwi fioletowa łuna. Na trawniku kołyszają się taneczne pary. Z otwartych okien wyglądają sine twarze. Muzyka dobiega z ulicy, na której również trwa nocna zabawa. W oknie na piętrze liliowego domu pęka szyba. Ukazuje się w nim jasnowłosa dziewczyna. Mam mgliste wrażenie, że kiedyś już gdzieś ją widziałem. Przypomina mi postać ze świata, którego daleki obraz ledwie majączy w mojej pamięci.

Drzwi liliowego domu są otwarte. W głębi migają karnawałowe maski. Ze schodów ktoś sypie na mnie confetti. Wchodzę do przedpokoju na parterze. Jakaś kobieta wynurza się z półmroku i podaje mi kieliszek szampana. Chodzę od drzwi do drzwi. Pokoje wypełnione są sennymi ludźmi, Wszędzie jest taki nastrój jak nad ranem po sylwestrowym balu. Przy zaśmieconych stołach ślaniają się zaspani biesiadnicy. Jedni wspierają głowy między talerzami z resztkami jedzenia, inni rozmawiają ze sobą, ale wszyscy mają zamknięte oczy. Na poplamione obrusy sypią się przez okna zwęglone liście i gałązki.

Wspinam się po schodach na piętro. Jasny blask pada na podłogę za otwartymi drzwiami. Z góry dobiegają trzaski i syki. Słysząc stamtąd głosy podobne do łopotu skrzydeł przerażonych ptaków, jak gdyby na strychu pod dachem był kurnik, do którego dostały się jadowite węże, Nad tymi dźwiękami dominuje miarowy męski głos.

Zaglądam do pokoju oświetlonego księżycowym blaskiem. Przebywa w nim kilkanaście osób. Leżą na tapczanie bądź siedzą w fotelach ustawionych naprzeciwko okna. Parapet zajmuje mężczyzna ze złamanym nosem. To on mówi. Ma na sobie czarny garnitur posypany siwym popiołem. Nie przerywa swojego wykładu. Mówiąc dalej ze wzrokiem utkwionym w ścianie, wskazuje mi wolne krzesło. Siadam obok dziewczyny, którą zobaczyłem z ogrodu, gdy wyglądała przez pękające okno.

— Kto to jest? — pytam ją szeptem, wskazując ruchem głowy mężczyznę ze złamanym nosem.

Dziewczyna zbliża usta do mojego ucha. Ma bardzo miły głos. Czuję jej oddech na swoim policzku.

— Pan Lisitano — odpowiada. — Słynny hipnotyzer. Przyjechał do naszego miasta na festyn.

W tej chwili mówca milknie. Z ciemnego kąta, z fotela lub tapczanu

padają kolejne pytania. Dotyczą one różnych dziedzin. Mężczyzna ze złamanym nosem odpowiada na nie tak płynnie, jak gdyby umiejętność udzielania wywiadów wiązała się z jego niepowszednim zawodem.

Odnoszę wrażenie, że jestem uczestnikiem jakiejś improwizowanej konferencji prasowej.

Pytanie: Dlaczego rozpowszechnia pan złudzenia i tworzy fikcyjne obrazy, zamiast iść drogą wytyczoną przez naukę?

Odpowiedź: Ponieważ ta fantazja, którą ludzie przyjmują za jedyną realność świata, jest niezmiernie odległa od rzeczywistości.

Pytanie: Czy jest pan nieczuły na ludzkie nieszczęścia?

Odpowiedź: Wiem, co ma pani na myśli. Również przy, ceremonialnym powitaniu zapytano mnie, dlaczego nie wylałem tradycyjnej szklanki wody na płonący dach szkoły lub szpitala. Znam ten stary zwyczaj: kultywowany jest on wszędzie z powagą właściwą dla wszelkiego rodzaju uroczystości, które trwają od czasu, gdy zatrzymały się wszystkie zegary — czyli od początku świata. Istotnie, nie wylałem na dach tej jednej, symbolicznej szklanki, choć mogłem z niej chlusnąć z dziecinną łatwością. Lecz właśnie dlatego, że rzeczywiście pragnę coś uczynić dla poprawy naszego losu, nie ruszam ze szklanką w dłoni na ratunek płonących domów, to znaczy nie pozuję do fotografii. Pozorne gesty usypiają nas, zaś niepokój niestłumiony nimi jest siłą mobilizującą do działania prawdziwego.

Pytanie: Jak pan ocenia sytuację we współczesnej literaturze?

Odpowiedź: Nie zmienia się ona. Nadal albo czytelnik jest trudny dla książki, albo książka dla czytelnika.

Pytanie: Dlaczego lekceważy pan fakty encyklopedyczne?

Odpowiedź: Ponieważ faktów takich jest nieskończenie wiele, a prawda jest tylko jedna. Nie można jej wtłoczyć w reguły porządku alfabetycznego. To fakt, że o znanej godzinie pewnego ściśle określonego dnia wiadomego roku w rejonie Wysp Hawajskich na Pacyfiku wyrósł bałwan o wysokości stu osiemdziesięciu centymetrów, który przez trzynaście sekund bez przeszkód ze strony sprzyjającego wiatru górował nad wszystkimi sąsiednimi bałwanami. Jest to typowy fakt encyklopedyczny. Lecz czy takimi faktami trzeba nabijać głowy ludzi uczących się historii? Przecież ocean jest w nieustannym ruchu; wciąż zapadają się na nim stare i wybijają się jakieś nowe bałwany.

Pytanie: Więc uważa pan, że czcic należy tylko pamięć najbardziej znanych postaci?

Odpowiedź: Nie. Sława imienia to jeszcze nie wszystko: na przykład nazwisko Condom (wynalazcy prezerwatywy), skądinąd niesłusznie zepchnięte do podziemia, głośne jest na podwórkach całego świata. Ale czy wypada wymawiać je w eleganckim towarzystwie?

Pytanie: Co pan sądzi o zalewie pornografii?

Odpowiedź: Ta fala przeminie i kiedyś znowu wróci. Perwersyjni mogą być tylko ludzie moralni, to znaczy tacy, którzy jeszcze szanują pewne zakazy i właśnie łamanie ich dostarcza im tym większej przyjemności, im bardziej je w głębi duszy szanują. Istota doskonale niemoralna (na przykład zwierzę) nigdy nie zrozumie, w jakim celu ludzie oglądają pornografię i o co nam tu w ogóle chodzi. Gdyby ktoś chciał znaleźć ośrodki największego praktykowanego w ukryciu zgorszenia, musiałby ich szukać tam, gdzie żyją ludzie o najwyższym poziomie moralności. Zjawiskiem tym rządzą podstawowe prawa psychologii. Pod koniec każdego okresu rosnącej swobody erotycznej, kiedy na skutek braku norm, które można byłoby złamać, następuje głęboka apatia, przywraca się stare zakazy. A wtedy wszystko zaczyna się od początku.

Pytanie: Skoro już mowa o zjawiskach marginesowych, prosimy o kilka uwag na temat szerzącej się przestępczości:

Odpowiedź: Działalność kryminalistów zasługuje na zdecydowane potępienie.

Pytanie: Tylko tyle?

Odpowiedź: Jeżeli chce pani poznać jeszcze jeden paradoks, to proszę się zastanowić, kto we wszystkich wojnach prowadzonych na świecie od początku dziejów zrównał z ziemią tysiące miast i wymordował setki milionów ludzi. Czy robili to ludzie źli: właśnie ci kryminaliści, osobnicy niezdiscyplinowani, którzy w życiu kierują się egoistycznymi celami i działają indywidualnie, czy ludzie dobrzy, to znaczy porządni i karni, zawsze działający w interesie innych i w ich imieniu, zmobilizowani w armiach agresorów i gotowi na skinienie realizować ich zaborcze plany?

Zatem kto jest odpowiedzialny za olbrzymią większość dokonywanych dotąd na świecie zbrodni: kryminaliści przetrzymywani

w więzieniach czy ludzie praworządni?

Pytanie: Czemu bez żadnych korzyści dla siebie zadaje nam pan takie nieładne pytania, zamiast mówić co innego i brać za to pieniądze?

Odpowiedź: Ponieważ nie zamierzam występować wciąż w roli mechanicznej łechtaczki usługowej, która w umysłowości przeciętnego medium skrobie miejsca wyrobione już licznymi pieszczotami. Jestem hipnotyzerem przekornym.

Pytanie: Czy hipnotyzer może być materialistą? Proszę nam podać własną definicję materii.

Odpowiedź: Materia jest to wymyślone na progu Starożytności nic nieznaczące słowo, przed którym klękamy od czasu, gdy przestaliśmy wierzyć w innych bogów. Starożytność skończy się w momencie, kiedy to puste słowo zostanie ostatecznie wykreślone z rejestru pojęć naukowych. Oczywiście, pozostanie ono nadal w księgach handlowych jako synonim tkaniny jedwabnej oraz w słownikach medycznych pod hasłem „wydzielina ropna”. Encyklopedyczna definicja materii („Jest to cała obiektywnie istniejąca rzeczywistość, którą możemy poznawać za pośrednictwem swych zmysłów”) stanie się wkrótce obiektem bardzo poważnych żartów. Fizyka następnej epoki operowała będzie wyłącznie językiem matematyki i psychologii. Nic dziś bardziej nie hamuje postępu w naszych badaniach rzeczywistości niż ten nieszczęsny siedmioliterowy wyraz.

W tej chwili mężczyzna ze złamanym nosem zwraca się do siedzącej obok mnie dziewczyny.

— Jak ma pani na imię?

— Lucia.

— Czy mieszka pani w tym mieście?

— Nie.

— A gdzie?

— Nie wiem.

— Ale ma pani rodzinę w Sorrento?

— Jestem sama.

— Proszę wyjść na środek pokoju.

Dziewczyna waha się.

— Śmiało!

Lisitano wyciąga przed siebie rękę. W dłoni nic nie ma. Dziewczyna

wstaje i podchodzi do niego.

— Kładę pani na dłoni cegłę — mówi hipnotyzer. — Jest to jedna z tych zwyczajnych cegieł, z jakich buduje, się domy. Co pani czuje?

— Ciężar tej cegły.

— Gdzie ona jest?

— W mojej dłoni.

— Widzi ją pani?

— Tak.

— Proszę opisać, jak ona wygląda.

Dziewczyna przekłada nieobecną cegłę z prawej do lewej ręki i przesuwa po niej palec.

— Jest czerwona i szorstka.

— Czy wszystkie jej krawędzie są ostre?

— Nie. Jedna jest wyszczerbiona. O, tutaj. — Dziewczyna wskazuje palcem okolicę swej lewej dłoni i podnosi oczy na hipnotyzera. — Co mam z nią zrobić?

— Niech ją pani położy na ziemi.

— Na ziemi?

— Tak. Ponieważ teraz znajduje się pani na leśnej polanie. Dookoła szumią drzewa. Jest słoneczny dzień. Co pani widzi?

— Błękitne niebo nad wierzchołkami drzew.

— Proszę opuścić głowę. Na trawie leży młot i cztery zaostrzone pale. Trzeba nimi wytyczyć miejsce pod budowę pani nowego domu. Ta cegła stanie się kamieniem węgielnym, na którym będą się wspierały jego mocne fundamenty. To będzie piękny, kolorowy i jasny dom. Będzie on taki, o jakim śni pani w swych najśmielszych marzeniach. Wkrótce przyjdą murarze i cieśle, aby go zbudować.

Dziewczyna rozgląda się wokoło siebie. Ma nieprzytomny wzrok. Patrzy gdzieś w dal.

— Kiedy? — pyta.

Lisitano zwraca się w moją stronę.

— Jak pan się nazywa?

— Antoni.

— Proszę do nas podejść.

Wychodzę na środek pokoju. Lisitano kładzie rękę dziewczyny na mojej dłoni.

— Lucia — mówi.

— Słucham.

— Patrz. Oto twój mąż. Czekalaś na niego kilka lat. Czy on ci się podoba?

Dziewczyna podnosi na mnie oczy. Jest wzruszona i ma poważną minę.

— Bardzo.

— To pocałuj go.

Lucia przytula się do mnie. Czuję jej wargi na swoich ustach.

— Antonio. — Hipnotyzer ściska moje ramię. — To jest twoja żona. Co o niej myślisz?

— Jest piękna.

— Więc bądźcie szczęśliwi. Oto klucz do waszego domu. Wystarczy tylko otworzyć drzwi i wejść do środka. Jest tam wspaniała kuchnia, piękne pokoje i elegancka łazienka. Wszystkie wnętrza są umeblowane dokładnie tak, jak zaplanowaliście. Wasz dom już został zbudowany. Czeka na was.

Dziewczyna patrzy na mężczyznę ze złamanym nosem. W jej spojrzeniu czai się lekki niepokój, ale po chwili rozprasza go uśmiech pełnego zaufania. Hipnotyzer wskazuje przeciwległą ścianę.

— Czy słyszysz mnie, Lucia? On stoi za twoimi plecami. Jest otoczony zielenią i lśni w promieniach słońca. Obejrzyj go!

Odwracam się w stronę krzeseł, na których siedzieliśmy. Ścianę pokoju oświetla wpadający przez otwarte okno posępny księżycowy blask. Słyszę z góry łoskot walącej się na strop belki. Lucia mocniej zaciska palce na mojej ręce. Jest zaskoczona i szczęśliwa. Prowadzi mnie w kierunku ściany. Dotyka jej. Podnosi do góry oczy i radośnie przytula się do mnie.

Lisitano wraca na parapet okna.

— Lucia, podoba ci się ten dom?

— Bardzo! Właśnie o takim marzyłam. Nie spodziewałam się, że mogę go mieć. I ogród jest piękny. Spójrz, Antonio, Ile kwiatów! Czujesz ich zapach?

— Tak — odpowiadam smętnie. — Niezwykły jest ten dom.

— Więc usiądźcie pod jego ścianą na ławce w cieniu wina. Ja odchodzę. Zamknę furtkę i zejść w dół do Sorrento. Nigdy już nie

usłyszycie mojego głosu. Przez najbliższą godzinę w waszym ogrodzie rozlegał się będzie tylko śpiew ptaków i szum liści.

Siadamy obok siebie na krzeselkach pod ścianą. Lucia wspiera, głowę na moim ramieniu. Wciąż kurczowo trzyma mnie za rękę. Przytulałam policzek do jej włosów i zamykam oczy.

Przez kilkanaście sekund w pokoju panuje cisza. Wtem przerywa ją pytanie hipnotyzera:

— Jaką definicję materii zaproponowałibyście po takim doświadczeniu?

— Materia istnieje obiektywnie — odpowiada mu drugi męski głos.

— Obiektywnie — to znaczy niezależnie od fikcyjnego obrazu wywołanego w świadomości medium jakąś hipnotyczną sugestią.

— Więc materialistą jest ktoś, kto ufa, że istnieje coś poza subiektywną wizją świata. Podstawą jego przekonania jest głęboka wiara. Bo w jaki sposób odróżnia on rzeczywistość obiektywną od subiektywnej, jeśli — co udowodniono już wiele razy — do umysłu człowieka można dotrzeć bez pośrednictwa zmysłów i zmusić go, aby postrzegał świat, który faktycznie nie istnieje.

— Rzeczywistość obiektywną postrzegają wszyscy.

— W tej chwili Lucia jej nie postrzega.

— Ale większość ludzi żyje w świecie rzeczywistym.

— Skąd ta pewność?

— Nie moglibyśmy porozumiewać się między sobą, gdyby każdy z nas przeżywał odrębną wizję.

— Toteż nie wszyscy mogą porozumieć się z innymi. Obecność chorób umysłowych oraz nieustanne spory między nami są tego najlepszym dowodem.

— Mimo wszystko większość ludzi nawiązuje ze sobą całkiem realne kontakty.

— Jest to możliwe dlatego, ponieważ większość ludzi egzystuje w takim świecie, jaki powstaje aktualnie w ich świadomości pod wpływem najsilniejszej sugestii zewnętrznej, która zespala rozproszone złudzenia indywidualne. Wszyscy jesteśmy hipnotyzerami. Lecz w świecie idei silniejsze wpływy dominują nad słabszymi. Jeżeli ktoś — jak w tej chwili Antonio — nie poddaje się czyjejs sugestii, to znaczy, że jest pod wpływem jakiejś innej, bardziej przytłaczającej narkozy. Obok zjawiska

sugestii zewnętrznej istnieje też sugestia wewnętrzna — czyli autohipnoza. Wielkość jej wpływu zależy od czasu trwania koncentracji. Ktoś, kto potrafi usunąć ze swej świadomości wszystkie inne naciski z wyjątkiem jakiejś oryginalnej idei, może stać się wybitnym twórcą w dziedzinie artystycznej lub naukowej. Stan głębokiej autohipnozy jest wielokrotnie bardziej trwały od przelotnego natchnienia; cechuje go wielka bezwładność: potencjalnemu twórcy lub fanatykowi równie trudno jest ten stan wywoływać, jak go potem usunąć ze swej świadomości. Ludzie, których umysły przebywają w świecie własnych idei, przeżywają udrękę lub ekstazę. Czasem nie odczuwają głodu ani bólu. Na innych lunatykach — pozornie przytomnych — robią oni wrażenie osób nieobecnych duchowo. Tracimy z nimi kontakt psychiczny podobnie jak medium, którego sen został wywołany przez hipnotyzera.

— Powróćmy jednak do zjawiska hipnozy zewnętrznej. Lucia nie postrzega nas w tej chwili dlatego, gdyż jest pod silnym działaniem sugestii autorytetu zewnętrznego względem jej świadomości. Źródło nacisku psychicznego znajduje się poza umysłem dziewczyny. Każdy nacisk zewnętrzny należy do działań obiektywnych, zaś świat nieurojony złożony z tych działań — to właśnie rzeczywistość materialna. Więc materialista nie musi wierzyć w realność obiektywnego świata: dzięki zjawisku hipnozy zewnętrznej, która unifikuje wizje indywidualne, ma on całkowitą pewność, że ten świat istnieje naprawdę.

Dyskusja toczy się dalej, ale głosy oddalają się ode mnie i cichną. Ich miejsce zajmuje muzyka i gwar zabawy dobiegający z ulicy. Przez okno widzę tarczę księżycą na tle ciemnogrnatowego nieba. W pokoju nikogo już poza nami nie ma. Wiem, że nie jestem sam: obok mnie siedzi Lucia. Pograżona jest we śnie. Nadal zaciska palce na mojej ręce.

Do pokoju ktoś wchodzi. Słyszę głos kobiety:

— Nie ma tu Eleny?

— Może była — odpowiadam. — Nie znam jej.

Smukła postać stoi przede mną. Ma na twarzy okulary, a na głowie błyszczący diadem. Podnosi coś z podłogi i wsuwa do kieszeni spodni.

— Jestem Sofia. — Podaje mi rękę.

— A ja Antoni.

— Widziałeś się już z moim ojcem?

— Nie szukałem go.

— Wszyscy poszli do lunaparku. — Kobieta wygląda przez okno i wraca. — Kochani, miło mi, że zostaliście, ale teraz nie mogę was bawić, bo muszę wstać o pierwszej.

Podchodzi do tapczanu, wyjmuje pościel, rozbiera się i kładzie. Znowu słyszę jej głos:

— Gdyby Elena pytała o mnie, powiedz, że wyszłam z domu. W rogu na szafce stoi butelka Martini. Napijcie się, jeżeli macie ochotę.

Spoza okna dobiegają okrzyki i śmiechy. Wszędzie jest biel lub czerń, ale w oczach mam obraz kolorowych przedmiotów. Widzę dwie cytryny na nowej koszuli zapakowanej w przezroczystą lśniącą kopertę. Obok leżą płyty gramofonowe w barwnych okładkach. Na jednej z nich stoi kryształowa popielniczka. Jest prześwietlona promieniami padającymi z boku. Na jej krawędzi tli się papieros, ponad którym snuje się wąska smuga błękitnego dymu.

Nagle odzywa się przejmujący krzyk. Jest tak, jak gdyby w napięciu oczekiwania na szklankę zimnej wody do gardła wdarł się rozpalony strumień z hutniczego pieca. Niebo staje się zwierciadlanym wnętrzem olbrzymiego flesza, a przestrzeń rozdziera lawina rażącego światła. Nad wodnym horyzontem, w miejscu gdzie dotąd lśniła blada tarcza księżyca, rozbłyska jądro gigantycznego słońca.

Czuję na ustach czyjeś wargi. Jakieś ocienione długimi rzęsami oczy wpatrują się we mnie. W uszach ryczy mi echo szalejącego gdzieś orkanu. Dookoła syczą jadowite węże. Powierzchnia wody przyjmuje barwę polerowanego srebra. Na lądzie bucha salwa płomieni. Ogień obejmuje osiedla i lasy. Morze i ziemia toną w promieniach najjaśniejszego ze wszystkich wschodów.

Oślepiający błysk i ryk huraganu trwają tylko przez kilka sekund. Następuje po nich nagła cisza i nieprzenikniona ciemność, z której bardzo wolno wyłania się księżycowa tarcza, zarys okna i wreszcie, podkreślone czarnobiałymi pasami, wnętrze pokoju.

Zarys przyszłości

Lucia wstaje z krzesła. Patrzy wokoło nieprzytomnym wzrokiem. Z tapczanu odzywa się Sofia:

— Co to było? — Unosi się na łokciu. — Antonio, słyszałeś ten krzyk?

— Tak. Gdzieś blisko.

Lucia wraca na swoje miejsce pod ścianą. Zamyka oczy. Sofia badawczo wpatruje się we mnie. Jest wystraszona.

— Zdawało mi się, że ktoś krzyknął tuż przy moim uchu. Długo spałam?

— Długo.

Spogląda na zegarek.

— Osiem po dwunastej. Mogłabym spać jeszcze pół godziny, gdyby nie ten krzyk. Siedzicie tu cały czas?

— Tak. Powiedz, kiedy wreszcie skończy się ta dziwna noc. Jestem zmęczony.

— Jaka noc?

Wskazuję półmrok za oknem. Sofia zapala papierosa. Czuję dym, ale nie widzę płomyka zapalniczki.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — mówi. — Czy mój ojciec próbował cię zahipnotyzować?

— Więc hipnotyzer Lisitano jest twoim ojcem?

— Tak.

— Usiłował mi zasugerować, że siedzę na leśnej polanie pod ścianą własnego domu, który jest oświetlony słonecznym blaskiem. Ale ja nie dałem sobie wmówić tej fikcji. Jestem przytomny i czekam na prawdziwy dzień.

Sofia zastanawia się przez moment.

— Chyba jednak nie jesteś przytomny, skoro o dwunastej w południe pytasz, kiedy wreszcie skończy się ta noc.

— Bo nigdzie nie widzę słońca.

— Świeci niemal prostopadle z góry. Jeżeli nie jesteś ślepy, wyjdź przed dom i rozejrzyj się po niebie.

— Patrzyłem wiele razy.

— I co?

— Na niebie dostrzegłem tylko księżyc w pełni. Od kilkunastu godzin wschodzi spoza północnego horyzontu. Już w tym fakcie jest kilka zagadek.

— Antonio, co ty pleciesz? Z pewnością jesteś zahipnotyzowany. Nie widzisz, że jest jasny dzień?

— Nie.

— Ale mnie widzisz?

— Tylko wtedy, kiedy wysuwasz się z cienia. Wszystko dookoła mnie wygląda tak, jakbym patrzył przez bardzo ciemne okulary.

— Ciekawe, co to może być. Pewnie zostałeś czymś oślepiiony. Musisz iść do okulisty. Albo porozmawiaj z moim ojcem. On ci wytłumaczy, dlaczego zamiast słońca w zenicie widzisz księżyc nad horyzontem.

Zastanawiam się, czy powiedzieć jej, że czasami ten księżyc wybucha w moich oczach jasnością termojądrowej eksplozji.

— Twój ojciec wie wszystko? — pytam.

— Nie przesadzajmy. Wszystkiego nie wie. Jednak zna fakty, które nie pozwoliłyby zasnąć waszym filozofom.

— Już to gdzieś słyszałem.

Próbuję przypomnieć sobie, kto mi to powiedział. Sofia prosi mnie o kieliszek Martini. Podchodzę z butelką do tapczanu.

— Wiesz, Antonio — mówi — chwilami mam wrażenie, że ja ciebie znam.

— Przecież spotykamy się po raz pierwszy.

— Mimo to... — Podnosi do ust kieliszek. — Wiem! Ty jesteś tym znanym piosenkarzem amerykańskim. Nazywasz się Suchary!

— Rzeczywiście.

— Co za niespodzianka!

— Więc słyszałaś już o mnie?

— Czy słyszałam? Ależ ty jesteś moim idolem!

— Jednak, zanim mnie wreszcie rozpoznałaś, długo musiałaś się zastanawiać.

— Bo wyglądasz tak, że rodzona matka nieprędko by cię poznała.

— Inaczej niż na zdjęciach i w telewizji?

— Człowieku, przejrzyj się w lustrze. Myślałam, że wiesz jak wyglądasz.

— No jak?

— Jak kominiarz.

— Brudny jestem?

— Jesteś osmalony ogniem, umazany sadzami, bardzo opalony i zakurzony, jakbyś się czołgał przez jakieś zgliszcza. Co ty właściwie robisz?

Oglądam się w stronę Lucii. Dziewczyna siedzi z zamkniętymi oczami. W poświacie księżycowej jej twarz jest blada i czysta.

— Przypadkiem przechodziłem obok płonącego domu i wziąłem udział w akcji ratunkowej — zmyślam.

— Pewnie tam...

— Poczekaj. Który dzisiaj jest?

— Trzynasty lipca.

— Dopiero... Już trzynasty?

— Jaki ty jesteś dziwny. Nie możesz się zdecydować, czy jest późno, czy wcześniej?

— Bo to zależy od punktu odniesienia. Względem pewnego faktu jedna strona rzeczywistości dzisiejszego dnia wydaje mi się jasną przeszłością, którą gdzieś przespałem, a druga mrocznym czasem teraźniejszym.

— Mówiłam, że jesteś pod wpływem jakiejś sugestii. Ojciec ci to wytłumaczy.

— Podobno pan Lisitano jest postacią słynną wśród hipnotyzerów. Mogłabyś powiedzieć mi o nim coś bliższego?

— Mieszka w Rzymie i wykłada tam psychologię. Niekiedy przyjeżdża do Sorrento. Zbudował mi tutaj ten domek.

— Z pewnością nie zbudował go w twojej wyobraźni. Ale jeśli zna tajemnice ludzkiej duszy i rozumie więcej niż inni, to może też potrafi przewidzieć najbliższą przyszłość.

— Czyją?

— Moją i twoją.

— One nie mają ze sobą nic wspólnego.

Napełniam kieliszki winem. Sofia wyjmuje z szuflady lakier i maluje sobie paznokcie.

— A gdzie jest Keys i Nuzan? — pyta.

— Keys została w Londynie, a Nuzan jest w Voce del Silenzio na Capri.

— On mieszka w Głosie Ciszy?

— Tak, razem ze mną.

— Wspaniale! My też mamy pokój w tym hotelu.

— My — to znaczy kto?

— Ja i Elena, moja przyjaciółka. W zasadzie mieszka tutaj ze mną. Na wyspę przenosi się wtedy, gdy jest gorąco. Odwiedzam ją tam czasami. Ona również bardzo lubi wasze piosenki. Będziecie śpiewali we Włoszech?

— Nie zamierzamy tu występować. Przyjechaliśmy na wakacje. Od dawna znacie nasz zespół?

— Od czasu, kiedy zaczęli reklamować was w telewizji. Poczekaj... Zdaje się, że pierwszy koncert był na początku czerwca. Po dwóch tygodniach wasze piosenki wyszły na czoło listy przebojów.

— Więc kampania reklamowa „To tu — to tamów” rozpoczęła się we Włoszech przed sześcioma tygodniami?

— Mniej więcej.

— Ciekawe.

— Dziwisz się, że tak późno?

— Przeciwnie. Będę musiał zapytać o coś Nuzana. Ale mniejsza o to. Twoje zdrowie. — Podaję jej kieliszek. — Jeżeli Elena mieszka u ciebie, to po co wynajmuje pokój na tamtej wyspie?

— Zauważyłeś już chyba, że w Sorrento i na Capri wszystkie brzegi są strome i skaliste. W słoneczne dni na małych plażach trudno znaleźć skrawek wolnego piasku i dostęp do wody, a Elena bardzo lubi opalać się i pływać. Dlatego chodzi na baseny zbudowane w ubiegłym roku razem z tamtymi hotelami. Ja w Głosie Ciszy bywam rzadko, ponieważ nie odpowiada mi jego atmosfera.

— Kiedy tu weszłaś, poleciłaś mi, abym powiedział Elenie, że nie ma cię w domu. Ukrywasz się przed nią?

— Tak, bo Elena wciąż próbuje wyciągnąć mnie na basen. Dzisiaj przed południem zajrzała tu już trzy razy. A to pod pretekstem, że zostawiła ręcznik, to znów po olejek do opalania. Najpóźniej o wpół do drugiej chciałabym wyjść z domu, więc ona w tym czasie musi zostać w

hotelu. Może na obiedzie spotka Nuzana i da mi spokój.

Dziwna sytuacja — myślę. Z opowiadania Sofii wynika, że jej dom w Sorrento sąsiaduje z hotelem na Capri, faktycznie zaś odległość między nimi wynosi około piętnastu kilometrów: trzeba wsiąść na statek i przepłynąć ją aby dostać się z wyspy do domu Sofii.

— ...w każdym razie, gdyby znowu tu przyszła, poproś ją o to.

— O co?

— Jednak nie jesteś przytomny. — Przez chwilę patrzy na mnie z uśmiechem. — Wiesz co, śpiący rycerzu? Mógłbyś się wreszcie umyć. Łazienka jest obok.

Wychodzę do przedpokoju. Znowu słyszę podejrzaną dźwięki. Z góry dobiegają zgrzyty belek i trzask palącego się dachu. Przez okna wpada groźny szum płomieni ogarniających drzewa. Równocześnie na dole odzywają się głosy ludzi, którzy rozmawiają o festynie. Przyzwyczyłem się już do tego niezwykłego zestawienia. Naciskam kontakt przy drzwiach łazienki, ale światło żarówki nie rozprasza panującego w niej mroku. Szukam mydła po omacku i myję twarz w ciemności.

Sofia wytrąciła mnie z jednego złudzenia i pogrążyła w drugim. Po rozmowie z nią czuję w głowie zupełny chaos. Domyślam się, że niezwykła rzeczywistość całego mojego otoczenia jest zbiorem obrazów, do którego należą trzy przenikające się wzajemnie wizje. Kompozycja ta przypomina mi zdjęcia trickowe z filmów oglądanych na płaskich ekranach: raz dominuje w niej upiorny błysk termojądrowej eksplozji, kiedy indziej widmo ziemi spalonej światłem tego błysku, wreszcie malowniczy pejzaż rozbawionego Sorrento.

Ta ostatnia wizja zdaje się być najbardziej wyrazista, chociaż niekiedy odnoszę wrażenie, jakby należała do przeszłości. Jestem rozdwojony cieleśnie i duchowo: postrzegam dzień dzisiejszy w oślepiającym blasku jutra albo trwam teraz z myślami błędzącymi w ciemności dnia wczorajszego. Teraz umieram, a w niedalekim czasie przeszłym mogę zapobiec swojej śmierci. Więc poprzez miraż splątanych stereonów przebija się jakaś nadzieja. Równocześnie w sytuacji swojej widzę sprzeczność tak typową dla zjawisk rozciągniętych w czasie: bomba wybuchnie z całą pewnością, lecz przecież jeżeli kilka dni przed jej eksplozją dowiedziałem się, gdzie ona nastąpi, to z łatwością mogłem

zapobiec katastrofie.

Bomba wybuchnie w Neapolu. Za trzy dni — powtarzam sobie. Muszę natychmiast skontaktować się z Melfeim. Niech rozkaże wysłać samoloty po terrorystów rozproszonych w więzieniach na terenie całego kraju i niech ich wszystkich skoncentruje w mieście planowanego superzamachu. Wiadomość o koncentracji Czarnych Piór trzeba natychmiast rozgłosić. Taki manewr zapobiegnie katastrofie.

Naraz przychodzi mi do głowy mroźna myśl: „Wszystko stracone, jeżeli nie zdołam porozumieć się z Melfeim”. Gdzie ja właściwie jestem? Żywy człowiek nie może przekroczyć ściany ekranu. Czyżby Ibrahim był teraz razem ze mną w Sorrento? Pozornie dom Sofii i hotel na wyspie stoją tuż obok siebie. A jeśli dzieli je nieprzenikalna ściana i nie mam możliwości przedostania się do Diamentowej Siedziby? Sofia i Elena nieustannie kontaktują się ze sobą, ponieważ widma ludzi (tak to próbuję wytłumaczyć) nikną z jednej strony ściany ekranu i pojawiają się z drugiej. Eksplozja już nastąpiła — myślę. Więc musi istnieć jakaś przyczyna, która uniemożliwi mi przekazanie cennej informacji.

Schodzę na parter. Przez kilka minut błędzę między pijanymi gośćmi Sofii, na których tle przemykają przezroczyste cienie postaci należących do innego czasu. Dom jest pełen takich zjaw, ale w jednym z pokoiów nikogo nie ma. Dostrzegam w nim aparat telefoniczny. Stoi przy oknie w księżycowym blasku. Obok leży książka ze spisem numerów. Znajduję w niej numer telefonu Diamentowej Siedziby na Capri i wykręcam go.

W słuchawce odzywa się głos Melfeiego. Oddycham z ulgą. Zwracam się do niego po angielsku:

— Mówi Antoni Suchary.

— Suchary?

— Tak, to, ja.

— Gdzie pan jest?

— W Sorrento.

— Szukamy pana od czterech dni. Zatrudniliśmy specjalnych agentów. Dlaczego opuścił pan wyspę?

— Dostałem się tutaj wbrew własnej woli. Ale mniejsza o to. Opowiem przy innej okazji.

— Porwano pana?

— Nie.

— Więc co się stało?

— To jest drugorzędna sprawa. Teraz nie mogę o tym mówić, bo najpierw muszę przekazać panu niezwykle ważną wiadomość. Proszę słuchać uważnie.

Zastanawiam się, jak mu to powiedzieć. Wiadomość jest tajna i pochodzi ze źródła, którego nie mogą określić. Mam już na końcu języka te trzy piorunujące słowa: „Bomba wybuchnie w Neapolu!”.

W słuchawce odzywa się głos Melfeiego. Rozmawia z kimś, kto znajduje się przy nim. Do pokoju zagląda Lucia. Patrzy niezbyt przytomnie. Po chwili dostrzega mnie i podchodzi.

— Szukałam się w całym domu — mówi. — Co tutaj robisz?

— Dzwonię do znajomego.

— Jest taka piękna pogoda. Pójdziemy nad morze?

— Chętnie. Zaraz idziemy.

Drzwi otwierają się ponownie. Ukazuje się w nich młody mężczyzna. Idzie w stronę Lucii. Niesie dwa napełnione kieliszki.

— Napijesz się ze mną? — pyta.

Lucia przeczy ruchem głowy. Chłopiec stawia kieliszki na telewizorze i rozsiada się w fotelu.

— Melfei, niech pan chwilę zaczeka! — rzucam do słuchawki i odkładam ją z trzaskiem na parapecie okna.

Zwracam się do przybysza:

— Może byłby pan uprzejmy przenieść się do innego pokoju? Bardzo mi na tym zależy.

Chłopiec ignoruje mnie. Włącza gramofon i przy dźwiękach muzyki płynącej z czterech głośników próbuje namówić Lucię do tańca.

— Słyszał pan, o co prosiłem? — pytam.

— Tak.

— Więc proszę stąd wyjść.

— Dlaczego?

— Ponieważ chcielibyśmy zostać sami.

— Jako goście mamy tu jednakowe prawa. Ten dom należy do Sofii.

— Mimo wszystko proszę, żeby pan wyszedł chociaż na dwie minuty.

— Nie rozumiem, dlaczego pan miałby tu zostać, a ja nie.

— Wolałbym tego panu drugi raz nie tłumaczyć.

— Nie przyszedłem do pana, tylko do tej blondynki.

— Ona nie ma zamiaru rozmawiać z panem.

— Może wkrótce zmieni zdanie. Poczekajmy. Mamy u niej jednakowe szansę.

Pod ścianą ukazuje się na wpół przejrzysty cień człowieka, który miota się w przestrzeni przenikającej nasze otoczenie. Nie widzę ognia, domyślam się jednak, że postać ta jest żywą pochodnią. Zjawa wpada do pokoju przez zamknięte drzwi i po kilkunastu sekundach znika za nimi.

Oto dlaczego zginął Neapol — myślę. — Czyż można wyobrazić sobie bardziej absurdalną przyczynę? Wiem, że rozmowę z Melfeim mógłbym odłożyć na później albo przeprowadzić ją z innego miejsca, ale już nie potrafię opanować wściekłości. Chwytam intruza za kołnierz i wyciągam go z fotela. W drodze do drzwi chłopak bije mnie po głowie. Wymierzam mu silny cios w twarz. Upada na podłogę. Po chwili podnosi się i próbuje kontynuować walkę. Ma rozbity nos. Wyrzucam go do przedpokoju, skąd dobiegają podniesione głosy.

Zaraz przyjdą tu jego koledzy — myślę. Rozglądam się nieprzytomnie. Przypadkiem dostrzegam słuchawkę leżącą przy telefonie. Podbiegam i podnoszę ją!

— *Pronto!* Signor Melfei!

— Słucham — odpowiada znajomy głos.

— Na wszelki wypadek mówmy po angielsku

— Zgoda. Co pan tak dyszy?

— Bo jakiś szczeniak próbuje mnie tu wyprowadzić z równowagi. — Oglądam się w stronę drzwi. — Chyba domyśla się pan, dlaczego przez telefon nie mogę mówić swobodnie.

— Czy ta wiadomość dotyczy akcji TZ?

— Właśnie.

— Więc o co chodzi?

— Wiem już, w jakim mieście.

— No gdzie?

— W Neapolu.

— Ciekawe.

— Czy pan dobrze mnie zrozumiał?

— Tak. Twierdzi pan, że planowany na godzinę osiemnastą dnia szesnastego lipca finał akcji naszych przeciwników ma nastąpić w

Neapolu.

— Doskonale.

— A skąd pan to wie?

Przez chwilę zastanawiam się, co odpowiedzieć, aby Melfei uwierzył, że może mieć pełne zaufanie do przekazanej mu wiadomości. Nie wolno mi ujawnić, jaki obraz rozpościera się tutaj przed moimi oczami, gdyż na trzy dni przed planowanym wybuchem żaden normalny człowiek nie może go zobaczyć. Jeżeli powiem prawdę, w najlepszym razie uzna mnie za wizjonera bezpodstawnie przewidującego przyszłość. Wtedy nie skoncentruje terrorystów w Neapolu i eksplozja nastąpi rzeczywiście.

— Powiedziała mi to jedna z naszych znajomych — odpowiadam i pośpiesznie zmieniam temat: — Czy Ibrahim Nuzan jest teraz na Capri?

— On nie opuścił swego posterunku.

— Na pewno?

— Jest tutaj.

— Widział go pan?

— Rano odwiedził nas w Diamentowej Siedzibie.

— A w tej chwili gdzie jest? Proszę mi wybaczyć, jeżeli pana nudzę, ale chciałbym mieć całkowitą pewność, że Ibrahim nie opuścił wyspy.

— Przed kwadransiem dzwoniłem do niego. Jest w Głosie Ciszy. Przed obiadem zamierzał wstąpić do pokoju 1123.

— Kto tam mieszka?

— Sofia i Elena. Dzisiaj te dwie dziewczyny przesunęły się na czoło naszej listy. Signor Nuzan nawiązał znajomość z Eleną.

Świetnie — myślę. Powiem Melfeiemu, że tajemnicę powierzyła mi Sofia. Wiadomość pochodząca z takiego źródła wyda mu się najbardziej wiarygodna.

— Więc Ibrahim poznał Elenę? — pytam.

— Tak. Zaprzyjaźnili się już ze sobą. Rano...

— Niech pan słucha! To właśnie jej przyjaciółka powiedziała mi, gdzie nastąpi finał.

— Sofia?

— Tak.

— Gdzie pan ją spotkał?

— Tutaj, w Sorrento.

— Faktycznie! Ta dziewczyna tam mieszka. Signor Nuzan wspomniał mi o tym. Gratuluję, chociaż w dalszym ciągu nie wiem, w jaki sposób opuścił pan wyspę. Przecież w porcie czuwają nasi ludzie.

— Wyjaśnię to po powrocie.

— Zgoda. W każdym razie wielki kłopot spadł mi z głowy. Dziękuję serdecznie i proszę o szybki powrót do Głosu Ciszy, gdzie oczekujemy na bardziej szczegółową relację.

— Niech pan nie czeka ani godziny dłużej. Spodziewam się, że jeszcze przed moim przybyciem na wyspę uruchomicie wszystkie właściwe struny. Musicie natychmiast zrealizować plan, który wcześniej opracowaliście. To jest bezwarunkowo konieczne. Rozumie pan, o czym mówię?

— Oczywiście.

— Do zobaczenia.

Odkładam słuchawkę na widełki aparatu. Jestem wyczerpany nerwowo, chociaż w czasie drugiej części mojej rozmowy z Melfeim nikt mi nie przeszkadzał.

Zobaczyć Neapol

Lucia siedzi na puszystym dywanie. Jest ubrana w tę samą zapinaną na guziki sukienkę, w której widziałem ją ostatnio. Z głową pochyloną na bok przegląda gramofonowe płyty. Jej włosy sięgają podłogi, a twarz w przyćmionym blasku termojądrowej eksplozji ma tajemniczy wygląd.

Cóż to za piękna dziewczyna — myślę. Czy nadal sądzi, że jestem jej mężem? Spotkałem ją tyle razy i prawie nic o niej nie wiem. Zawsze jakieś dziwne zdarzenie rozdzielało nas, uniemożliwiając rozmowę. Kolejka do portu Marina Grande — przypominam sobie — potem winda w Głosie Cisy, następnie spotkanie w centrum Capri przed restauracją Campanile, w czasie którego przenieśliśmy się nad brzeg morza w Sorrento, wreszcie tragiczny finał na skarpie pod drogowskazem do młodzieżowego schroniska „Ostello per la Gioventu” i sugestywny sen o naszym wspólnym życiu w domku na leśnej polanie wywołany w pokoju Sofii przez jej ojca hipnotyzera Lisitano. Tak często znajdowała się tuż obok mnie i zarazem była tak daleko, jakby wcale nie istniała.

Niepotrzebnie wyrzuciłem za drzwi tamtego intruza — myślę. Ten chłopak nie odgrywa tu żadnej roli. Może ze strony tajemniczej Lucii, jeśli jest terrorystką i zna angielski, po rozmowie z Melfeim grozi nam wszystkim znacznie większe niebezpieczeństwo. Chociaż w czasie tej rozmowy nie powiedziałem niczego wyraźnie, ktoś zapoznany z sytuacją, kto należy do organizacji Czarnych Piór, łatwo mógł się zorientować, o co mi chodziło.

Dlaczego jestem taki nieostrożny? Jak doszło do tego, że właśnie tę jedną, najbardziej tajną wiadomość przekazałem Melfeiemu akurat w momencie, gdy obok mnie przypadkiem znajdowała się kobieta podejrzana o terrorystyczną działalność? Tak wiele brakuje mi do doskonałości asów wywiadu, których przygody przedstawiają szpiegowskie filmy. Budzę się powoli z czterodniowego snu, ale jeszcze nie jestem zupełnie przytomny.

Jak postąpią terroryści, kiedy się dowiedzą, że my znamy już ich plany? Czy domyślą się, co zamierzamy zrobić? Jeśli rozumują podobnie, to będą się spieszyli, aby zniweczyć nasze nadzieje związane z

koncentracją więźniów. Więc wywołają eksplozję przed szesnastym lipca albo wywiozą bombę z Neapolu, zanim to miasto zostanie otoczone pierścieniem ścisłej kontroli. W drugim przypadku poszukiwania trzeba by było zacząć od początku.

Lecz o czym to ja właściwie myślę? Przecież eksplozja nastąpi w Neapolu! Wyglądam przez okno. Czy na pewno? A jeśli jej obraz jest jakimś złudzeniem, technicznym błędem fabryki materialnych snów, która źle wymierzyła nie tylko czas, ale również i miejsce planowanej katastrofy? Pomyłka taka może zdarzyć się w kinie, gdy operator równocześnie włączy dwa projektory; bywa też, że przez tło jednego obrazu na ekranie telewizora przenika jakiś zagadkowy miraż. Jeśli kompozycja ta nie jest zamierzona, spikerka wyjaśnia przyczynę złego odbioru. Z pewnością w stereonach również występują zakłócenia, choć trudno oczekiwać, by ukazywały się w nich napisy: „Przepraszamy za usterki”. Czemu jednak stereowizja wybuchu działa tylko na moje zmysły? Nikt tu poza mną nie dostrzega błysku rozświetlającego ciemności dnia nad Neapolem ani nie słyszy szumu i trzasku pożarów szalejących wokoło. Czy dzieje się tak dlatego, że w Sorrento jestem jedynym żywym człowiekiem? Tak pewnie jest, gdyż stereonowe widma (podobnie jak postacie filmowe na płaskich ekranach) nie mogą widzieć obcych obrazów, które przenikają ich otoczenie: dostrzega je tylko obserwator nie sterowany dyspozycjami fabryki snów, więc ktoś świadomy i niezdeterminowany. Przecież postać filmowa nie spostrzegłaby obrazu katastrofy rzuconego na ekran z drugiego projektora. Nie zauważyłaby go — to znaczy dalej grałaby swoją rolę zgodnie z beztroską treścią filmu wcześniej utrwaloną na taśmie. Wprawdzie w stereonie fabuła widowiska nie jest z góry szczegółowo określona, ponieważ w każdej chwili zachowaniem wszystkich postaci kieruje mechanizm ukryty pod Dachem Świata, ale w sytuacji, gdy dwie różne stacje realizują programy w jednym kanale, naturalna reakcja na zakłócenia w odbiorze możliwa jest tylko ze strony żywego widza.

Lucia przegląda gramofonowe płyty. Podnosi je ze stosu leżącego na dywanie i co pewien czas z zainteresowaniem zerka w moje stronę.

— Znasz język angielski? — pytam po włosku.

— Nie znam.

Unosi głowę i wpatrując się we mnie, nieruchomieje nad płytami.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że zaraz o coś mnie zapyta. Ale usta jej rozchyła tylko lekki uśmiech. Ma taką minę, jakby była czymś bardzo zaintrygowana.

— Nigdy nie uczyłaś się angielskiego?

— Nigdy.

Z przedpokoju dobiega głos Sofii, która żegna kilku gości. Podchodzę do drzwi i zamykam je na klucz. Lucia siedzi moje ruchy.

— Antonio, wiesz, że masz sobowtóra?

— Tak? A kto nim jest?

— Popatrz.

Siadam na dywanie obok niej. Podaje mi barwną kopertę, na której dostrzegam fotografię całej mojej postaci. Jestem na niej ubrany tak, jak w momencie, gdy na Dachy Świata otoczyła nas nierzeczywista scena i tłum ekranowych sympatyków naszej piosenki.

Zaglądam Lucii w oczy.

— Nie poznajesz?

— Kogo?

— To ja jestem.

— Ty?

— Nie wiedziałaś?

— Skąd twoje zdjęcie na okładkach tych płyt?

Rozkłada przed sobą inne koperty. Jest ich wiele. Po rozmowie z Sofią nie dziwię się, że akurat te płyty zostały zgromadzone w jej mieszkaniu. Fotografie przedstawiają zespół „To tu — to tam” w pełnym składzie. Ibrahim i ja pozujemy na nich z gitarami.

Lucia jest zdumiona. Zaskoczenie jej wygląda bardzo autentycznie. Wybucham śmiechem.

— To przecież ja jestem tym popularnym piosenkarzem. Nic nie słyszałaś o grupie Nuzan-Keys-Suchary?

— Nie.

Kładę na talerzu jedną z płyt i włączam gramofon. W pokoju rozlega się muzyka i śpiew. Między innymi rozpoznaję swój własny głos. Nie mam wątpliwości że to ja śpiewam, choć zarejestrowany na płycie głos jest tak czysty, jakby to nagranie powstało przy współudziale innego mężczyzny, obdarzonego doskonałym słuchem i będącego moim niedoścignionym ideałem.

Zastanawiam się, skąd fabryka snów mogła wiedzieć, że kiedyś marzyłem o karierze piosenkarza. Nie mam pojęcia, jak oni to wszystko zrobili. Lucia słucha ze skupieniem. Odrywa wzrok od gramofonu dopiero w momencie, gdy muzyka milknie.

— Piękna jest ta piosenka — mówi. — Nie wiedziałam, że masz taki wspaniały głos.

Zbliżam usta do jej twarzy. Opuszcza oczy i podnosi moją rękę, zerka w stronę stosu płyt.

— Dlaczego ja tego nie wiem? — pyta.

— Czego?

— Że ty jesteś piosenkarzem.

— To proste. Widocznie nie spotkałaś się jeszcze z nagraniami naszego zespołu. Telewizja włoska zaczęła nas reklamować dopiero na początku czerwca.

Nadal czegoś nie rozumie. Patrząc w dół, gładzi w zamyśleniu moją dłoń. Naraz podnosi powieki.

— Ale ja o tobie nic nie wiem.

— Zupełnie nic?

— Prawie.

Uśmiecham się do niej.

— A dlaczego sądzisz, że powinnaś wiedzieć o mnie znacznie więcej niż inni?

— No bo przecież my... jesteśmy...

Patrzy mi w oczy.

— Razem?

Potwierdza ruchem głowy i dopiero po dłuższej chwili pyta raz jeszcze:

— Jesteśmy razem, prawda?

— Oczywiście.

Przytulam się do niej. Jest bardzo poważna. Ma w oczach coś, czego dotąd nie znalazłem u innej kobiety. Są ocienione długimi rzęsami i równocześnie lśnią w blasku zastygłej eksplozji. Widzę je tuż przed sobą. Lucia zbliża wargi do moich ust i całuje mnie. Czuję ruch rzęsy na policzku, kiedy zamyka oczy. Otwiera miękkie, gorące usta. Przenoszę rękę na jej kolana i rozpinam sukienkę.

Ktoś puka do drzwi. Lucia obejmuje mnie za szyję i pociąga za sobą

na dywan. Rozbierając się, dostrzegam cień ludzkiej postaci, który podbiega do okna i znika za nim. Lucia nie widzi tej zjawy. Przesuwam dłoń po jej udach i piersiach. Jestem przekonany, że niezwykła dziewczyna, którą trzymam w ramionach, nie słyszy huku ognia szalejącego wokoło nas; zresztą wkrótce i ja o nim zapomnę.

Elena przyszła do Sofii i namawia ją do wspólnej wycieczki na basen. Stoimy przed domem, czekając na hipnotyzera Lisitano, który zatrzymał się w ogrodzie i rozmawia z ludźmi pogrążonymi w cieniu płonących drzew. Lucia ściska mnie za rękę.

Jest nieco jaśniej, ale światło zmieniło kolor. Teraz — zamiast bieli zabarwionej fioletem — wszędzie dominuje czerwień. W jej blasku biały dom Sofii stał się purpurowy. Przedmioty i ludzie nie rzucają już takich głębokich cieni. Czuję tylko dym z ogniska rozpalonego w ogrodzie. Podobno jest ranek dnia czternastego lipca.

Bez przerwy widzę dwa obrazy częściowo nakładające się na siebie. Ta wizja, która odpowiada zwyczajnemu pejzażowi Sorrento, jest znacznie bardziej wyrazista niż miraż umierającego miasta; jednak nie dostrzegam w niej wszystkich szczegółów, gdyż wciąż jestem oślepiiony. W obu obrazach sylwetki domów dokładnie pokrywają się ze sobą. Ostre są też kontury żelaznych i betonowych słupów. Lecz często w stałych ramach otworów wejściowych wiszą na tych samych zawiasach podwójne drzwi: jedne są otwarte, a drugie zamknięte. Wnętrze ulicy jest zamglone. Sylwetki drzew również nie są ostre: w jednym zarysie stoją pionowo i szumią żywymi liśćmi, w drugim — ich czarne szkielety pod naporem wichru wiejącego z północy wyginają się do ziemi w kierunku południowym.

Lucia opiera głowę na moim ramieniu. Ulicą przechodzi barwny korowód. Sofia wymienia z Eleną uwagi na temat naszego zespołu, a Lisitano kręci się między gośćmi siedzącymi przy stole pod gołym niebem i namawia ich do picia wina.

Jest cicho. Nie wiem, dlaczego nie słyszę już huku ognia. Domyślam się tylko, że pożar lasu i miasta trwał zaledwie kilkanaście sekund. Tyle bowiem czasu było potrzeba, by do wybrzeża dotarło pierwsze, jeszcze nieśmiałe tchnienie huraganu, które zwiastuje śmierć w postaci miażdżącego ciosu czoła powietrznej fali uderzeniowej. Powiew ten —

jak dziecko płomyczek zapałki — podczas nocy spędzonej w domu Sofii zdmuchnął wszystkie pożary i popioły szalejącego wokoło radioaktywnego piekła. Wkrótce po nim nastąpi uderzenie sprasowanej fali nadciśnienia poruszającej się z prędkością większą od dźwięku, zaś rozrywający przestrzeń grzmot eksplozji w Neapolu dotrze do Sorrento dopiero za kilkadziesiąt sekund, więc w czasie, kiedy to miasto zostanie już zmiecione z powierzchni ziemi.

Ponad wschodnim widnokręgiem majaczy na czarnym niebie ledwie dostrzegalny krążek tarczy słonecznej. Sofia twierdzi, że jestem roztargniony i trudno ze mną nawiązać kontakt. Pyta o Nuzana, chciałaby dowiedzieć się, kiedy zawarliśmy znajomość i jak najłatwiej zrobić karierę w dziedzinie popularnej muzyki. Odpowiadam jej uprzejmie, lecz krótko, po czym zwracam twarz w stronę Zatoki Neapolitańskiej.

W czasie ubiegłej nocy w obrazie morskiej panoramy zaszły zasadnicze zmiany. Z linii północnego horyzontu wyrasta olbrzymi trzon atomowego grzyba. Jego gigantyczny kaptur sięga stratosfery i jest zabarwiony czerwoną łuną. Szkarłatny blask pada z prawej strony, gdzie majaczy pęknięta sylwetka Wezuwiusza. Przepaść krateru rozdziera ziemię wzdłuż krótkiego odcinka od epicentrum eksplozji do wierzchołka wulkanu. Z wnętrza ziemi bucha w niebo zastygły strumień rozpalonej lawy. Zgasła już ognista kula termojądrowej eksplozji, która dotąd raziła ziemię biało-fioletowym błyskiem. Teraz cała zatoka lśni w czerwieni. W mrokach jasnego dnia jedynym źródłem światła dla oślepionych stał się obudzony wulkan.

Sofia ma do mnie żal o to, że bez powodu uderzyłem w twarz i wyrzuciłem za drzwi jej gościa. Podobno chłopak jest bardzo zawzięty.

— Renato nie daruje ci tego — mówi. — Zawoła swoich kolegów. Lepiej by było, gdybyś ich unikał.

— Chyba nie będę tu na nich czekał — odpowiadam. — Chętnie porozmawiałbym z nimi, ale właśnie wybieramy się z Lucią do Neapolu. Możesz im to powiedzieć.

— Dlaczego jesteś taki rozdrażniony? Wolałabym, żeby nie doszło do jakiejś awantury.

— Gdybyś wiedziała, co doprowadziło mnie do wybuchu...

— Sensownej przyczyny wcale nie było. Chyba zwyczajna zazdrość, bo Renato chciał zatańczyć z twoją dziewczyną.

— Wiesz co? Niewykluczone, że wkrótce wrócimy jeszcze do tego tematu.

Trzymam Lucię za rękę. Ojciec Sofii podchodzi do nas i uśmiecha się życzliwie. Podaje nam pomarańcze.

— Płyniemy na Capri — mówi. — Zabieram dziewczyny ze sobą. Moglibyście wybrać się tam razem z nami. Macie ochotę?

Lucia przeczy ruchem głowy.

— Na wyspę popłyniemy wieczorem. Teraz chcielibyśmy zwiedzić Neapol. Nigdy tam nie byłam.

— Zobaczyc Neapol... — Lisitano patrzy w dal poprzez szklisty miraż olbrzymiego wału wodnego, który przybierając kształt szerokiego łuku spiętrzył się na wysokość góry i zastygł pośrodku zatoki w drodze do brzegów Sorrento. — Do zobaczenia na Capri.

Schodzą w dół. Za bramą oglądają się i patrzą w głąb ogrodu. Lucia macha do nich ręką.

— Pomyślnych wiatrów!

Pierwszy raz widzę, jak się uśmiecha.

— Pójdziemy za nimi — proponuję. — Ciekaw jestem, czy rzeczywiście zejdą do przystani.

— Myślisz, że nie wsiądą na statek?

— Mam takie przeczucie.

— Po co mieliby nas oszukiwać?

Nie potrafię jej na to odpowiedzieć. Czuję zamęt w myślach. Nurtuje mnie tak wiele pytań, że w końcu nie wiem, które z nich jest najważniejsze.

Idziemy w kierunku głównej ulicy. Lisitano z dziewczynami znacznie nas wyprzedzają. Przed pierwszym skrzyżowaniem ulic hipnotyzer zwalnia i ogląda się poza siebie. Sofia i Elena również patrzą w naszą stronę. Wchodzą na jezdnię tyłem. Odwracam się na chwilę sądząc, że poza nami coś się stało, ale w głębi ulicy nie dzieje się nic niezwykłego. W tym czasie, gdy oderwałem od nich wzrok, cała trójka znikła mi gdzieś z oczu.

Podbiegamy do miejsca, gdzie ostatnio ich widziałem. Rozglądamy się wokoło. Skrzyżowanie mijają obcy ludzie. Nasi znajomi nie zdążyliby wejść do jakiejś bramy lub sklepu. Pamiętam jeszcze ich sylwetki, gdy ze środka jezdni cofają się na przeciwległy chodnik. Stojąc na nim mam

wrażenie, że rozplynęli się w przestrzeni.

Pod wulkanem

Idziemy ulicami Sorrento w kierunku stacji podmiejskich pociągów elektrycznych.

Lucia zatrzymuje się przed wystawami sklepów. Najczęściej ogląda je w milczeniu. Nie należy do gadatliwych kobiet, co — zwłaszcza teraz, gdy muszę przebrnąć przez cały ten koszmar — bardzo mi się u niej podoba. Wystarczy jej moja obecność i wymiana spojrzeń. Patrzy pogodnie i z pewnością jest szczęśliwa. Fakt ten przynosi mi znaczną ulgę: nie chciałbym, by ona również była świadkiem rozgrywającej się wokoło tragedii.

Wystawowe szyby lśnią w ciemnej czerwieni. Druga strona ulicy pogrążona jest w ciemności. Tu i ówdzie na północnych murach domów dostrzegam charakterystyczne „atomowe cienie” przechodniów, którzy w momencie błysku zasłonili je swymi ciałami. Wokół sylwetki człowieka utrwalonej na ścianie błyszczą się szkliwo tynku roztopionego w wysokiej temperaturze. Wnętrze zarysu pozostało matowe. Taka prosta i zarazem upiorna jest przyczyna powstawania „atomowych cieni”.

Niekiedy między budynkami przebiegają mgliste zjawy. Wyskakują na jezdnię i nikną w ciemności. Nie stawiają one żadnego oporu samochodom z czasu poprzedzającego katastrofę. Na chodnikach leżą postacie umierających ludzi. Ich przezroczyste, ledwie zarysowane w przestrzeni ciała przenikają nasze nogi. Domyślam się, że wielu przechodniów straciło przytomność lub życie kilkanaście sekund przed uderzeniem fali nadciśnienia, która jeszcze nie dotarła do brzegów Sorrento: poraziło ich twarde promieniowanie elektromagnetyczne i cieplne. Czasami mijamy większe grupy takich powalonych na ziemię postaci. W miejscach nieosłoniętych, gdzie światło błysku padło na ciała bezpośrednio, jest ich znacznie więcej niż w ogrodzie za domem Sofii.

Naraz przypominam sobie czterodniowy okres pobytu między drzewami owocowymi w okolicy białego domu, gdzie nieświadom czasu, miejsca ani sytuacji spałem na jawie i włączyłem się bez celu, to pogrążony w duchowym zamroczeniu, to znów — jak mi się zdawało — z

jasnymi myślami w głowie, lecz w stanie fizycznego odrętwienia graniczącego z letargiem. Co ja tam właściwie robiłem?

Po wielu godzinach obserwacji zaczynam się wreszcie orientować, na czym polega główna różnica między dwoma oglądanymi tutaj, przenikającymi się wzajemnie stereonami. Dotąd byłem przekonany, że przebieg katastrofy odtwarzany jest w niezwykle zwolnionym, lecz miarowym tempie. Wyobrażenie to nie odpowiada rzeczywistości. Stereon przedstawiający tragiczne losy mieszkańców wybrzeża wyświetlany jest w tempie niejednostajnym, podobnie jak obraz z taśmy magnetowidowej poruszającej się skokami. Sekundowe okresy, kiedy akcja posuwa się nieco naprzód (w takich momentach zjawy ozywają nagle) rozdzielane są długimi przerwami w przestrzennej projekcji, podczas których przezroczysty miraż całej katastrofy trwa w doskonałym bezruchu.

Wychodzimy na główną ulicę Sorrento. Lucia pyta przechodniów o drogę. Mijamy zatłoczony plac i długie schody, które prowadzą w dół z wysokiej skarpy do przystani statków. Na placu kręcą się turyści. Jedni siedzą w kawiarniach, inni kupują pamiątki.

Przy zejściu na schody waham się przez moment: myślę, czy nie zrezygnować z ryzykownej wycieczki do Neapolu i popłynąć na Capri. Wiem jednak, że w przypadku prawdziwej eksplozji również na wyspie nie znajdziemy bezpiecznego schronienia. Terrorysty dysponują bombą o bardzo wielkiej mocy. Skutkami wybuchu zagrożona jest cała okolica Zatoki Neapolitańskiej. Po krótkim namyśle utwierdzam, się w przekonaniu, że podróż do Neapolu jest konieczna: w drodze do tego miasta mógłbym przekonać się osobiście, czy de Stina wydał już odpowiednie polecenia, to znaczy — czy kazał wprowadzić kontrolę pojazdów opuszczających Neapol, gdzie wieczorem poprzedniego dnia (po moim telefonie do Melfeiego) z pewnością zgromadzeni zostali wszyscy członkowie organizacji Penne Nere. Teraz chodzi przecież tylko o to, aby terroryści nie przewieźli groźnego ładunku do innego miasta.

Stacja circumversuviany znajduje się po prawej stronie ulicy. Pociąg do Neapolu stoi już przy peronie. Głośniki za powiadają jego odjazd. Wbiegamy na górę po schodach, kupujemy bilety i w ostatniej chwili wskakuję za Lucią do przedziału.

Ruszamy. Nasz pociąg toczy się po szynach, a widmo drugiego

pociągu pozostaje przy peronie. Ten drugi stoi na tym samym torze. Zarysy jego ścian przenikają nasze ciała.

Obraz zatoki przesuwają się w oknach z lewej strony wagonu. Zajmują miejsce naprzeciwko Lucii.

Rozmawiamy o dziwnym psychologu i o jego córce — Sofii. Lucia uważa, że ich dom jest niesamowity. Bez przerwy odbywają się w nim jakieś osobliwe spotkania naukowe lub zabawy i bankiety. Oboje lubią otaczać się ludźmi, to pewne. Więc zapraszają ich do siebie. Lecz przy takim — towarzyskim — trybie życia o swych gości troszczą się w stopniu równie niewielkim, jak i o własny dom, który (Lucia była świadkiem kilku takich scen) demolowany jest przez nietrzeźwych biesiadników i szybko obraca się w ruinę.

Istotnie. Przypominam sobie, jak Sofia przyjęła nas wczoraj, po konferencji prasowej jej ojca, kiedy na górze zostaliśmy z Lucią sami. Weszła do pokoju, posłała łóżko, rozebrała się i położyła spać — słowem zachowała się tak, jakby nas tam wcale nie było. Ona lekceważy ludzi, ignoruje ich, a stąd niedaleko już do pogardy. Czyż może być inaczej, jeśli to właśnie ona jest poszukiwaną terrorystką? Tylko ktoś taki, kto innych traktuje jak przedmioty, mógłby spokojnie znieść śmierć mieszkańców wielkiego miasta. Lucia nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Przyznaję jej rację: Lisitano jest dziwakiem. Trzeba mieć za dużo pieniędzy i fantazję lub nie wszystkie klepki w głowie, żeby popłynąć sobie spokojnie na Capri, zostawiając otwarty dom na pastwę takich prowokatorów i opojów, jak na przykład ten cały ulubieniec Sofii — Renato i jego gotowa zbiec się na skinienie banda.

— Dlaczego go uderzyłeś?

— Bo jestem o ciebie zazdrosny.

Lucia uśmiecha się do mnie. Czy pamięta, co zdarzyło się wczoraj w czasie dziwnego zebrania w domu Sofii, przed wymianą zdań na temat istoty materii, kiedy Lisitano, po to tylko, by sprowokować obecnych do dyskusji, wywołał nas na środek pokoju i położył na jej ręce urojoną cegłę? Pewnie lunatyczny nastrój wczorajszego seansu wciąż jeszcze zajmuje pogrążone we śnie myśli tej dziewczyny. Musi tak być, gdyż każde głęboko uspięte medium — po przebudzeniu — uznaje poddane mu przez hipnotyzera nastawienia za swoje własne. Więc Lucia nie wie, w jakich okolicznościach doszło do zbliżenia między nami.

Rozmawiamy o Sorrento. Dzielimy się wrażeniami ze spaceru po tym malowniczym mieście. Lucia patrzy i mówi przytomnie. Jeżeli nawet nie wierzy w nasz dom na leśnej polanie, o co wprost nie mam odwagi jej zapytać, spodziewa się pewnie, że wkrótce — zgodnie z zapowiedzią wewnętrznego głosu — przyjadą murarze i cieśle, aby go zbudować.

Lecz w jaki sposób fabryka snów kieruje swymi postaciami, jeśli w głębi stereonu, gdzie nie wszystkie miraże muszą być kontrolowane centralnie, jedna zjawia może poddać drugiej swe własne sugestie? Czy widmo człowieka ma świadomość? Przypominam sobie, co na ten temat powiedział mi Ibrahim. Lucia jest jak żywa. Widzę ją i słyszę, dotykam rękami jej ciała: wszystkie zmysły zapewniają mnie o tym, że ta dziewczyna rzeczywiście istnieje.

Ona jest. Ale czy wie, że na szczycie przepłataney nazwanymi już urojeniami piramidy nieświadomionych jeszcze złudzeń, która tworzy bardziej lub mniej sugestywną fikcję tego świata, wznosi się coś, co jest pierwotne względem ciała, bez czego nie byłoby tych martwych słów i co kiedyś je ożywi — nieśmiertelna między mirażami dusza?

Przejeżdżamy przez Castellammare. Tuż za tym miastem tor kolejowy zmienia kierunek z północno-wschodniego na północno-zachodni i mijając południowy stok wulkanu prowadzi wprost do Neapolu, gdzie znajduje się epicentrum wybuchu. Cały czas jedziemy wzdłuż linii wybrzeża Zatoki Neapolitańskiej.

Przed nami otwierają się niebosiężne wrota piekła. Jedno ich skrzydło obraca się na trzonie atomowego grzyba, a drugie na słupie skamieniałej w bezruchu lawy tryskającej z krateru Wezuwiusza. W chaosie różnych odcieni purpury, w zastygłych kłębach magmy, które podpierają niebo przed wylotem tamtej gigantycznej bramy, nie ma już niczego, co przypominałoby krajobraz ziemski. Szklane wody zatoki przelewają się do przepaści krateru.

Po zmianie kierunku toru nie wyglądam przez okna wagonu, poza którymi roztacza się drugi plan tej upiornej, trójwymiarowej wizji. Nie chciałbym, aby Lucia zauważyła na mojej twarzy jakiś cień strachu lub zadumy nad losem ginącego tam, tak wiernie skopiowanego, ale przecież fikcyjnego miasta. Po kilkunastu minutach dalszej jazdy przerywanej krótkimi postojami w małych osiedlach podmiejskich pociąg zatrzymuje się na stacji w Torre Annunziata.

Od epicentrum dzieli nas odległość kilkunastu kilometrów. Przez kilka minut stoimy pod czerwonym sygnałem. Jest jakaś przerwa w kolejowym ruchu. Korzystając z niej, przechodzimy z Lucią na początek pociągu, aby zobaczyć, co tam się dzieje. W głębi sąsiedniej ulicy widzę sznur zatrzymanych samochodów i grupy policjantów. Na peronie stacji dostrzegam oddziały karabinierów. Jedni chodzą przed wyjściami, inni kręcą się we wnętrzu pociągu stojącego na sąsiednich szynach. Tamten pociąg do Torre Annunziata przyjechał z Neapolu.

Oddycham z ulgą. Wszystko jest w porządku — myślę. Przez taki kordon nikt nie zdoła wywieźć bomby z miasta, a tam znów — gdzie zgromadzono już wszystkich członków ekstremistycznej organizacji Penne Nere — terroryści nie mogą jej odpalić. Więc tędy — przez Torre Annunziata — przebiega pierścień ścisłej kontroli, którym władze otoczyły Neapol. Przeważnie karabinierów pochwalam z dwu powodów: najpierw dlatego, że w obrębie opasanej strefy znalazło się nie tylko centrum miasta, ale też i jego osiedla satelitarne, po wtóre zaś z tego powodu, że rewidowane są również samochody osobowe i pociągi pasażerskie, chociaż bomba termojądrowa nie należy przecież do ładunków, które można by zapakować do podręcznej walizki.

Naszego pociągu nie kontrolują. Stoję w przejściu, na początku pierwszego wagonu, tuż za szybą drzwi, które oddzielają mnie od przedziału motorniczego. Z tego miejsca najlepiej widać wszystko, co znajduje się przed pociągiem. Lucia siedzi na ławce w głębi wagonu — kilkanaście metrów poza mną. Sytuacja ta na zawsze utrwala się w mojej pamięci.

Ruszamy. Po kilku sekundach odczuwam uderzenie w czoło i silne parcie niewidzialnej płaszczyzny, która pcha mnie w kierunku przeciwnym do ruchu pociągu. Chociaż już dawno zapomniałem o jej istnieniu, natychmiast domyślam się, że jest to rama ekranu. Dlaczego pojawiła się akurat tutaj? Cofając się przed nią, szarpnięciem za uchwyt wiszący nad otwartymi drzwiami. Ruch ten ratuje mi życie. Zrywam plombę, potykam się i upadam. Słyszę pisk hamulców. Przezroczyta ściana pcha mnie dalej, aż do miejsca, gdzie siedzi Lucia. Pociąg zatrzymuje się w tej właśnie chwili.

Jestem potłuczony i całkowicie zdezorientowany. Lucia całuje mnie i podnosi z podłogi. Ma bardzo wystraszoną minę. Z przedziału

motorniczego wyskakuje kierownik pociągu. Pyta, co się stało. Z drugiej strony podbiega konduktor. Nie potrafię powiedzieć im nic sensownego.

Wokół nas gromadzą się zaciekawieni pasażerowie. Wyciągam pieniądze i chcę zapłacić karę za nieuzasadnione użycie hamulca. Wprawdzie konduktor znajduje się obok, ale stoi poza ścianą ekranu. Odsuwam się od niej i — aby wręczyć mu banknot — czekam, aż jego widmo przejdzie na moją stronę.

Podchodzą dwaj karabinierzy. Mam rozbity łuk brwiowy. Czuję krew na twarzy. Lucia płacze. W zamieszaniu nie wiem, co robić. Chcę jechać dalej. Na szczęście, kierownik pociągu nie pozwala mi zostać w wagonie. Twierdzi, że jestem pijany. Konduktor też nie ma zamiaru bawić się ze mną w chowanego. Wyrwa — mi z ręki banknot i wyrzuca nas z przedziału.

Wychodzimy na peron. Pociąg odjeżdża. Zbliżam się do końca stacji. W poszukiwaniu nieprzenikalnej granicy bloku stereonów oddalam się coraz bardziej od Lucii, która idzie do kiosku po opatrunek, ale po drodze nie odczuwam żadnego oporu. Widocznie rama ekranu przesunęła się nieco w stronę Neapolu. Wracam. Jestem zakrwawiony. Lucia wyciera mi twarz serwetkami. Tłumaczę jej, że za hamulec chwyciłem dlatego, aby nie upaść, kiedy potknąłem się na pomoście. Karabinierzy radzą mi udać się do dworcowego ambulatorium.

Wszystko to jednak nie ma większego znaczenia, ponieważ istnieje tu sprawa ważniejsza: gdzieś poza mną — w odległości co najmniej stu metrów (taka jest szerokość naszej trójwymiarowej „klatki”), lecz nie dalej, niż wynosi długość przekątnej ekranu — znajduje się drugi żywy człowiek. Myślę o nim z pewnym zmieszaniem i wiem, że w tej chwili on również o mnie myśli. Czy to jest Ibrahim?

Nie. Dostrzegam go wreszcie. Idzie powoli z drugiego końca peronu. Patrzy w moim kierunku. Chociaż spotykamy się po raz pierwszy w życiu, obaj wiemy dobrze, co nas tutaj łączy. Mężczyzna widzi krew na mojej twarzy i stąd wie, kto zatrzymał pociąg. Ja też rozpoznaję go bez trudu: Jego twarz i jasny garnitur pokrywa gruba warstwa kurzu. Jest podrapany i brudny. Wygląda tak, jakby upadł na ziemię i był po niej wleczony przez przeciwległą ścianę ekranu, którą ciągnął za sobą pociąg.

Człowiek podchodzi do nas.

— Serdecznie pana przepraszam — mówi. — Bardzo został pan

poturbowany?

— Mogło być gorzej.

— Nie przewidziałem takiej sytuacji. Zanzara dzwonił, że pan jest w Sorrento.

— Byłem tam przez kilka dni. Teraz wybieramy się do Neapolu. A pan...

Nieznajomy chwieje się na nogach. Podprowadzamy go do ławki. Siada. Podnosi do twarzy zakrwawione ręce.

— Niech pan sięgnie do tej kieszeni — mówi. — Zanzara podyktował mi przez telefon wszystkie wolne numery. Zanotowałem je na marginesie gazety. Jest tutaj.

Wskazuje brodą klapę swej podartej marynarki. Wsuwam rękę do kieszeni na jego piersiach. Jest pusta.

— Tu nic nie ma — mówię.

— Nie ma tej gazety?

— Nie. A co pan na niej zapisał?

Mężczyzna wkłada do kieszeni skaleczoną rękę. Jest zaskoczony. Zastanawia się przez chwilę.

— Ofiara ze mnie! — Zirytowanym gestem uderza się dłonią w czoło. — Została w Pompei! To wszystko przez to cholerne, nieskazitelne białe ubranie! — Patrzy na swoje letnie wdzianko, które teraz jest w opłakanym stanie. — Usiadłem tam na tej gazecie, żeby nie pobrudzić spodni, a kiedy wstałem, zapomniałem o niej. Zna pan teren wykopalisk muzeum pompejańskiego? Odpoczywałem pod jednym z czterech miniaturowych młynów. Gazeta leży na kamiennej podstawie żarna, tuż obok ruin piekarni...

— Co pan na niej zapisał?

— Numery nie zablokowanych kanałów. Zanzara polecił mi je wam przekazać. Tylko w tych kanałach...

Mężczyzna blednie. Domyślam się, że dopiero teraz zaczyna odczuwać skutki wypadku. Chwieje się na ławce. Usiłuję go podtrzymać, ale jego bezwładne ciało wysuwa mi się z rąk i upada na peron.

— Dzwon po pogotowie! — wołam do Lucii. — Klękam nad tajemniczym człowiekiem. — Skąd pan tutaj przybył?

— Z osiemnastego kanału.

— Kto to jest Zanzara?

Patrzy na mnie nieprzytomnie. Po kilku minutach otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć. Pochyliam się nad nim. Słyszę tylko jedno słowo:

— Blokada...

— Nie rozumiem, o jakiej blokadzie pan mówi. Czy na gazecie zanotowane są numery stereonów?

Ranny zamyka oczy. Przybywa ekipa pogotowia ratunkowego. W tym samym momencie na ścianach pojawiają się głębokie rysy. Kontury peronów drżą jak struny pod niemożliwym do wytrzymania napięciem.

I nagle otacza mnie zupełny chaos. Wszystkie mury, które należą do czasu katastrofy, w jednej chwili walą się w gruzy. Dach stacji upada na peron. Wirujące w przestrzeni samochody, poskręcane w pałaki szyny, cegły, betonowe bloki i stalowe konstrukcje jak pociski armatnie przenikają nasze ciała. Przez kilka sekund słyszę ryk huraganu zmiatającego domy z powierzchni ziemi. Jednak widmo zagłady raz jeszcze nieruchomieje w kolejnej fazie zniszczenia: obraz rozrywanych murów — przenikający zwyczajną rzeczywistość miasta — zastyga w doskonałym bezruchu. Ściany i kolumny, miażdżone ciosem fali nadciśnienia, kamienieją w drodze upadku na ziemię; zarysy rozdartych cyklonem konstrukcji wiszą w przestrzeni zajętej przez ich nieuszkodzone odpowiedniki z czasu poprzedzającego trzęsienie ziemi. Tej podwójnej wizji towarzyszy dzwoniąca cisza, w której lekarz pogotowia ratunkowego informuje mnie, że mężczyzna w białym ubraniu nie żyje.

Wychodzę z Lucią na ulicę. Wsiadamy do taksówki i jedziemy do Pompei. Samochód przeszywa asfaltowe garby spiętrzone na drodze w miejscach, gdzie nastąpiło przemieszczenie mas skalnych na skutek wzmożonej aktywności wulkanu.

Również obraz ruin starożytnego miasta oglądam w dwóch zupełnie innych wersjach. Na terenie pompejańskiego muzeum nie ma żadnej wycieczki. W samoobsługowym barze zbudowanym dla turystów siedzi kilka osób. Pytamy o młyny. Podobno ruiny piekarni są gdzieś niedaleko. Przechodzimy przez Foro. Otaczający mnie widok przypomina trójwymiarowe zdjęcie zbudowanego z piasku Osiedla zrobione w chwili, gdy z morskiej plaży zmywa je wysoka fala.

Rzeczywista Pompeja była trzydziestotysięcznym miastem

parterowych domów, których dachy załamały się pod ciężarem grubej warstwy żużlu i lawy w czasie słynnego wybuchu Wezuwiusza. Tamta katastrofa nastąpiła w 79 roku naszej ery. Warstwa gorącego popiołu o wysokości pięciu metrów pogrzebała wielu mieszkańców utrwalając zarysy ich ciał w postaci pustych jam we wnętrzu zastygłej lawy oraz konserwując niezburzone wybuchem zewnętrzne mury domów i działowe ściany. Mało jest na świecie takich, nie tratowanych przez tłum miejsc jak Pompeja, gdzie człowiek — z dala od stada turystów pędzonych w muzeach między oszklonymi gablotami — może podnieść z porzuconego gdzieś stosu zwyczajną dachówkę i pod otwartym niebem w ciszy ruin jakiegoś pokoju zadumać, się nad zagadką niezwyklego kontaktu, jaki łączy go ze starożytnym dekarzem, który ten sam kawałek wypalanej gliny miał tu w ręku kiedyś lub trzyma go tam teraz — słowem zastanowić się nad tajemnicą czasu.

Wchodzimy do mieszkań, zwiedzamy winiarnie i małe pałace. W pobliżu nas nikogo nie ma. Lucia patrzy na freski, zagląda do amfor, gładzi dłońmi ocalałe kolumny. Jest zamyślona i spokojna. Nie widzi wokół nas drugiego obrazu Pompei, zalanego morzem rozpalonej magmy, w której to miasto — zbudowane niegdyś pod wulkanem, pogrzebane i odkopane — po dwóch tysiącach lat znów zastyga i ginie już na zawsze.

Wchodzimy na dziedziniec piekarni. Pod ścianą chlebowego pieca zbudowanego z płaskich czerwonych cegieł stoją w rzędzie cztery kamienne żarna, ze względu na swe znaczne rozmiary nazywane też młynami. Gazeta leży na postumencie ostatniego żarna. Na jednym z jej marginesów znajduję szereg dwucyfrowych liczb: 12-15-17-28-51-78-86. Nic mi one nie mówią. Pamiętam tylko, że są to numery nie zablokowanych kanałów. Taką wiadomość przekazał mi umierający człowiek, nie wiem jednak, jaki użytek zrobić z tej niejasnej informacji.

Przy młynach siedzimy przez dłuższy czas. Lucii podoba się to miejsce. Chciałaby też zwiedzić Neapol. Oboje jesteśmy bardzo głodni. Wracamy. W drodze do turystycznego baru raz jeszcze przechodzimy przez rynek Pompei nazywany Foro. Pośrodku placu odwracamy się, by po raz ostatni spojrzeć na ruiny miasta. Lucia widzi różowe mury i białe kolumny, a ja słup rozpalonej lawy podpierający czarne niebo ponad kraterem Wezuwiusza. Przytuleni do siebie i zapatrzeni w dal

wycofujemy się powoli z rynku. Mam w oczach miraż obu splecionych w przestrzeni stereonów.

I nagle wszystko to przestaje istnieć. Znika atomowy grzyb, ziejąca ogniem góra, wysoka fala, czerwień i czerń, starożytny świat i widmo termojądrowej zagłady, które przenikało go przez kilkadziesiąt pełnych grozy sekund czasu teraźniejszego.

Czas dokonany

Otoczył nas zupełnie inny świat. Czarne niebo rozjaśniło się w jednej chwili i chociaż pokryły je skłębione obłoki, słoneczne światło rozproszone nimi kontrastowało silnie z ciemnością tamtej, wywołanej atomowym błyskiem nocy. Był zwyczajny pochmurny dzień. Czułem się tak, jakbym zdjął z oczu bardzo ciemne okulary. Widziałem normalnie i po chwili spostrzegłem, że jesteśmy w Rzymie.

Staliśmy na Piazza Venezia pod Monumento a Vittorio Emanuele II. Gmach był biały. Jego sylwetki — ostro zarysowanej w przestrzeni — nie przenikał żaden obcy miraż. Przez skrzyżowanie ulic przejeżdżały samochody. Przechodnie nie zwracali na nas uwagi. Wprawdzie domy i ludzie wyglądali zwyczajnie, lecz trudno mi było oswoić się z tak nagłą zmianą sytuacji. Lucia również miała zaskoczoną minę. Jednak prędkiej odzyskała równowagę.

Poszliśmy prawym chodnikiem Via del Fori Imperiali w kierunku Colosseo. Po drodze nie byłem w stanie oglądać ruin Foro Romano. Myśli zajmowała mi tajemnica powtórnej raptownej zmiany obrazu całego naszego otoczenia.

Na placu przy Koloseum lunął gwałtowny deszcz. Cofając się przed nim pod ścianę ruin amfiteatru, zobaczyłem poza sobą długi szereg ponumerowanych figur geometrycznych. Ledwie go było widać na tle jezdni. Szereg ten przesuwiał się wolno w przestrzeni tuż ponad mokrym asfaltem. W jego skład wchodziło kilkadziesiąt kół i kwadratów oraz kilka trójkątów. Koła miały średnicę około jednego metra, a pozostałe pola dorównywały im wielkością. Wszystkich figur było dziewięćdziesiąt. Na każdej z nich majaczył duży numer. Staliśmy w pobliżu numeru czterdziestego piątego.

Kiedy to spostrzegłem, natychmiast przypomniałem sobie, że taki sam (lub może dokładnie ten sam) rząd liczb otoczonych barwnymi polami widziałem już raz poza krawędzią bloku stereonów, gdy po samobójstwie Nuzana i mojej pozornej śmierci wylądowaliśmy na Dachy Świata. Wówczas stanęliśmy na polu siedemdziesiątym ósmym, i taki właśnie był numer stereonu, w którym razem z Ibrahimem spędziłem

nierzeczywistą podróż z Londynu na Capri zakończoną trzydniowym pobytem na tej pięknej wyspie.

Teraz — patrząc na przezroczyste numery z wnętrza bloku stereonów — odniosłem wrażenie, że to nie one oddalają się od nas, lecz my od nich razem z całym naszym otoczeniem, które porusza się we wnętrzu prostopadłościennej klatki. Chciałem wejść z Lucią na siedemdziesiąty ósmy numer, by w taki prosty sposób powrócić na Capri. Lecz zanim do niego dobiegliśmy, rząd cyfr przesunął się w głąb Koloseum. Powrócił na stare miejsce dopiero po kilku minutach, gdy przez ten czas patrzyliśmy w kierunku przeciwnym.

Pod amfiteatrem ponumerowane pola były nieosiągalne: zagłębiały się w jego murach, ledwie na nie spojrzełem. Wkrótce znowu zmieniły swoje położenie. Kiedy obserwowałem wejście do stacji metra, powędrowały w tamtą stronę. Biegając po placu w strumieniach deszczu, próbowaliśmy je dogonić. Wreszcie zbliżyliśmy się do nich tyłem. Manewr ten pozwolił nam stanąć na wybranym numerze. Tak jak oczekiwałem, po kilku sekundach otoczył nas krajobraz Capri.

Przy okazji odkryłem ogólną zasadę ruchu wnętrza ekranu względem jego ram spoczywających na kinopłanie Dachy Świata. Reguła była prosta: Jeżeli obserwator spoczywał względem swego stałego otoczenia, całe wnętrze — jak pływająca wyspa — dryfowało powoli razem z nim w stronę okolicy tej ściany ekranu, która w danej chwili znajdowała się dokładnie poza jego głową. Dzięki tej stałej tendencji, widz mógł mieć przed oczami większą część obrazu wypełniającego ekran.

Natomiast w sytuacji, gdy człowiek poruszał się względem widma ziemi (zwłaszcza, kiedy leciał samolotem lub jechał pociągiem), ruchy jego głowy oraz zmiany linii spojrzenia nie miały żadnego wpływu na kierunek ruchu krajobrazu względem kinoplanu, w takim bowiem przypadku w bloku stereonów wszystko działało się podobnie, jak na ekranie zwykłego telewizora: jadący samochód spoczywał względem ram, zaś powierzchnia szosy przemykała pod jego obracającymi się w miejscu kołami. Podobieństwo to byłoby jeszcze większe, gdyby przełączniki kontaktowe przenieść z marginesu obudowy telewizora pod szybę lampy kineskopowej i zainstalować je w szeregu we wnętrzu ekranu tuż przy jego krawędzi. W obu urządzeniach przełączniki

kontaktowe działały na tej samej zasadzie: w zwyczajnym telewizorze zmianę programu wywoływało dotknięcie palca, tutaj zaś — w bloku dziewięćdziesięciu trójwymiarowych filmów, które przenikały się wzajemnie w jednym prostopadłościanie — aby zmienić kanał, trzeba było stanąć na wybranym numerze.

Dlaczego Ibrahim nic mi nie powiedział o możliwości korzystania z przełączników kontaktowych? Prowadzone samodzielnie rozważania na ich temat razem ze wspomnieniem trzech postaci, które w tajemniczy sposób znikły pośrodku ulicy w Sorrento, doprowadziły mnie do wniosku, że jedna z poznanych w tamtym mieście osób jest żywym człowiekiem. Przecież widmo nie mogłoby uruchomić przełącznika! O podwójną grę podejrzewałem hipnotyzera.

Dziewczyna z wyspy

Całe niebo nad Capri było błękitne. Pojawiliśmy się tam przed oszkloną ścianą Głosu Ciszy, a raczej — zgodnie z prawdą — należałoby powiedzieć: ona pojawiła się przy nas. W każdym razie w miejscu wejścia do stacji rzymskiej metropolitalny ukazały się drzwi prowadzące do hotelowego hallu. Tutaj pola kontaktowe były prawie niewidoczne: majaczyły na tle asfaltowej jezdni jak odbicia płyt chodnika w szybie sklepowej wystawy. Jednak ktoś, kto wiedział o ich istnieniu, mógł je mimo wszystko dostrzec. Fakt ten miał dla nas wielkie znaczenie, gdyż w razie rzeczywistego zagrożenia ze strony eksplozji w Neapolu moglibyśmy szybko przenieść się do innego stereonu.

Pojechaliśmy na dwudzieste piętro wieżowca, skąd chciałem spojrzeć w kierunku Zatoki Neapolitańskiej. Niebo nad północnym horyzontem było równie pogodne jak gdzie indziej.

Mój zegarek wskazywał godzinę drugą. Byliśmy przemoczeni i głodni. Prosto z dachu zjechaliśmy na parter do hotelowej restauracji. Lucia odzyskała już pamięć dni spędzonych na wyspie i przypomniała sobie, że mieszka w Głosie Ciszy. Rozmowy na ten temat nie podtrzymywałem, ponieważ pełne wyjaśnienie naszej sytuacji mogłoby też ujawnić pozostałą część prawdy: fakt, że dotąd Lucia była pod wpływem sugestii tajemniczego hipnotyzera.

Po obiedzie jeszcze kilkakrotnie skorzystaliśmy z windy. Najpierw pojechaliśmy do pokoju 1205, skąd Lucia wzięło swój kostium, a potem na szesnaste piętro — po moje kąpielówki. Drzwi pokoju 1628 były zamknięte. Zjechaliśmy razem po klucz do portierni, gdzie agent TZ poinformował mnie, że mój przyjaciel jest w hotelu za basenami i pije tam wódkę w damskim towarzystwie. Ibrahim nie planował żadnej wycieczki. Wiadomość ta bardzo mnie uspokoiła: po przeżyciach ostatnich dni chciałem wreszcie odpocząć, w czym mogłoby mi przeszkodzić kolejne uderzenie ściany ekranu.

Wróciliśmy na górę do pokoju, który zajmowałem z Ibrahimem. Na stole stała butelka wódki. Wypiliśmy po kieliszku. Lucia pobiegła do swego pokoju po grzałkę do wody. Wykąpałem się w wannie i ogoliłem

brodę. Kiedy opuściłem łazienkę, Lucia również weszła do wanny.

Czekając na nią zaparzyłem kawę. Nasze ubrania powiesiłem na balkonie. Czułem się dobrze. Paliłem papierosa i patrzyłem na zalany słońcem pokój. Raz jeszcze zastanawiałem się, w jaki sposób ten fikcyjny świat, któremu fabryka snów nadała postać trójwymiarowego filmu, może tak wiernie naśladować prawdziwe otoczenie człowieka, dając mu pełne złudzenie we wszystkich szczegółach stworzonej tu rzeczywistości. Stereoskopowy obraz miał walory materialnej doskonałości: był ostry, jasny, kolorowy i piękny. Porównywałem go w myśli z mirażem tamtej katastrofy. Czym ona była? Ostrzeżeniem? Przepowiednią? Co robiliśmy w innym stereonie, gdyby mimo wszystko doszło do eksplozji i gdyby niesiona termojądrowym podmuchem fala dotarła również do brzegów Capri?

Nie wierzyłem w moc przeznaczenia i dlatego powróciłem na wyspę: tylko tutaj, gdzie przebywały terrorystki, w czasie pozostałych dwóch dni mogłem w końcu dotrzeć do prawdy, i nic mi tu właściwie nie brakowało do szczęścia prócz pewności, jak należy dalej postępować, by rozwikłać wreszcie tę skomplikowaną zagadkę. Zanim Lucia weszła do pokoju, zadzwoniłem do Melfeiego. Uspokoił mnie i obiecał, że za dwie godziny przyjdzie na basen.

Lucia miała mokre włosy. Założyła już na siebie kąpielowy kostium. Była bardzo zgrabna. W świetle dnia wyglądała inaczej niż w Sorrento.

— Pamiętasz, gdzie zobaczyliśmy się po raz pierwszy? — spytałem.

Nie wahała się ani sekundy.

— W wagonie kolejki do Marina Grande.

— Patrzyłaś tam na mnie.

Uśmiechnęła się i podała mi kawę. Zapaliła papierosa. Postawiłem szklanekę na szafce.

— A ta starsza pani, która wtedy jechała z tobą...

— To moja matka.

— Więc przyjechałaś tu z matką?

— Nie.

— Ona przyjechała do ciebie?

— Nie, Antonio. My mieszkamy na Capri.

— Jak to? Mieszkasz z rodziną na tej wyspie?

Skinęła głową.

— Gdzie?

— Tam. — Wyprowadziła mnie z balkonu i wskazała grupę małych domów na zboczu wzniesienia. — Widzisz tamten różowy dach na tle białej ściany?

Domek stał w odległości kilkuset metrów od naszego hotelu. Byłem zaskoczony.

— Od dawna tam mieszkasz?

— Od dwudziestu lat. Urodziłam się w tamtym domku. Ojciec zbudował go w czasie, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie. Rodzice również spędzili tu całe życie.

— Ciekawe. Myślałem, że jesteś turystką. Ale jeżeli masz na Capri rodzinę i mieszkanie, to dlaczego płacisz za pokój w tym hotelu?

— Ponieważ już dłużej nie mogłam mieszkać z matką pod jednym dachem.

— Nie lubisz jej?

— Wolałabym o tym nie mówić.

— Jeżeli nie chcesz.

Staliśmy na balkonie. Wróciłem do pokoju i napełniłem dwa kieliszki. Od początku naszej rozmowy zauważyłem, że Lucia mówi o sobie niechętnie. Wyciągałem z niej słowo po słowie. To nie miało sensu.

Usiadłem na łóżku. Wypiłem wódkę i zapatrzyłem się w podłogę. Pewnie miałem urażoną minę. Po dłuższym milczeniu Lucia uklękała na dywanie i zajrzała mi w oczy.

— Gniewasz się na mnie?

— Wolałbym o tym nie mówić.

— I nie musisz. Posłuchaj. — Sięgnęła po kawę. Pijąc, zadzwoniła zębami o brzeg szklanki. — Ale nie powiesz tego nikomu?

Pod naciskiem jej wzroku opuściłem oczy.

— Przysięgam.

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

— Dlaczego uciekaś z domu?

— Ja nie mam trzynastu lat, żebym musiała uciekać. Po prostu włożyłam kilka drobiazgów do walizki i przeniosłam się tutaj. Zrobiłam pierwszy samodzielny krok. Teraz zbieram siły przed długą podróżą.

— Dokąd chcesz jechać?

— Na kontynent. Muszę tam popłynąć, bo w ostatnich dniach

atmosfera w moim domu stała się nieznośna. Matka wciąż ma jakieś przywidzenia. Boi się morza. Od dziecka wychowywała mnie w strachu przed nim. Już dawno przenieśliśmy się na kontynent, gdyby matka zdołała opanować lęk przed morską podróżą. Nie potrafimy jej skłonić do wejścia na statek. Kiedy zbliży się do brzegu, zaraz wyobraża sobie katastrofę. Boi się również o mnie i dlatego przez całe życie ani razu nie pozwoliła mi wypłynąć na morze. Trudno w to uwierzyć, ale przez dwadzieścia lat nie widziałam niczego poza skrawkiem ziemi na tej wyspie. Do wczorajszego dnia... — Umilkła. — Nie wiem w końcu, kiedy to było. W każdym razie do czasu, gdy pojechałam z tobą do Rzymu, nie byłam jeszcze w Pompei ani nawet w Sorrento. Matka bardzo mnie kocha. Jednak pod wpływem jej chorej wyobraźni dawno już straciłam pewność siebie. Nabiła mi głowę swoimi urojeniami. Doprowadziła do tego, że w końcu ja również zaczynam mieć podobne halucynacje. Wkrótce po tym, gdy przeniosłam się do hotelu, na własne oczy zobaczyłam coś, o czym ona wiele razy mi opowiadała.

— W windzie?

— Skąd wiesz?

— Jechałam wtedy z tobą.

— Ciebie nie pamiętam. W tamtej chwili byłam tak przerażona, że nie widziałam niczego poza tym jednym koszmarem.

— Co to było?

— Olbrzymia fala.

— Widziałaś ją przez ściany kabiny?

— Ależ ja nie widziałam żadnej kabiny! Miałam wrażenie, że wiszę w przestrzeni i że tuż przede mną wznosi się wysoka jak góra ściana wody, której nic już nie powstrzyma przed upadkiem na moją głowę.

Wypiłem wódkę z kieliszka Lucii. Musiałem milczeć, gdyż moje wyjaśnienia zaostrzyłyby tylko jej strach i niepewność jutra.

— Wspomnienie tej fali męczy mnie na jawie i we śnie — powiedziała.

— Zajmujesz tu pokój jednoosobowy?

— Nie. Mieszkam z drugą dziewczyną. Ma na imię Catarina.

— Kto to jest?

— Prawie jej nie znam. Przyjechała z Rzymu. W recepcji skierowali nas do jednego pokoju, ponieważ hotel jest przepiękny.

— Miałaś jeszcze jakieś inne przywidzenia?
— Nie. Ale w czasie kilku ostatnich dni już trzy razy miałam takie luki w pamięci, jakie pijani nazywają przerwami w życiorysie.
— Na pewno byłaś trzeźwa?
— Przecież wiesz...
— Jak to wyglądało?
— Pierwszy raz na rynku w Capri.
— Przed restauracją Campanile, kiedy mnie tam zobaczyłaś i wybiegłaś na spotkanie?
— Ty tam też wtedy byłeś?
— Nie zauważyłaś mnie?
— Nie.
— Więc gdzie tak biegłaś?
— Do Alberta, czteroletniego synka mojej siostry. Nie widziałam go od kilku dni. Ten malec jest moim ulubieńcem. Właśnie wyszedł z siostrą na spacer. Dostrzegłam go...
— I co się stało?
— Straciłam pamięć.
— W momencie gdy biegłaś do tego malca?
— Tak.
— A kiedy odzyskałaś przytomność?
— Dopiero w ogrodzie pod domem Sofii. Dowiedziałam się tam, że jestem w Sorrento.

Siedziała przede mną na dywanie. W jej opowiadaniu nie wszystko było zgodne z prawdą. Rozumiałem, dlaczego nie wiedziała, w jaki sposób przenieśliśmy się z Capri do Sorrento. Do czasu odkrycia przełączników kontaktowych ja też nie podejrzewałem, że taka błyskawiczna podróż jest tutaj możliwa. Ale dlaczego nie wspomniała o naszym spotkaniu na skarpie, które nastąpiło wkrótce po zmianie kanału — tuż przed atomowym błyskiem? Podbiegła wtedy do mnie i wypowiedziała te trzy magiczne słowa: „Bomba wybuchnie w Neapolu”.

— Lucia. — Otoczyłem jej twarz dłońmi. — Spróbuj przypomnieć sobie dokładnie, gdzie i kiedy zobaczyłaś mnie po raz pierwszy w Sorrento.

— W domu Sofii, kiedy jej ojciec odpowiadał na pytania dziennikarzy. Pamiętasz? Wszedłeś wtedy do pokoju i usiadłeś przy

mnie.

— A wcześniej? Nie pamiętasz naszego spotkania nad morzem? Czekałem na ciebie przy krawędzi urwiska. Kiedy podeszłaś do mnie, zrobiło się nagle tak jasno, jakby w nocy zaświeciło słońce.

— Tego nie pamiętam. Zdaje mi się, że nigdy nie byłam na brzegu w Sorrento. Również nie przypominam sobie naszej podróży z Pompei do Rzymu ani z Rzymu na Capri. Drogę do Neapolu pamiętam dokładnie. Ale potem znowu miałam dwie wielogodzinne luki w pamięci. Utraciłam przytomność na rynku w Pompei i odzyskałam ją na Piazza Venezia w Rzymie. Tam jeszcze raz miałam wrażenie, że w jednej chwili przenoszę się do miejsca odległego o kilkaset kilometrów: jakbym zasnęła przy Koloseum i obudziła się pod naszym hotelem na Capri. Nie mogę przypomnieć sobie żadnego szczegółu z tamtej podróży. Nie wiem nawet, czym jechaliśmy: pociągiem czy autobusem. A statek? Jak mogłam go zapomnieć? Przecież od czasu, gdy zobaczyłam tę ogromną falę...

Nie pozwoliłem jej skończyć tego zdania. Bez słowa pochwyciłem ją za rękę i przyciągnąłem do siebie. Zamknąłem jej usta długim pocałunkiem. Nie miałem ochoty myśleć dłużej o taktyce fabryki snów i przejmować się losem widma zagubionego w siedemdziesiątym ósmym stereonie. Chciałem przeżywać tutaj tylko przyjemne złudzenia. Zresztą Lucia chyba też — przynajmniej w czasie godziny — wolała nie pamiętać o tym, że z naszej podróży do Rzymu tak wiele zapomniała.

Na basen zjechaliśmy o czwartej. Nadal było gorąco i pogodnie. Ponieważ o tej porze Księżycowy Kwiat (bliźniaczy hotel stojący naprzeciwko Głosu Ciszy) rzucał długi cień w poprzek zespołu basenów, przenieśliśmy leżaki na trawę, gdzie świeciło słońce. Woda była chłodna, co w zestawieniu z upalnym powietrzem bardzo mi odpowiadało. Pływałem przez dłuższy czas, nurkowałem do dna, wychodziłem na brzeg i znów skakałem z trampoliny. Wreszcie mogłem zapomnieć o tych wszystkich problemach, które nurtowały mnie tutaj przez wiele niezwykłych dni. W wodzie Lucia uśmiechnęła się kilka razy. Pływała obok mnie, jednak aby nie zmoczyć włosów, zeszła do basenu po drabince.

Po kąpeli opalaliśmy się na leżakach. Lucia jeszcze raz wróciła myślami do Sorrento. Powiedziała mi, że czuła się tam tak, jakby przed przybyciem do domu Sofii zawarła ślub. Pod wrażeniem tego ślubu

pozostawała przez wiele godzin. Towarzyszyło jej ono w drodze do Pompei (którą pamięta z najdrobniejszymi szczegółami) i opuściło ją ostatecznie dopiero po przybyciu na wyspę przed wejściem do Głosu Cisy. Nie przeżyła jeszcze nigdy równie sugestywnego złudzenia.

I choć wie, że to uczucie powstało w niej na skutek ogólnego kryzysu nerwowego, podobnie jak inne amnezje i przywidzenia, do których rozwoju w wielkim stopniu przyczyniła się jej biedna matka, a może też pod wpływem czegoś innego, o czym dziś wolałaby nie mówić, i chociaż teraz przytłacza ją smutek — tego jednego urojenia przynajmniej nie będzie żałowała do końca życia. Kiedy zapytałem, kto w tym śnie zdobył jej serce, odparła z bardzo poważną miną: „Wiesz przecież, kogo mam na myśli”.

W tej samej chwili zobaczyłem Melfeiego. Stał w ubraniu pod trampoliną i patrzył w naszym kierunku. Nie był sam: przyszedł z Paolą, wnuczką de Stiny. Przeprosiłem Lucię i podszedłem do niego. Paola została przy basenie, a my usiedliśmy na ławce pod ścianą hotelu, gdzie nikogo nie było.

— Gdzie pan tak się opalił? — spytał.

— W Sorrento. Udało mi się zmylić czujność waszych agentów i popłynąłem tam z Sofią. Dziewczynę tę podejrzewałem o działalność terrorystyczną.

— My też ją śledziliśmy. Od tygodnia figuruje na naszej liście. Jednak rzadko pojawia się na wyspie. Do hotelu przychodzi w towarzystwie swojego ojca. Ten facet ma złamany nos i podobno jest wybitnym psychologiem. Dzisiaj byli tu do południa. Mają domek w Sorrento. Sofia wynajmuje też pokój w Głosie Cisy. Interesuje się waszymi piosenkami. Wiele wiadomości na jej temat przekazał mi Nuzan, który flirtuje z Eleną, jej przyjaciółką. Obydwie dziewczyny zajmują pokój 1123. Dobrze się stało, że zawarliście tak bliską znajomość. Gratuluję i dziękuję. Poszedł pan za głosem intuicji?

— I nie zawiodłem się na niej! Po moim telefonie mieliście dość czasu na przeprowadzenie wszystkich operacji. W tej chwili od określonej w ultimatum Czarnych Piór „godziny zero” dzielą nas jeszcze dwie pełne doby. Mógłbym więc powiedzieć, że swoje zadanie wykonałem z wyprzedzeniem, które zagrożonemu miastu gwarantuje całkowite bezpieczeństwo.

— Raz jeszcze, w imieniu własnym i moich zwierzchników dziękuję za przekazaną nam niezwykle cenną wiadomość. Jesteśmy panu bardzo zobowiązani.

— Kiedy władze wprowadziły kontrolę dróg wokół Neapolu?

— Wczoraj, punktualnie o godzinie szesnastej. Pan zadzwonił do mnie o dwunastej trzydzięci. Wiadomość przekazałem natychmiast. O trzynastej zapadły wszystkie niezbędne decyzje i w czasie trzech godzin władze zrealizowały opracowany wcześniej manewr taktyczny pod kryptonimem „Koncentracja — Blokada — Ujawnienie”. Więźniowie, którzy przebywali w zakładach karnych bardziej odległych od zagrożonego miasta, zostali przewiezieni do Neapolu samolotami. O szesnastej nastąpił finał tej operacji. Wszystkich czterystu sześćdziesięciu ośmiu ekstremistów skazanych za terrorystyczną działalność w ramach nielegalnej organizacji Penne Nere podzielono na niewielkie grupy i pod czujną eskortą rozlokowano w oddziałach karabinierów rozproszonych na terenie całego Neapolu.

— Po tych słowach kamień spadł mi z serca. Odtąd będę spał spokojnie.

— Signor Antonio. Nie siedziałbym z rodziną na Capri, gdybym nie miał absolutnej pewności, że ze strony Neapolu nic nam nie zagraża. Tutaj jesteśmy teraz bardziej bezpieczni niż gdzie indziej. Niech pan zwróci uwagę na fakt, że koncentrację więźniów i blokadę dróg trzeba było przeprowadzić równocześnie. Przez mury zakładów karnych zawsze przenikają jakieś informacje. Więc gdyby więźniów skoncentrowano tam wcześniej — terroryści mogliby przewieźć bombę do innego miasta. Natomiast w przypadku gdyby najpierw zamknięto drogi — nasi bezwzględni przeciwnicy mieliby możliwość dokonania zamachu, zanim zdążylibyśmy sprowadzić tam więźniów. Odpowiedzialnością za katastrofę obarczyliby wojsko.

— A wiadomość o zgromadzeniu Czarnych Piór w Neapolu?

— Została rozpowszechniona przez prasę, radio i telewizję natychmiast po zakończeniu naszej akcji. Oczywiście, o bombie i zagrożeniu ze strony zamachowców nikt (poza nami i nimi) nic nie wie, zaś „zjazd ekstremistów” w Neapolu — oficjalnie — tłumaczy się koniecznością przeprowadzenia konfrontacji i powtórnych dochodzeń. Mniejsza o to, czy wszyscy uwierzą w tę wersję: zależy nam tylko na tym,

aby nie wywołać paniki. Tak czy inaczej Neapol jest zabezpieczony. Już trwają w nim poszukiwania bomby. Kontrolę samochodów na drogach wokół miasta i rewizje w jego centrum przeprowadzamy pod pozorem ścigania kilku ekstremistów zbiegłych w czasie transportu.

— Więc możemy wrócić do Londynu.

— Pan tak. Choćby dzisiaj. Ale Nuzan musi tu jeszcze pozostać.

— Nie rozumiem.

— Nie zwolnimy go do czasu potwierdzenia informacji uzyskanej przez pana.

— Chce pan, aby Elena powtórzyła mu to samo, co już raz powiedziała mi Sofia?

— To jest bezwarunkowo konieczne.

— Nie wierzycie mi?

Uśmiechnął się i położył rękę na moim ramieniu. Wyciągnął z kieszeni swoje Lordy.

— Signor Antonio. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby pan obraził się na mnie, jeden de Stina wie, jak wielką darzę pana sympatią. Ibrahima staram się zrozumieć. Do was obu mam pełne zaufanie, jednak pana lubię szczególnie, i wierzę w informację, którą wczoraj przekazał mi pan przez telefon. Inaczej nie rozpętałbym, tej całej awantury! Lecz tam, gdzie idzie o tak wysoką stawkę, moje osobiste zaufanie nie może odgrywać decydującej roli. Bezpieczeństwa pociągu nie powierza się jednemu człowiekowi. Kosmonauci latają parami. Zawsze ktoś dubluje kogoś. Człowiek jest omylny i dlatego świat stał się systemem wzajemnej asekuracji. Powiedziałem już, że teraz ze strony Neapolu nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Ale kto wie, w jakim mieście naprawdę ukryta jest ta bomba?

Basen opustoszał. Lucia z daleka skinęła do mnie ręką i weszła do wody. Melfei rozejrzała się wokoło.

— W jakich okolicznościach Sofia powierzyła panu tę tajemnicę? — spytał.

— Powiedziałem jej, że szesnastego lipca wybieram się do Neapolu. Ponieważ zakochała się we mnie, próbowała wybić mi z głowy ten pomysł i kiedy oświadczyłem, że wieczorem tego dnia bezwarunkowo będę musiał tam pojechać, gdyż podpisałem umowę i wystąpię na koncercie, od którego zależy dalsza moja kariera — wyznała mi całą

prawdę.

— Pięknie to pan wymyślił. Lepiej by jednak było, gdyby ta rozmowa odbyła się na Capri.

— Robi to panu różnicę, gdzie ją przeprowadziliśmy? Nie rozumiem waszych kalkulacji. Przecież Ibrahim jutro rano może znudzić się Eleną. Wtedy — dla świętego spokoju — wykręci numer telefonu Diamentowej Siedziby i raz jeszcze przekaże panu wiadomość, którą ja wczoraj wyciągnąłem od Sofii, choćby Elena niczego mu nie powiedziała. Mógłbym go do tego skłonić, bo mam całkowitą pewność, że bomba znajduje się w Neapolu, i znów wracamy do pytania, dlaczego pan mi nie wierzy. Zgoda. Niewyszkolonemu agentowi nie wolno powierzyć losu państwa. Więc z waszego punktu widzenia sprawa jest beznadziejna. Bo do kogo można mieć zaufanie w sytuacji, gdy od jednego słowa zależy wynik gry o tak wysoką stawkę?

— Do mikrofonów zainstalowanych w pokojach Głosu Ciszy.

— Do mikrofonów?

— Tak. Niech pan posłucha. Tylko wymiana zdań zarejestrowana na taśmie może nas ostatecznie przekonać, że rozmawialiście z autentycznymi ekstremistkami. Nie wystarczy nam odpowiedź na pytanie, gdzie oni ukryli tę bombę: słowo „Neapol” potrafi wymówić każda grzeczna dziewczynka. Musimy być świadkami waszej rozmowy, ponieważ o Czarnych Piórach wiemy coś, czego wam nie powiedzieliśmy, co wyjdzie na jaw w czasie dyskusji na temat terroryzmu i po czym nasze miłe panie rozpoznamy z łatwością.

Zastanawiałem się, czy przypadkiem Melfei nie podejrzewał mnie o przejście na stronę terrorystów.

— Więc nie możemy rozmawiać z nimi poza zasięgiem waszych mikrofonów?

— Rozmawiajcie sobie, gdzie wam się podoba. Ale w hotelu raz jeszcze musicie powrócić do tego tematu. Przy okazji chciałbym pana poinformować, że podsłuch zainstalowaliśmy również w waszym pokoju.

— Kiedy?

— Co pan tak się przestraszył? Przecież chodzi tu tylko o waszą wygodę. Nuzanowi z pewnością będzie skłonić pana do opuszczenia zajmowanego przez was pokoju, gdzie chciałby czasami poflirtować z Eleną, niż szukać schronienia w ich pokoju i prosić o to jej koleżankę.

— Oczywiście. Więc kiedy?

— W czasie pana nieobecności.

— W porządku. Pytałem dlatego, ponieważ każdy człowiek z wyjątkiem aktora, który z powołania musi być ekshibicjonistą, czuje się źle, gdzie jest obserwowany w intymnych sytuacjach.

Spojrzał w kierunku Lucii.

— Co powie zakochana Sofia, kiedy zobaczy pana w towarzystwie tamtej blondynki?

— Niech pan się o to nie martwi. Zrobiłem swoje i teraz reakcja Sofii nie może już zmienić dokonanych faktów. Siebie tylko narażam na dintojrę ze strony jej przyjaciół. Ale mniejsza o to. Proszę mi powiedzieć, jak postąpicie w przypadku, gdyby Ibrahim nie zdołał uzyskać potwierdzenia przekazanej wam informacji.

— Ma jeszcze czterdzieści sześć godzin.

— A jeśli nie zdąży?

Zapalił drugiego papierosa.

— Wówczas będziemy musieli wypuścić na wolność wszystkich ekstremistów. Zwolnimy ich na jedną godzinę przed upływem terminu ultimatum. Z akcją TZ wiązaliśmy wielkie nadzieje, ale w niepewnej sytuacji żaden polityk nie odważy się zaryzykować życia mieszkańców Mediolanu, Rzymu czy Palermo.

Wstał.

— Czas na mnie. Zostanie pan na Capri?

— Do samego końca.

— Oby ten koniec był dla nas pomyślny.

Pożegnał się i odszedł. Całą rozmowę przeprowadziliśmy w języku angielskim; zresztą ostrożność ta nie była konieczna, ponieważ w pobliżu nas nikt nie przechodził.

Przepłynąłem basen i wróciłem do Lucii. Poszliśmy do bistra na kolację. Nie spotkałem tam nikogo znajomego. Lucia opowiadała mi o swoim życiu na wyspie. Oczywiście, nie miała nic wspólnego z terroryzmem. W drodze na górę umówiliśmy się, że za godzinę przyjdę po nią i razem zjedziemy do podziemia Głosu Ciszy, gdzie znajdowała się dyskoteka. Otwierali ją o dwudziestej pierwszej.

Pojechałem na szesnaste piętro. Ibrahima nie było w pokoju. Przypomniałem sobie o mikrofonie. Szukając go we wszystkich

zakamarkach i kątach, zastanawiałem się, dlaczego Lucia nie pamięta naszych spotkań na rynku w Capri i nad brzegiem morza w Sorrento.

Drugie spotkanie nastąpiło w innym stereonie wkrótce po zmianie kanału. Wtajemniczony psychoanalityk powiedziałaby pewnie, że pocałunki Lucii w czasie obu tych spotkań są wymysłem mojej podświadomości. Do spotkania na rynku w Capri doszło następnego dnia po niefortunnych zalotach w windzie, gdy nie byłem pewien, jak Lucia zareaguje na mój widok, i równocześnie bardzo pragnąłem, aby przyjęła mnie życzliwie. Zależało mi na niej, toteż w chwili gdy z uśmiechem ruszyła w stronę kogoś stojącego gdzieś dalej, wyobraziłem sobie, że jestem celem jej radosnego biegu. Pewnie wcześniej cofnąłem się kilka kroków i w momencie, kiedy przebiegała obok, wszedłem na przełącznik kontaktowy.

W taki sposób oboje przenieśliśmy się nad brzeg morza w Sorrento, gdzie odczułem zagrożenie i natychmiast (pod wpływem podejrzenia, że na Capri Lucia spotkała się z innym mężczyzną) wyobraziłem sobie błysk i katastrofę, której obraz od kilku dni nosiłem w podświadomości.

Melfei nie musiał znać mechanizmu powstawania różnych urojeń. Może podejrzewał mnie o przejście na stronę zamachowców albo rzeczywiście wiedział o nich coś więcej, o czym nas nie poinformowano. Najprawdopodobniej nie był lekkomyślny i w tak poważnej sprawie, nie chciał polegać na niesprawdzonej wiadomości. W każdym razie jego ostrożność miała swoje uzasadnienie. Myśląc o tym wszystkim, straciłem pewność siebie.

Należało więc kontynuować poszukiwania ekstremistek. Ze wszystkich podejrzanych kobiet jedynie Lucię mogłem już wykluczyć z całą pewnością i dlatego musiałem z nią zerwać, ponieważ przeszkadzałyby mi w utrzymaniu innych znajomości. Nie mogłem jej przecież powiedzieć, kim naprawdę jestem i jaką misję wypełniam na Capri.

Przeszukałem cały pokój, ale nie znalazłem niczego, co przypominałoby aparat podsłuchowy. Agenci Melfeiego ukryli go bardzo starannie.

Wypiłem szklankę wódki i poszedłem do Lucii. Postanowiłem zlekceważyć naszą znajomość, tłumacząc sobie, że przy rozstaniu sterowane zdalnie widmo nie może doznać żadnej przykrości. Cała ta gra

polegała przecież na złudzeniu moich zmysłów. Trudno mówić o związku dwóch osób tam, gdzie istnieje jeden człowiek zapatrzony w trójwymiarową fotografię. Rozumiałem to dobrze, formalnie jednak do zerwania z Lucią brakowało mi jakiegoś pretekstu. Coś musiałem jej powiedzieć. Wprawdzie fabryce snów żaden pozór nie był tu potrzebny, ale komuś, kto decyduje się na rozstanie, choćby tylko miał zamiar zniszczyć własne złudzenie w postaci przechowywanego gdzieś w szufladzie zdjęcia, zawsze łatwiej jest potem żyć, jeśli to zdjęcie podrze pod przyzwoitym pretekstem.

Dla siebie pretekst miałem znakomity, lecz nie mogłem go przedstawić tej zastraszonej dziewczynie. Prawdziwym jednak powodem mej niechęci do podtrzymywania znajomości z Lucią wcale nie była troska o los zagrożonego katastrofą miasta (bo jakież Rzym czy Mediolan mógłby się pomieścić w tym pudle, poza którego ścianami nie było żadnej Italii): ona traktowała mnie poważnie, a ja szukałem tutaj przygody i rozrywki, chciałem tę fikcję przeżyć bez niemożliwych do spełnienia zobowiązań i bez urojonych zmartwień, jak czytelnik tuzinkową książkę — przekartkować ją i rzucić do kąta.

Kiedy wszedłem do pokoju Lucii, poczułem się niepewnie i rozmowę o naszym rozstaniu postanowiłem odłożyć na później. Czekając z dwiema szklankami kawy. Włożyła spodnie. Miała umalowane powieki i suszyła świeży lakier na paznokciach. Powitała mnie uśmiechem, lecz gdyby była smutna, również nie byłoby mi łatwiej odwołać wspólnej zabawy. Poszliśmy do windy.

W podziemiu Głosu Ciszy panował już piekielny hałas, który szydził sobie z nazwy hotelu i z przypadkowych gości, przez nieporozumienie przychodzących na dyskotekę po to, aby rozmawiać lub rozmyślać gdzieś w kącie nad kieliszkiem. W licznym towarzystwie bawiliśmy się do pierwszej w nocy. Spotkałem tam wszystkie poznane na wyspie dziewczyny: okupowaną przez Japończyka Franceskę i masywną Rosę, równie jak jej przyjaciółka wesołą, prawdziwą turystkę — Clare, Caterinę, która zajmowała pokój z Lucią, i nawet Sofię, gdy Elena o północy wyciągnęła ją z domu w Sorrento. Zamieniłem też kilka zdań z Marisą: nie miała do mnie żalu o to, że się przy niej rozebrałem. W tłoku potrafiłem hipnotyzera. Zapraszał nas wszystkich do swojej willi. Obiecałem, że wkrótce go odwiedzimy.

Ibrahim pojawił się dopiero po północy. Miał szklane oczy. Pocałował mnie na powitanie. W drodze do bufetu wysłuchałem jego relacji z najważniejszych wydarzeń, jakie zaszły na wyspie w czasie mojej nieobecności.

— Zaliczyłem już Clarę i Caterinę — powiedział. — Tej grubej Rosie też nie darowałem. Tylko z Eleną jeszcze się nie położyłem. A ty? Co zdziałałeś w Sorrento?

— Mnie się nie powiodło.

— Bo wciąż odkrywasz karty i nie umiesz rozegrać asów.

Zaraz wrócił do bliższej charakterystyki swoich wielbicielk. Słowo „bomba” dwukrotnie padło w jego krótkim raporcie: najpierw użył go w celu podkreślenia ciężaru Rosy, a potem przy opisie seksualnego doświadczenia Cateriny. Agent Melfeiego, przysłuchujący się naszej rozmowie, zrozumiał tylko to jedno słowo i po włosku zwrócił mi uwagę, aby Signor Nuzan w publicznym miejscu nie zdradzał tajemnicy państwowej.

Tańczyliśmy do pierwszej. Ibrahim nie chciał zejść z parkietu, kiedy przebrzmiał ostatni przebój. Po zamknięciu dyskoteki poszedł z Cateriną do innego lokalu.

Lucia miała zmęczone oczy. Odprowadziłem ją na dwunaste piętro i wróciłem do swojego pokoju. Nie zapaliłem światła. Na ściany padał blask z okien hotelu stojącego naprzeciwko. Usiadłem na łóżku i przez pół godziny wpatrywałem się w podłogę. Wreszcie pomyślałem o telefonie.

Wykręciłem numer pokoju Lucii.

— Spałaś? — spytałem.

— Nie, nie mogę zasnąć. Myślałam o tobie i o Rzymie. Chciałabym tam pozostać. Dlaczego wróciliśmy tutaj?

— Bo w najbliższym czasie muszę być na Capri. Nie wolno mi powiedzieć, co tu robię. W każdym razie będę bardzo zajęty, i dlatego ani jutro, ani pojutrze nie możemy się już spotkać. A za dwa dni odlatuję z Ibrahimem do Nowego Jorku.

Przechyliłem butelkę nad kieliszkiem.

— Antonio...

Wsłuchiwałem się w ciszę. Wypiłem wódkę i sięgnąłem po tonik. Po minucie milczenia odłożyłem słuchawkę.

Położyłem się na łóżku. Paliłem papierosy i patrzyłem przez okno na odbicia światła w wodzie basenów.

Zasnąłem w ubraniu.

Prawo do śmierci

Rano następnego dnia Ibrahim nie chciał iść na śniadanie. Jęczał, że jedzenie w hotelu jest nieświeże. Ja również nie miałem apetytu. Wstaliśmy dopiero o dziesiątej. Zapowiadał się kolejny słoneczny dzień. Był piętnasty lipca.

Myśl o mikrofonie ukrytym gdzieś w pokoju krępowała nam języki. Postanowiliśmy do obiadu nie palić papierosów i prosto z łóżek udać się na basen. Aby w drodze rozprostować kości, zrezygnowaliśmy z windy. Zeszliśmy po schodach z szesnastego piętra. Na każdym piętrze Ibrahim wyglądał przez okno.

Do dziewiątego — gwizdał „O sole mio”. Na ósmym — powiedział, że jeśli mam problemy, to chciałby mi pomóc, ale Lucia mu się nie podoba. Na siódmym — poklepał mnie po ramieniu i dodał, że ewentualnie mógłby ją zaliczyć, a na szóstym postanowił, że zrobi to dzisiaj.

Palnąłem go w łeb na piątym piętrze. Rozbił szybę i wyleciał za okno. Przez moment nie mogłem ruszyć się z miejsca. Patrzyłem na lazurowe niebo w wyrwie obramowanej szczątkami szyby i czekałem na odgłos upadającego ciała. Już widziałem na asfalcie jego zmasakrowane szczątki. Po chwili przerażenia skoczyłem do okna.

Leżał w przestrzeni na wysokości podłogi piątego piętra — w odległości kilku metrów od ściany hotelu. Tak właśnie: leżał w powietrzu, a nie wisiał. Wyglądało to tak, jakby spoczywał na niewidzialnej szybie. Natychmiast zrozumiałem, co podtrzymuje go ponad ulicą: czołgał się do mnie po śliskim dnie ekranu.

Wyciągnąłem go przez okno na podest klatki schodowej. Był zakrwawiony. Miał rozcięte czoło i ucho. Twarz mu zbladła. Dyszał, rzeził i plótł bez żadnego sensu:

— Trzy razy jeden: trzy, i jeden: cztery. Czterdzieści osiem.

Wyglądało to na agonię, lecz po kilku minutach przemówił ludzkim głosem:

— Od ziemi dzielą nas cztery fikcyjne kondygnacje a szesnaście pozostałych — licząc po trzy metry na jedno piętro — daje czterdzieści

osiem metrów. Ekran ma wysokość pięćdziesięciu metrów. Więc na dwudziestej kondygnacji jest żywy człowiek. Biegiem do windy!

Pojechaliśmy na szczyt wieżowca. W restauracji poinformowano nas, że przed kilkoma minutami jeden z konsumentów zemdlał nagle przy śniadaniu. Uderzył głową w talerz z pizzą, wywrócił stolik i upadł na podłogę. Kelner podejrzliwie przyjrzał się Ibrahimowi.

— Nie mogliśmy postawić go na nogi — dodał.

— Jak on wygląda? — spytałem.

— Jest taki... Ma krzywy nos.

— To ojciec Sofii. Co mu się stało?

— Nic. Zanim zadzwoniliśmy po pogotowie, zerwał się z podłogi, zapłacił i o własnych siłach poszedł do windy.

— Kiedy?

— Przed chwilą.

Wymieniliśmy z Ibrahimem znaczące spojrzenia.

— Już nas tu nie ma! — krzyknąłem.

Pobiegliśmy do windy, trzymając ręce wysoko nad głowami. Przed drzwiami spojrzałem na wszystkie numeratory: dwie kabiny jechały do góry (i te nam nie zagrażały), a trzecia mijiała już ósme piętro w drodze na parter. Wskoczyliśmy do czwartej.

Hipnotyzer uratował Ibrahimowi życie. Chcieliśmy podziękować mu za to, ale nie znaleźliśmy go na dole. Nie było go ani hallu, ani na plaży między hotelami. Pewnie skorzystał z przełącznika, aby w Sorrento skończyć śniadanie rozpoczęte tak niefortunnie na Capri.

Ibrahim usiadł na krawędzi basenu.

— Znasz tego faceta? — spytał.

— W Sorrento próbował mnie zahipnotyzować, ale nic z tego nie wyszło. Podobno byłem wtedy pod wpływem jakiejś innej, silniejszej sugestii.

— Ciekaw jestem, w jaki sposób dostał się do naszego stereonu. W każdym razie miałem szczęście! Ja spadłem na podłogę ekranu, a on oberwał po głowie jego sufitem. Kiedy gramoliłem się do okna, nie mogłem wstać, bo rama przyciskała go do podłogi z taką siłą, jakby dźwigał mnie na plecach.

— Ale ekran nie może zagłębić się w powierzchni Dachy Świata ani unieść się ponad nim.

— Oczywiście. Blok stereonów nigdy nie zmienia swego położenia. Tylko wewnątrz ekranu wędruje do góry lub do dołu. Kiedy ten człowiek jechał windą — na dwudzieste piętro, cały budynek przesunął się powoli kilkanaście metrów niżej. Inaczej żywy pasażer windy nie mógłby dotrzeć do restauracji, ponieważ hotel jest wyższy od ekranu. W takiej sytuacji baseny znalazły się pod kinoplanem (jak nazywają powierzchnię Dachy Świata) i przestały istnieć, chociaż widzieliśmy je nadal. Natomiast w chwili, gdy wypadłem za okno, trójwymiarowy obraz hotelu powędrował do góry razem z twoim hipnotyzerem, który uderzył głową w nieruchomy sufit ekranu.

— Więc nieustanne zagrożenie ze strony wszystkich sześciu ścian ekranu jest nieuniknione?

— Równie dobrze mógłbyś spytać, czy możliwa jest bezpieczna jazda samochodem. Owszem! Przy zachowaniu pewnych reguł. Ale wiesz, jak to w praktyce wygląda. Każdy wynalazek wprowadza nowe zagrożenia, Pozorny ruch ścian ekranu, podobnie jak jazda samochodem, w jednych, okolicznościach, zabija — w innych ratuje życie.

Wstał i ruszył w kierunku Księżycowego Kwiatu.

Około południa na plaży pojawiło się wielu turystów. W nagrzanym powietrzu trudno było oddychać. Co kilkanaście minut wchodziłem do wody. Po wyjściu na brzeg wracałem do rozmyślań, które moim planom na resztę dnia nadawały jeden kierunek — Sorrento. Sofii nie było w Głosie Ciszy. Musiałbym szukać stereonu z jej domem. Obawiałem się jednak, że na wybrzeżu Zatoki Neapolitańskiej raz jeszcze spotkam się z widmem katastrofy.

Nie miałem już wątpliwości, że Sofia i Elena są żywymi kobietami. Córka autentycznego człowieka nie mogła być widmem. Ponadto obydwie dziewczyny interesowały się naszym zespołem. Ich portrety odpowiadały opisowi poszukiwanych terrorystek, którymi najprawdopodobniej faktycznie były. Lecz w takim razie fabryka snów wciągnęła je do niezbyt czystej gry: my — żywi mężczyźni — w zawodach tych „walczyliśmy” o los fikcyjnego miasta, one zaś — autentyczne kobiety — stojąc po stronie nieistniejących ekstremistów, odgrywały role czarnych charakterów. Ponieważ jeszcze nie wiedziały, kim my jesteśmy i w jakim celu sprowadzono nas na Capri, mieliśmy nad nimi przewagę, z której należało skorzystać.

W czasie gdy zastanawiałem się nad tym wszystkim, obraz Lucii nieustannie płątał się w moich myślach. Aby o niej zapomnieć, przepłynąłem kilka razy basen i poszedłem pod Księżycowy Kwiat w poszukiwaniu Ibrahima. Znalazłem go wkrótce. Leżał w słońcu na trawie. Kurował odniesione w wypadku rany.

Opowiedziałem mu całą historię mojego pobytu na kontynencie, pomijając w niej tylko te fragmenty, które dotyczyły Lucii. Zaskoczyła mnie jego reakcja: był zdumiony i zaniepokojony. Nie chciał uwierzyć w możliwość korzystania z przełączników kontaktowych, a kiedy pomogłem mu je odnaleźć, uznał, że w naszym bloku zaszła jakaś awaria, ponieważ w zespołach stereonów działających sprawnie zmiana raz wybranego kanału jest wykluczona. Konstruktorzy kinoplanu uniemożliwili ludziom swobodną wędrówkę między stereonami, zaś wprowadzenie solidnych zabezpieczeń podyktowane zostało troską o bezpieczeństwo widzów.

Dotąd Ibrahim był przekonany, że mój pobyt w Sorrento jest czystą mistyfikacją. Przestraszył się jeszcze bardziej, gdy usłyszał o atomowym grzybie nad Neapolem i o wybuchu Wezuwiusza.

— Widziałeś przyszłość — powiedział. — To nie było złudzenie. Ale czy zauważyłeś, z jakim prawdopodobieństwem dojdzie do tej katastrofy?

Nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Musiał mi wyjaśnić, dlaczego w tamtym stereonie miałem podwójną wizję i fonię. Na polu kontaktowym obok pewnych ogólnych informacji na temat wybranego stereonu znajdują się przyciski do wywołania zarysów przyszłości. Widz wchodzący na kinoplan może uruchomić jeden z nich i wtedy na tle głównego obrazu, który przedstawia otoczenie w czasie teraźniejszym, pojawia się miraż sytuacji, jaka nastąpi za kilka dni. Sekundę wcześniej w okienku ukazuje się liczba określająca prawdopodobieństwo spełnienia wyświetlanej wizji. Jest to istotne, bowiem w filmie przestrzennym — inaczej niż w płaskim — nigdy nie ma całkowitej pewności, co przyniesie kolejny dzień. Guzików jest dziesięć. Nie wszyscy z nich korzystają. Większość stereowidzów woli niespodzianki.

Ibrahim interesował się wszystkimi szczegółami mojej błyskawicznej podróży do Sorrento.

— Co zobaczyłeś najwcześniej? — spytał.

Wróciłem myślami do sceny na rynku w Capri i próbowałem przypomnieć sobie, co stało się w chwili, kiedy Lucia podbiegła do mnie.

— Srebrną sferę — podsunął.

— O, właśnie! Pojawiła się na horyzoncie. Jej promień rósł szybko od punktu do nieskończoności. Po sekundzie wchłonęła do swego wnętrza cały krajobraz i...

— W porządku. I od tej chwili miałeś podwójną wizję i fonię.

— Dlaczego tylko ja widziałem tam ten drugi obraz?

— Ponieważ wchodząc na główny przełącznik, nikt poza tobą nie nacisnął nogą tamtego guzika. To się zgadza. Ale nie opowiadaj, że miraż atomowego błysku lub dymu z płonących drzew okopcił ci twarz i ubranie. W czasie czterodniowej włączki pobrudziłeś się pewnie przy jakimś zwyczajnym ognisku. Dlatego Sofia nie mogła cię rozpoznać, chociaż zna nas dobrze z fotografii i telewizyjnych występów.

— A propos! Byłbym zapomniał. Według czasu lokalnego akcja naszego stereonu rozpoczęła się w Londynie szóstego lipca. Dziwna sprawa, bo Sofia twierdzi, że włoska telewizja reklamowała nasz zespół już na początku czerwca.

— I nie ma w tym żadnej sprzeczności. Jeżeli jest tak, jak ona twierdzi, to znaczy, że na kinoplanie wylądowaliśmy cały miesiąc przed wprowadzeniem do akcji.

— Jak to?

— Nie mówiłem ci nic o kanale zerowym?

— Nie.

— Miejsca w blokach z reguły są zarezerwowane. Pod Dachem Świata ludzie czekają na nie w kolejkach. Do akcji trójwymiarowego filmu stereowidz kierowany jest bezpośrednio, jeżeli wcześniej uzyska wynik badań osobowości. My tych wyników nie mieliśmy i dlatego po zajęciu wybranego pola dostaliśmy się najpierw do kanału zerowego, gdzie natychmiast zostaliśmy uśpieni w celu przeprowadzenia wszechstronnej analizy naszych pragnień i zdolności. Cudów nie ma. Przecież do tamtej chwili sterownia siedemdziesiątego ósmego kanału nie znała nawet naszych imion. Bez specjalnych badań, które w czasie głębokiej hipnozy sięgają do podświadomości widza, fabryka snów nie wiedziałaby, jakie role nam zaproponować, i nie mogłaby kierować widmami. Testy ujawniają rzeczywiste marzenie odbiorcy programu i ze

znacznym prawdopodobieństwem pozwalają przewidywać jego reakcje.

— Więc przespaliśmy cały czerwiec i dlatego go nie pamiętamy. Płyty pozorujące nagrania grupy „To tu — to tam” sterownia rozpowszechniła wkrótce po naszym lądowaniu na kinopłanie, zaś do gry w stereonie zostaliśmy włączeni dopiero po upływie miesiąca, kiedy Sofia i Elena przypadkiem zainteresowały się naszymi piosenkami i gdy widma (zaniepokojone ultimatum Czarnych Piór) postanowiły zaproponować nam role wywiadowców.

— Tak to sobie wyobrażam. Cała ta historia starannie przemyślana...

— I wszystko w niej graniczy z cudem.

— Nie zapominaj, że dla pierwotnego człowieka już zwyczajna telewizja byłaby nadprzyrodzonym zjawiskiem.

— Ja jestem takim pierwotnym człowiekiem, i chciałbym zrozumieć, dlaczego ludzie tłoczą się na Ziemi. Czy nie ma miejsca na innych planetach?

— Widziałeś powierzchnię Ziemi z okna samolotu? Co pokrywało lądy w dwudziestym wieku? Bezkresne pola i lasy. Więc dlaczego w czasach, gdy Ziemia była pusta, ludzie tłoczyli się w punktach nazwanych miastami?

— Odpowiedz mi przynajmniej na jedno pytanie. Czy człowiek jest nieśmiertelny?

— Na liście podstawowych praw człowieka prawo do śmierci zajmuje pierwsze miejsce. Walczyli o nie tacy wybitni humaniści, jak — wymienię tu tylko naj...

— Prawo do czego?

— Prawo do śmierci. Po zwycięstwie...

— Poczekaj. Skoro człowiek może odmładzać się dowolnie wiele razy...

— I dowolnie wiele razy może naprawiać rzeczywiste lub urojone wady swego ciała.

— Więc... jest on nie...

— Więc walka o to prawo trwała przez tysiąclecia. Po Szóstej Światowej Wojnie Religijnej...

— Jakiej?

Spojrzał na mnie z nienawiścią.

— Czy z tobą w ogóle kto doszedł kiedy do ładu? Stuknij się w ten

głupi, dwudziestowieczny czerep! Przecież życie nie jest obowiązkiem, okrutnym więzieniem bez wyjścia, jak chcieli zwolennicy Katorgi Nieskończonej. Chcieć znaczy móc. Ale móc nie znaczy chcieć. Toteż w sytuacji, gdy każdy mógłby istnieć wiecznie, ostatni rekord długości życia wynosi zaledwie 1175 lat i został ustanowiony w czasach, kiedy ludzie obdarzeni byli znacznie większą odpornością. Cierpliwość przeciętnego mieszkańca Ziemi wyczerpuje się już zwykle po trzystu latach, a po dalszych stu — prosi on o zezwolenie na wejście do oddziału straceń.

— Czy pod Dachem Świata brakuje rozrywek?

— Nie.

Przy basenie ukazała się Elena. Skoczyła do wody. Ibrahim wstał i ruszył w jej stronę.

— Poczekaj! — zawołałem za nim. — Mówiłeś o odporności. Dlaczego nikt nie zdołał pobić tamtego rekordu?

— Bo każdy wcześniej załamuje się pod ciężarem nudy.

Blokada

Obiad zjadłem w towarzystwie Eleny i Ibrahima, który był już z nią bardzo zaprzyjaźniony. Pojechaliśmy na dziesiąte piętro do dużego bistra. Elena mówiła niezłe po angielsku, ale jeszcze lepiej znała włoski. Dowiedziałem się od niej, że Sofia pojechała z ojcem do Neapolu. Rano następnego dnia zamierzali odwiedzić ją na Capri.

Dzięki zarysowi przyszłości poznanemu w Sorrento mogłem mieć pewność, gdzie przechowywana jest bomba. Czemu jednak jej wybuch miałby być nieunikniony? Elena była wesoła. Zastanawiałem się, co ta dziewczyna myśli o sytuacji zamachowców, jeśli faktycznie jest z nimi związana. Terrorysty byli przegrani. Po koncentracji więźniów w Neapolu nie mogli zrealizować swej groźby. Lecz gdyby Melfei nie został o tym przekonany, w ostatniej chwili odnieśliby nieprzewidziane zwycięstwo.

Po obiedzie spróbowałem skierować rozmowę na tematy zbliżone do terroryzmu. Ibrahim podtrzymywał dyskusję, ale Elena nie dała się do niej wciągnąć. Oświadczyła, że jesteśmy nudni. Wtedy Ibrahim wyprowadził ją z baru. W drzwiach podniósł klucz do jej pokoju i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Popołudnia nie spędziłem na plaży. Przez dłuższy czas kręciłem się po hotelu. Najpierw zajrzałem do kina, potem do kręgielni, gdzie wypłem kawę. Postanowiłem zadzwonić do Marisy, ale dalej myślałem o Lucii i podświadomie miałem nadzieję, że przypadkiem gdzieś ją zobaczę. W sali automatycznych gier wydałem kilka tysięcy lirów przy pulpicie z wyścigami samochodowymi. Spotkałem tam Luciano. Rozmawialiśmy o porwaniu w Londynie i o przymusowej podróży do Włoch, podczas której on był jedynym z naszych eskorterów. Tym razem oferował mi heroinę. Jego ludzie pilnowali Sofii i Eleny. De Stina polecił im, aby usuwali z naszej drogi potencjalnych rywali.

Po kolacji wróciłem do pokoju i zasnąłem przed włączonym telewizorem.

Zbudził mnie dzwonek telefonu. W słuchawce brzmiał głos Melfeiego, ale byłem taki zaspany, że dopiero po kilku minutach

zrozumiałem, o co mu chodzi.

— Mógłby pan wystąpić w roli tłumacza? — spytał.

— Kogo?

— Chciałbym, aby pan pomógł Ibrahimowi porozumieć się z lekarzem, który nie zna angielskiego.

— A co mu się stało?

— Miał kłopoty z Eleną.

— Lekarz?

— Nie. Signor Nuzan.

— Jest ranny? Elena go pobiła?

— Nie. Znacznie gorzej: zawiodła się na nim.

— Proszę zaczekać. — Wstałem z łóżka i wyłączyłem telewizor. — Niech pan wyraża się jaśniej.

— To jest bardzo delikatna sprawa.

— Jednak nie mam pewności, czy dobrze zrozumiałem.

— A ja znów nie wiem, co pan rozumiał. Na wszelki wypadek sprowadziliśmy z Neapolu najlepszego seksuologa. Ibrahim jest załamany.

— Jasne. Więc mówiąc jego własnymi słowami: „Odkrył karty i nie rozegrał asów”.

— Coś w tym rodzaju. Sam mi to powiedział. Trzeba go jakoś postawić na nogi, bo zawali nam całą akcję. Wie pan, jak to bywa. Kobiety szybko uogólniają, takie przypadki i Elena mogłaby pomyśleć, że w planowanym małżeństwie nie będzie miała z niego żadnego pożytku. Obaj panowie przyjdą do hotelu za kwadrans.

W szafce Ibrahima znalazłem butelkę koniaku. Na wszelki wypadek postawiłem ją na stole. Tłumaczenie wymagało znajomości fachowych terminów włoskich, kto wie jak ścisłych i specjalistycznych. Nie miałem pod ręką żadnego słownika, ale kiedy wypłem pół szklanki, zaraz przypomniałem sobie kilka obiegowych zwrotów.

Seksuolog miał ponury wyraz twarzy. Nie zbadał Ibrahima. Zwalił wszystko na alkohol. Kiedy poprosiłem, aby recytował wolniej, bo nie nadążam tłumaczyć, rozładował złość w dialekcie neapolitańskim, kazał sobie nalać, wypił i odtąd mówił już poważnie.

— Ile kobiet poznał pan w swym krótkim życiu? — spytał Ibrahima.

— Trzydzieści dwie.

— A ile razy miał pan taką przygodę jak dzisiaj?

— Cztery.

— Kiedy to było?

— W siedemnastym, dwudziestym, dwudziestym szóstym i dziś — trzydziestym pierwszym roku życia.

— Niedobrze. Martwi mnie u pana znaczna nieregularność okresu. Czy ta dziewczyna nie podoba się panu?

— Podoba mi się.

— Pewnie bardzo panu na niej zależy.

— Niespecjalnie.

— O czym pan myślał w chwili, gdy kładliście się do łóżka?

— O Neapolu.

— Rozumiem! Ma pan tam drugą dziewczynę.

— Nie.

— Więc dlaczego myślał pan akurat o tym mieście?

— Nie wiem.

— A ja wiem! Bo bardziej idiotyczne głupstwo nie przyszło panu do głowy. W łóżku nie wolno myśleć o jakimś Neapolu. Kochani. — Spojrzał na butelkę. — Niestety, muszę iść do następnego pacjenta.

Wypisał receptę na rumianek. Kazał pić trzy razy dziennie. Żegnając Ibrahima, pogroził mu palcem.

— W łóżku nie wolno myśleć!

Zastygł z dłonią wyciągniętą przed siebie. Zerwałem się z miejsca i uścisnąłem ją serdecznie, jednak nie opuścił ręki. Aby przywrócić mu normalną pozycję, musiałem odliczyć sto dolarów. Dopiero wtedy uśmiechnął się, mrugnął do nas i wyszedł.

Późnym wieczorem poszliśmy na dyskotekę. Przedtem wypiliśmy resztę koniaku. Ibrahim opowiedział mi, co robił po niefortunnym spotkaniu z Eleną. Nie zmarnował czasu. Spacerując w pobliżu ponumerowanych pól kontaktowych, wchodził kolejno na przełączniki i zwiedził wszystkie ekrany, których ściany pokrywały się dokładnie z sześcioma granicami naszego bloku. Wrócił z zaskakującymi notatkami: prawie wszystkie ekrany zawierały jakieś fragmenty Neapolu. Wszystkie z wyjątkiem trzech. Poza siedemdziesiątym ósmym kanałem, w którym aktualnie przebywaliśmy na Capri, jeszcze tylko dwa inne nie

przedstawiały tamtego miasta.

Ibrahim był zdziwiony, ponieważ w żadnym z dziewięćdziesięciu stereonów nie znalazł krajobrazu Sorrento. W piętnastym — otoczył go obraz Rzymu, a w siedemnastym — Palermo.

Wyjaśniłem mu, że w czasie jego spaceru Sofia i jej ojciec przebywali w Neapolu (o czym poinformowała mnie Elena). Kiedy jechali do tego miasta, willa psychologa razem z całym Sorrento przesunęła się daleko poza granice ich ekranu. Zaraz też przypomniałem sobie człowieka, który zginął na stacji w Torre Annunziata. Położyłem na stole gazetę znalezioną w Pompei. Na jej marginesie, według informacji jakiegoś Zanzary (przekazanej mi przez umierającego) zanotowane były numery nie zablokowanych kanałów: 12-15-17-28-51-78-86.

Wpatrywaliśmy się w te liczby, próbując zrozumieć, jaką blokadę mógł mieć na myśli ów tajemniczy Zanzara. Jedno tylko nie ulegało wątpliwości: ekrany przedstawiające Rzym, Palermo oraz Capri należały do siedmiu nie zablokowanych. Pozostałe cztery wolne ekrany razem z osiemdziesięcioma trzema innymi — zablokowanymi — zawierały w tej chwili jakieś fragmenty Neapolu.

Otrzeźwiałem nieco, gdy Ibrahim powiedział, że prawdopodobieństwo wybuchu bomby w Neapolu wynosi dziewięć dziesiątych — to znaczy jest bliskie pewności. On również widział miraż katastrofy. Obserwował go wielokrotnie. Wywołane na polach kontaktowych zarysy przyszłości pozwoliły mu ustalić dokładny czas błysku. W chwili eksplozji zegary Neapolu wskazywały godzinę osiemnastą.

Tej nocy w podziemiach dyskoteki ani razu nie wyszedłem na parkiet. Siedziałem przy barze i patrzyłem w przestrzeń zatłoczoną widmami. Myślałem o Lucii, która przez cały dzień nie opuściła swego pokoju na dwunastym piętrze.

Zamachowcy

Szesnastego lipca pogoda w Zatoce Neapolitańskiej była równie piękna, jak w czasie poprzednich dziewięciu dni.

O ósmej rano zadzwoniłem pod numer 1123, ale Sofii nie było jeszcze w pokoju. Ibrahim studiował listę wolnych ekranów i odliczał czas do godziny zero. O Elenie myślał niechętnie. Oświadczył, że po południu przeskoczy do Palermo: nie miał zamiaru czekać na błysk i wrócić do „tamtego mrowiska”.

Zapytałem go, czy życie pod Dachem Świata jest takie nieznośne.

— Przeciwnie! — zawołał. — Życie pod kinoplanem będzie dla ciebie fantastyczne. Jest luksusowe i pełne najbardziej wyszukanych — atrakcji. Odpowiada ono prawie wszystkim ludziom, gdyż w zestawieniu z nim nasz turystyczny pobyt na Capri przypomina nędzną wegetację jaskiniowców.

— Jeśli tak jest, to dlaczego włączysz się po różnych stereonach, których akcja toczy się we wczesnej starożytności?

— Ponieważ ja jestem inny! W twojej epoce również nie wszyscy spędzali życie przy ciepłych piecach. Nieliczni szukali przygód w górach i na morzu, woleli biwaki pod gołym niebem, ogniska i lasy, niewygody i zagrożenia niż bezpieczne wnętrza doskonale urządzonej mieszkań. Dzisiaj proste emocje przeżywać można tylko w stereonach. I właśnie dla amatorów takich szaleństw zbudowano kinoplan.

W restauracji Ibrahim oglądał się za kobietami. Przy stole zawarł znajomość z Angielką starszą od siebie.

— Dlaczego wczoraj zwierzyłeś się akurat Melfeiemu? — spytałem w drodze do windy. — Sądziłem, że go nie lubisz.

— Nie musiałem mu niczego mówić. Taśma z uwagami Eleny na mój temat leży w Diamentowej Siedzibie. Zapomniałeś o podsłuchu.

Po śniadaniu wyszliśmy na plażę. Ibrahim został przy pierwszym basenie i zaraz skoczył do wody. Zobaczyłem Sofię i Elenę. Opalały się na leżakach. Lisitano siedział pod parasolem po drugiej stronie wydmy usypanej z morskiego piasku przez budowniczych ośrodka. Rozglądałem i się wokoło w poszukiwaniu Lucii.

Sofia poprosiła mnie o papierosa. Usiadłem obok. Rozmawialiśmy o jej willi w Sorrento. Przypomniała sobie, że radziła mi iść do okulisty.

— Jak teraz widzisz? — spytała.

— Dobrze.

— Ukrywałam się wtedy przed Eleną, bo wolę siedzieć w Sorrento, a ona codziennie próbuje wyciągnąć mnie na Capri. Więc ogłosiłam na dole, że wychodzę z domu, ale zapomniałam o bardzo ważnej wizycie. Może ktoś pytał o mnie, kiedy zszedłeś na parter?

— Nie.

— Nie widziałeś tam mężczyzny w białym ubraniu?

Baczność! — pomyślałem. — Czyżby Sofia pytała o posłańca tajemniczego Zanzary?

— Jak on wygląda? — spytałem.

— Nie znam go.

— A on ciebie?

— On też mnie nie zna. Byliśmy umówieni telefonicznie przez kogoś innego. Straciłam z nim kontakt. Idziemy do wody?

W drodze do basenu zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę. Nie miałem już wątpliwości, że Sofia mówi o człowieku, który zginął na stacji. W naszym bloku stereonów wszystkich żywych ludzi można było policzyć na palcach: mężczyzna w białym ubraniu, Zanzara, Lisitano, Sofia i Elena oraz my dwaj — o czym nasi przeciwnicy jeszcze nie wiedzieli. W takiej sytuacji — po zahamowaniu pociągu — ranny, widząc krew na mojej twarzy i Lucię stojącą obok, łatwo mógł nas pomylić z hipnotyzerem i jego córką, którym miał przekazać ważną informację.

Zatrzymaliśmy się na krawędzi basenu.

— Ten człowiek nie żyje — powiedziałem.

— Skąd wiesz?

— Spotkałem go na stacji w Torre Annunziata, gdzie przypadkiem dowiedział się, że bywam u was w domu. Został potrącony przez pociąg i umarł na peronie. Przed śmiercią dał mi list do ciebie.

— Gdzie jest ten list?

— W moim pokoju.

Pojechaliśmy na górę w kostiumach kąpielowych. Sofia miała dwadzieścia cztery lata i powinna już wiedzieć, że zabawa w ultra-super

zamachy jest niebezpieczna dla obu walczących stron. Kiedy weszliśmy do pokoju, bez żadnych wstępów wprowadziłem w życie teorię według reguły Melfeiego. Nie miałem pewności, czy takie postępowanie wiedzie do wytyczonego celu. Coś jednak w końcu trzeba było robić! Opór Sofii był umiarkowany. Po fakcie zapomniała o liście, po który wjechaliśmy na szesnaste piętro.

Leżeliśmy nago na łóżku pod oknem.

— Dlaczego rozwiodłeś się z pierwszą żoną? — spytała.

— Ponieważ zaczęła pić.

— A z drugą?

— Bo zaczęła jeść.

— Utyła?

Patrzyłem w sufit.

— Pewnie z trzecią rozwiedziesz się wtedy, gdy zacznie cię pytać o poprzednie?

— Zgadłaś. Lepiej porozmawiajmy o Sorrento. Powiedziałaś tam, że nasze losy nie mają ze sobą nic wspólnego. Jesteś tego pewna?

— Tak. Nasze drogi przecinają się dzisiaj i rozchodzą na zawsze.

— Może umiałbym zmienić ich kierunek.

— Po co?

— Nie chcesz tego?

Opuściła głowę na poduszkę.

— Słuchaj. — Pochyliłem się nad nią. — Pojechalibyśmy do Ameryki Południowej. Zdobędę wkrótce jeszcze większą sławę. Mogłabyś tam zacząć ze mną nowe życie.

Zamknęła oczy i przez dłuższy czas leżała nieruchomo. Uścisnąłem jej rękę.

— Co o tym myślisz?

— O czym?

— O naszym małżeństwie i podróży do Ameryki. Chyba wierzysz, że zrobię tam karierę?

Popatrzyła na mnie obojętnie.

— Wiesz co, ty mój zarozumiały idolu?

— No?

— Nie chciałabym sprawić ci przykrości, ale...

Drgnąłem. W otwartych drzwiach stała Marisa.

— Mogłabyś zapukać! — rzuciłem w jej stronę

— Pukałam trzy razy.

Była zmieszana. Zawróciła do drzwi. Sofia podniosła się na łóżku i uśmiechnęła się do niej.

— Poczekaj — powiedziała.

— Co chcesz?

— Chodź do nas.

Marisa zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Wprawdzie już raz widziała mnie bez ubrania, ale na wszelki wypadek pochyliłem się nad podłogą w poszukiwaniu koca. Zanim jednak zdążyłem go podnieść, Marisa wyskoczyła na korytarz i trzasnęła drzwiami.

Był upał. Wyciągnęliśmy się na prześcieradle. Pomyślałem o Lucii. Sofia zapaliła papierosa.

— Daj mi wreszcie ten list — powiedziała.

— Racja! — przypomniałem sobie.

Wstając po gazetę, wyrznąłem głową w niewidzialny sufit ekranu. Przezroczysta granica opadła i przycisnęła nas do łóżka. Pchaliśmy ją do góry wspólnymi siłami. Kołysała się na naszych rękach jak łódź na fali. Stałem na podłodze i wyprostowałem plecy. Sofia opuściła ręce. Rama całym swym ciężarem wsparła się na moim karku. Przesunąłem głowę pod śliską powierzchnią. Wyjrzałem przez okno, trzymając na barkach sufit ekranu. W dole zobaczyłem znajomą postać:

Ibrahim Nuzan (pijak i rozpustnik, kto wie, może też oszust matrymonialny), jak chodzący po wodzie Jezus Chrystus — nieśmiertelny Reżyser jednego z najwybitniejszych starożytnych stereonów świata, stał na niewidzialnym dnie ekranu pośrodku pierwszego basenu.

Ruszył do brzegu. Woda zalewała mu tylko stopy. Szedł po jej powierzchni z ręką wzniesioną do góry. Patrzył w lazuruwe niebo. Czułem na ramionach ciężar jego ciała. Kiedy wspiął się po drabince na brzeg basenu, płaszczyzna spoczywająca na moich barkach uniosła się pod sufit pokoju.

Oto dlaczego żaden z nas nie uderzył dotąd głową w górną ścianę bloku stereonów: ani razu nie było tu takiej sytuacji, żeby jeden pływał, a drugi przebywał w tym pokoju. Ekran miał wysokość szesnastu kondygnacji, zaś lustro wody w basenach znajdowało się pół metra

poniżej poziomu podłogi parteru i plaży.

Sofia patrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Dlaczego nie powiedzieliście nam, że jesteście autentyczni? — spytała.

— Ty również nie powierzyłaś mi swojej tajemnicy.

— Od dawna przebywacie w tym bloku?

— Od szóstego lipca.

— My w Sorrento mieszkamy już osiem miesięcy. Co pod kinoplanem mówią na nasz temat?

— Nigdy tam nie byłem.

— Urodziłeś się w tym stereonie?

— Mniejsza o to, gdzie się urodziłem. Klimat Capri bardzo mi odpowiada i mam zamiar zostać tu jeszcze kilka tygodni.

— To znaczy, że nie wiesz, co się tutaj dzieje.

Podszedłem do drzwi i zamknąłem je na klucz.

— Wyjdiesz z tego pokoju dopiero wtedy, gdy powiesz mi całą prawdę.

— Zwariowałaś? — Spojrzała na zegarek. — Dochodzi dwunasta. Nie możemy zostać na Capri. Za sześć godzin w Neapolu wybuchnie bomba termojądrowa o wielkiej mocy.

— Kto wywoła eksplozję?

— Pogotowie ratunkowe. Ekipa liczy szesnaście osób. W jej skład wchodzi komandosi. Nie mogli zabrać ze sobą nowoczesnej broni, ponieważ z zewnątrz przez granicę kanału zerowego przenikają tylko nagie ciała. Bombę musieli zdobyć na miejscu. Przybyli tu spod Dachy Świata, aby przywrócić wolność uwięzionym ludziom.

— Jakim ludziom?

— Żywym.

— Gdzie oni są?

— W Neapolu.

Przyniosłem z łazienki dwie puszki coca-coli. Sofia kontynuowała:

— Jest ich czterystu sześćdziesięciu ośmiu. Są to wszyscy stereowidzowie, jacy weszli do tego uszkodzonego bloku w czasie ostatnich dwunastu lat.

— A dlaczego wy nie zostaliście aresztowani?

— Ponieważ widma nas nie rozpoznały. Do czasu wykrycia awarii

każdy widz był znaczony substancją, która wysyła niewidzialne promienie, dzięki czemu w stereonach żywi ludzie mogli rozpoznawać się wzajemnie przy pomocy specjalnych wskaźników. Ale od roku w kanale zerowym nie stosuje się już tego rodzaju zabiegów.

— Rozumiem. Promieniowanie zdradzało żywych ludzi. Czemu jednak wszyscy oni nie spodobali się policji?

— Jest to rezultat niedopatrzenia kontroli kinoplanu. W normalnych warunkach stereony są niezależne: akcja każdego z nich toczy się w innym miejscu i w innym czasie. Przejście z jednego ekranu do drugiego jest niemożliwe. Tutaj dwanaście lat temu nastąpiło sprzężenie wszystkich dziewięćdziesięciu ekranów w całym bloku. Na skutek awarii centralnej dyspozytorni wewnętrzne przejścia zostały otwarte. Począwszy od tej chwili zegary wszystkich stereonów wskazują dokładnie ten sam czas.

— Czy otwarcie przejść na przełącznikach kontaktowych i wprowadzenie uniwersalnego czasu wywołało niechęć policji do stereowidzów?

— Nie. Ale wkrótce potem do bloku dostała się siedmioosobowa grupa awanturników, którzy przez kilka miesięcy rozładowywali na widmach napięcia psychiczne wywołane pod kinoplanem. Tam nie mogli ujawnić swych niskich instynktów. Ludzie ci nazwali siebie Czarnymi Piórami. Przez długi czas bezkarnie terroryzowali spokojnych mieszkańców. Organizowali napady rabunkowe i bombowe zamachy. Porywali dzieci bogatych rodziców w celu wymuszenia okupu. Mają oni na sumieniu wiele morderstw. W końcu wszyscy zostali ujęci i skazani. Ale w czasie badania jednego z nich lekarz więzienny odkrył przypadkiem, że jego ciało wysyła jakieś zagadkowe promieniowanie. Ponieważ pozostali bandyci również byli radioaktywni, policja doszła do wniosku, że wszyscy ludzie, których ciała emitują te zagadkowe fale, należą do ekstremistycznej organizacji Czarne Pióra. I odtąd wszyscy stereowidzowie prosto z przełączników kontaktowych wędrowali do zakładów karnych. Siedzą w nich mężczyźni i kobiety. Ich sytuacja jest okropna: dobrze pilnowany człowiek nie może popełnić samobójstwa, czyli nie może wyjść z kina, w którym przez wiele lat nieustannie wyświetlany jest beznadziejnie nudny film o życiu w więziennej celi. Po zdobyciu bomby komandosi wysłali ultimatum. Jeżeli do godziny

osiemnastej stereowidzowie nie zostaną wypuszczeni na wolność, ekipa ratunkowa wysadzi Neapol.

— Więc komandosi działają według dobrze przemyślanego planu. Przewidzieli, że po uzyskaniu informacji, gdzie ukryta jest bomba, policja skoncentruje więźniów w zagrożonym mieście.

Oczywiście. Dotąd stereowidzowie przebywali w więzieniach rozproszonych na terenie całego kraju, to znaczy ekrany, które oni cały czas zajmują, przedstawiały zakłady karne położone w różnych, pozornie bardzo odległych od siebie miejscowościach. Przed trzema dniami w czasie kilku godzin, gdy ludzi tych transportowano do Neapolu, krajobrazy w ich ekranach przesunęły się o kilkaset kilometrów, aż w stałych ramach ukazały się domy należące do zagrożonego miasta, i choć faktycznie wcale nie ruszyli się z miejsca, teraz otaczają ich mury strzeżone przez neapolitańskich karabinierów. Jednak ciało żywego człowieka nie przenika przez ściany. Dlatego wewnątrz każdego z tych zablokowanych ekranów może wykonywać ruchy tylko w granicach dwustu metrów. Gdyby wszystkie ekrany były w ten sposób unieruchomione, bylibyśmy zgubieni, gdyż żadnym z nich nie moglibyśmy uciec do innego miasta. Daj mi list od Zanzary, to powiem ci dokładnie, jakie kanały są wolne.

Podałem jej gazetę.

— Kto to jest Zanzara? — spytałem.

— Dowódca ekipy ratunkowej. Zadzwoił do mnie, kiedy przybyli do naszego bloku. Obiecał, że poda nam numery wolnych ekranów, które mógł zdobyć dopiero po oczekiwanej koncentracji Czarnych Piór w Neapolu, gdzie od pierwszego lipca komandosi przechowują bombę. Miał je nam przekazać przez posłańca w białym ubraniu. O was nic nie wiedzieliśmy. Od roku blok jest w zasadzie zamknięty. Ojciec uzyskał zezwolenie na badania. Zdobył je również dla mnie i Eleny. Pozostaniemy tu do czasu usunięcia awarii.

Wskazałem margines gazety.

— Którym z tych siedmiu ekranów zamierzacie uciec z zagrożonej strefy?

— Piętnastym możemy natychmiast przeskoczyć do Rzymu, a siedemnastym do Palermo. Moglibyśmy też podróżować zwyczajnie — statkiem lub pociągiem. Wtedy siedemdziesiątym ósmym ekranem

ucieklibyśmy z Capri, a pięćdziesiątym pierwszym — z Sorrento. Pozostałe trzy kanały zajmują komandosi, którzy teraz ukrywają się w Neapolu. Nie znamy ich planów, więc lepiej nie wchodzić na te trzy numery. Może po wykonaniu zadania chcieliby razem z Czarnymi Piórami wrócić pod kinoplan.

— Ja wolałbym tam nie zaglądać.

— Wobec tego zapraszam was do siebie na obiad. Ale tym razem dla odmiany nie skorzystamy z przełącznika. Proponuję wspólną wycieczkę statkiem do Sorrento, skąd po południu wszyscy razem przeskoczmy do Palermo. Porozmawiam z Ibrahimem.

— Zgoda.

— Do Sycylii opady radioaktywne nie doleczą. W Sorrento wejdziemy na siedemnasty numer. Zapamiętaj!

Sofia miała na sobie tylko kostium kąpielowy. Po ubraniu musiała iść do swego pokoju na jedenastym piętrze. Wyszedłem za nią na korytarz. Zamknąłem drzwi i rozejrzałem się wokoło.

— Słuchaj — szepnąłem. — W hotelu roi się od agentów. Pewnie są już na waszym tropie. W każdej chwili mogą was aresztować. Uciekajcie stąd natychmiast!

Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

— Nie martw się o nas. Opanowałam już do perfekcji sztukę operowania wnętrzem ekranu. W otwartej przestrzeni nawet po aresztowaniu możemy wejść na przełącznik i zniknąć. Na wszelki wypadek nosimy przy sobie truciznę. Tylko ludzie zamknięci w celach są całkowicie bezradni.

Zapamiętaj jedną chwilę

Wróciłem do pokoju i zadzwoniłem do Melfeiego.

— Jak? — spytałem.

— Doskonale! — wykrzyknął. — Po prostu wspaniale! Nie wiem, jak mam panu dziękować. Chciałbym mieć takich wywiadowców. Teraz nie mam już żadnej wątpliwości, że bomba znajduje się w Neapolu.

— I że wybuchnie tam za pięć godzin, jeżeli nie wypuścicie na wolność wszystkich terrorystów.

Roześmiał się szczerze.

— Płyniecie na obiad do Sorrento?

— Tak.

— Zamachowcy mogliby teraz krzywo na was patrzeć. Pewnie wkrótce dojdą do tego, kto ich tak nieładnie wsypał. Na wszelki wypadek dam wam ochronę. Czterech tęgich chłopów. Luciano będzie nimi dyrygował.

— Dziękuję.

— Bombę znajdziemy w czasie tygodnia. Więc wszystko dobrze się skończyło. Doprawdy, Signor Antonio, zaczynam pana podziwiać. To była pierwszorzędna robota. Bezbłędna! I ten żargon! Sofia też nieźle blefuje. Po tym poznałem w niej terrorystkę. Właśnie czekaliśmy na słówka, którymi oni operują. Gdzie pan się tego nauczył?

— Przeczytałem kilka powieści fantastycznych.

— Interesują pana?

— Czasami.

— A ja nad nimi zasypiam. Takimi bzdurami nie wypełniam sobie życia. Teraz możemy odpocząć. Zwalniam wywiadowców. Nie wszyscy mają talent. Niektórzy działali niezręcznie. Jakiś dureń nastraszył pewnie Lucię, bo biedna dziewczyna nie spała dwie noce. Dzisiaj nad ranem zasnęła wreszcie i przez sen mówiła o panu. Ona pana kocha.

— Skąd pan wie?

— Moi ludzie również w nocy trzymali słuchawki na uszach. Podobno Lucia mówiła coś o szklanej górze. Czy ona jest normalna?

Do pokoju wszedł Ibrahim. Rozłączyłem się z Melfeim i wykręciłem

numer Lucii. Słuchawkę podniosła Caterina. Powiedziała, że Lucia spakowała swoje rzeczy do walizki i przed kilkoma minutami wyszła z pokoju. Nic więcej nie wiedziała na jej temat.

Porwałem z krzesła koszulę i spodnie. Wskoczyłem do windy bez butów. W recepcji niczego się nie dowiedziałem. Obiegiem hali, baseny i ulice sąsiadujące z nimi. Wróciłem pod hotel. Zajrzałem do restauracji. Nie miałem pewności, czy Lucia odważyłaby się wsiąść na statek. Pamiętałem o ścianach ekranu. Mogłyby zagrozić mi drogę. Wahałem się przez kilka minut. Lucia wyszła z walizką, ale nie wiedziałem, czy szukać jej na przystani w Marina Grande, czy raczej w przeciwnym kierunku — w rodzinnym domu, do którego mogła wrócić.

Pobiegłem do stacji funicolare. W drodze minąłem hipnotyzera i Sofię. Ibrahim z Elena szli przed nimi. Wołali za mną. Wyszedłem na rynek.

Lucia stała przy kawiarnianym ogródku przed restauracją Campanile. Zobaczyliśmy się równocześnie. Ale nie podniosła ręki i nie uśmiechnęła się do mnie jak przed tygodniem, gdy spotkaliśmy się w tym samym miejscu na przełączniku stereonów, który w jednej chwili przeniósł nas do Sorrento. Tym razem ja podbiegłem do niej i bez słowa pocałowałem ją w usta. Miała łzy w oczach. Przez dłuższy czas nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Bałem się, że zaraz coś nas znów rozdzieli.

Poszliśmy do kolejki za grupą znajomych z hotelu i zjechaliśmy z nimi do Marina Grande. Dopiero na dole dowiedziałem się, że w nocy Lucia postanowiła popłynąć na kontynent. Przewyciężyła już lęk przed morzem i pożegnała się z rodziną. Luciano ze swoją grupą operacyjną czekał przy wejściu na molo. Wręczył nam bilety. Wszyscy weszliśmy na statek.

W drodze do Sorrento patrzyłem na wyspę Capri, która wkrótce znikła poza Przylądkiem Campanella. Wiedziałem, że już nigdy jej nie zobaczę. Siedzieliśmy na pokładzie. Morze było spokojne. Lucia mówiła o nim bez lęku. Nie rozumiała, dlaczego dotąd błękitne lustro wody kojarzyła z tamtą nierealnie wysoką falą. Teraz bała się czego innego. Opowiedziała mi swój sen z ostatniej nocy. W tym śnie widziała siebie na wysokim brzegu. Ze słońca pękającego ponad horyzontem padały na nią ostrza oślepiająco białych promieni. Brzeg płonął. Promienie

przeszywały jej ciało. Była sama. I stała tam nieruchomo, sparaliżowana i bezradna jak przybity do tarczy strzelniczej bezbronny nagi cel.

Wy tłumaczyłem jej, że ten przykry sen nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Za godzinę wszyscy przeniesiemy się na Sycylię i powędrujemy w głąb tej wielkiej wyspy, skąd nigdy już nie zobaczy morza ani wysokiego brzegu. Powiedziałem, że pragnę związać się z nią na zawsze. Kiedy spytałem, czy ona też chciałaby być ze mną całe życie, spojrzała mi w oczy i ściskając moją dłoń, odparła: „Przecież wiesz”.

Do przystani w Sorrento przybiliśmy o wpół do czwartej. Na brzegu ogłosiłem, jakie mamy plany. Wszyscy złożyli nam gratulacje. Ibrahim wyciągnął butelkę whisky, hipnotyzer podszedł do nas z kwiatami i nawet Luciano próbował powiedzieć kilka słów po angielsku. Sofii również spodobał się ten pomysł. Zaraz zaprowadziła nas do urzędu stanu cywilnego. Lucia mówiła niewiele. Przez cały czas trzymaliśmy się za ręce. Miała poważną minę. Ale w chwilach, gdy spoglądała na mnie, w jej oczach błyskało szczęście.

Ślub zawarliśmy o czwartej trzydzieści. Pod budynkiem czekały na nas samochody Sofii i hipnotyzera, którymi pojechaliśmy do ich willi, gdzie już wszystko przygotowane było do weselnego przyjęcia. Lisitano wszedł na siedemnaste pole kontaktowe i po powrocie z Palermo stwierdził, że przełącznik funkcjonuje prawidłowo. W domu i w ogrodzie wokół zastawionych stołów kręcili się przygodni goście.. Dostrzegłem wśród nich znajomego Sofii, którego przed trzema dniami podczas rozmowy z Melfeim wyrzuciłem z pokoju, gdzie stał telefon. Renato przybył ze swoją paczką. Jego koledzy patrzyli na mnie groźnie. Ekipa Luciano sprowokowała ich do bójki. Pobici, wycofali się za bramę i poszli po posiłki.

Raz jeszcze zadzwoniłem do Melfeiego.

— Czy pan wie, że przed kwadransem w Neapolu wybuchła panika?
— spytał. — Zamachowcy rozwiesili na murach plakaty z tekstem ultimatum. Ludzie uciekają z miasta.

— Niech pan natychmiast każe zwolnić wszystkich więźniów! — krzyknąłem.

— Signor Antonio. — W głosie Melfeiego pojawiła się nagle znajoma nuta rezerwy, z jaką zwracał się do Ibrahima w pierwszych dniach naszego pobytu na Capri. — Dlaczego przeszliście na ich stronę?

Gdybyście wierzyli w ten wybuch, nie zostalibyście w Sorrento.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z Lucią do ogrodu. Poszliśmy w kierunku płonącego ogniska. Wiał lekki, gorący wiatr. Usiedliśmy na trawie z dala od rozbawionych ludzi. Otoczył nas cień owocowych drzew. Z otwartego okna białego domu dobiegała muzyka. Pomarańcze kołysały się na tle błękitnego nieba. Blask niskiego słońca różowił szczyty odległych gór.

Lucia uśmiechnęła się do mnie.

— Antonio. — Rozejrzała się wokoło. — Zapamiętaj tę chwilę.

Nie od razu zrozumiałem, co miała na myśli.

— Sądzisz, że dnia naszego ślubu nie zachowam na zawsze w pamięci?

— O ślubie możesz zapomnieć.

— Więc o jakiej chwili mówisz?

— O tej zwyczajnej, jednej z wielu, która teraz obejmuje nas, całuje i odchodzi. Chciałabym, aby właśnie ona utrwaliła się w naszej pamięci. Ale proszę cię, pamiętaj tylko o tej jednej chwili i myśl o niej zawsze w oderwaniu od całego dnia.

— Dobrze. Będę ją pamiętał, i chyba zrozumiałem, jakie chwile są dla ciebie cenne. Ludzie przechowują w pamięci daty, numery dyplomów, terminy promocji, wspominają śluby i jakieś rocznice, urodziny i pogrzeby, wielkie wydarzenia oraz chwile innych znormalizowanych sukcesów i szablonowych klęsk. Gromadzą to wszystko, co zwyczajnie każą im pamiętać, co pasuje do rubryki, co nie złamie trybów liczydeł statystycznych i co nie tworzy ich autentycznego życia. A kiedy u schyłku dnia przychodzi rachmistrz spisowy, oddają mu to wszystko i zostają z niczym, bo nie mają takich chwil jak my.

Kwadrans po piątej wróciliśmy do pokoju. Ibrahim pił wino w towarzystwie pomocników Luciano. Wskazałem mu zegarek. Zaprosił nas do stołu. O wpół do szóstej zaczęliśmy Sofię i powiedziałem jej, która jest godzina. Podała mi gitarę. Wręczyłem ją Ibrahimowi. Lisitano tańczył z Eleną. Wszyscy pili i śpiewali. Cały czas zaciskałem dłoń na ręce Lucii. Siedziałem spokojnie. Nie chciałem, aby się wydało, że boję się bardziej niż inni.

Dopiero o siedemnastej czterdzieści Sofia wstała od stołu.

— Kochani — powiedziała. — Idziemy, bo zaraz wyrzucą nas z tego

kina.

Elena szukała torebki z kosmetykami. Ibrahim stroił gitarę. Lisitano zaś poszedł na górę po jakąś książkę, którą chciał zabrać na Sycylię.

— Do zobaczenia w Palermo! — zawołałem.

Porwałem Lucię za rękę i wyciągnąłem ją do ogrodu. Spojrzałem na szczyt góry. Szereg przełączników przesunął się z ulicy pod bramę. Była otwarta. Wprowadziłem Lucię na siedemnasty numer i stanąłem tuż przy niej.

Po sekundzie otoczył mnie tłum biegnących ludzi. Znajdowałem się na dużym placu pośrodku jakiegoś zbiegowiska. Demonstranci krzyczeli i machali transparentami. Przepychałem się między nimi w tłoku i zamieszaniu. Nigdzie wokoło siebie nie widziałem Lucii.

Przywoływałem ją przez dziesięć minut, aż zobaczyłem hipnotyzera i Sofię. Ponad głowami demonstrantów mignęła mi twarz Ibrahima. Krzyczał coś do mnie. Zrozumiałem, że Lucia nie została przeniesiona do stereonu w Palermo. Widział ją w Sorrento, jak biegła w stronę brzegu.

Gdy wynurzyliśmy się z tłumu, pobiegłem do pięćdziesiątego pierwszego przełącznika, zatrzymałem się na nim i wróciłem do Sorrento. Tymczasem wewnątrz tamtego ekranu przesunęło się w kierunku morza.

Stałem na wysokim brzegu. Rozpoznałem to miejsce. Gdzieś niedaleko w otwartym oknie gadało radio. Usłyszałem, że jest godzina osiemnasta. Przy ścieżce nad urwiskiem stał drogowskaz z napisem: „Ostello per la Gioventu”. Strzałka wskazywała wylot małej uliczki, z której wybiegła Lucia.

Miała łzy w oczach. Przytuliłem ją mocno do siebie.

— W Neapolu wybuchnie bomba! — krzyknęła.

Oddychała gwałtownie. Gorący wiatr targał jej włosy przy moim policzku. Spojrzałem w siną dal horyzontu. Neapol błyszczał w promieniach purpurowego słońca. Kiedy skłoniłem głowę w poszukiwaniu ust Lucii, nad widnokregiem rozbłysło widmo oczekiwanego wschodu. A gdy mrugnąłem, czując w źrenicach żar szalejącego w dali piekła, cały świat zawirował mi w oczach w powodzi biało-fioletowego błysku.

Wróć do Sorrento

Oto jestem. Od wielu dni przebywam w barwnym i jasnym mieście, które wypełnia ogromną przestrzeń pod kinoplanem Dachy Świata. Znalazłem w nim wszystko prócz rozwiązania tajemnicy naszego bytu. Mógłbym istnieć w nieskończoność, ale nie zamierzam pobić rekordu długości życia. W nadziei utrzymuje mnie myśl, że Lucia też żyje i podobnie jak ja błąka się gdzieś w tym wielomiliardowym tłumie. Z pewnością, gdybym jej wcale nie poznał, byłbym tutaj szczęśliwy, gdyż Ibrahim nie kłamał, opisując mi warunki, w jakich żyją ludzie dziewięćdziesiątego szóstego wieku.

Mam podstawy, by sądzić, że Lucia jest prawdziwa. Przemyślałem wielokrotnie całą naszą historię pobytu na Capri i w Sorrento. Nie znalazłem w niej ani jednej takiej sytuacji, w której Lucia wyszłoby poza ramy bloku stereonów.

Dlatego myślę, że ona jest żywa. Jednak nie przykładam do tego wagi. Będę jej tutaj szukał aż do dnia, gdy wybije moja godzina w kolejce do Ducha Świata. Wtedy wrócę na kinoplan i znajdę Sorrento, by połączyć się z nią w chwili, którą tak wyraźnie mi wskazała.

Bo Lucia tam czeka. Bez niej nie wyobrażam sobie przyszłości, i nie dbam już o to, czy wie, że tam, gdzie dominują cienie fikcyjnego świata, wśród sugestywnych złudzeń pojawia się niekiedy coś rzeczywistego, co jest pierwotne względem niedoskonałego ciała, choć równie jak ono ułomne, bez czego nie byłoby tych martwych słów i co kiedyś je ożywi — nieśmiertelna między mirażami dusza.

Warszawa, 1978

ADAM
WIŚNIEWSKI-SNERG
NAGI CEL



Wydawnictwo Literackie, Kraków, ul. Szpitalna 10, tel. 012 251 12 12, www.wydawnictwoliterackie.pl



Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Terrorysta](#)
[Na dachu świata](#)
[Widma stereonu](#)
[Wyspa](#)
[Ultimatum](#)
[Trzeci wymiar ekranu](#)
[Polowanie](#)
[Psychopatka](#)
[Sposób użycia](#)
[Instrukcje](#)
[Sen w blasku słońca](#)
[Ogród milczenia](#)
[Czas upiornego wschodu](#)
[Zarys przyszłości](#)
[Zobaczyć Neapol](#)
[Pod wulkanem](#)
[Czas dokonany](#)
[Dziewczyna z wyspy](#)
[Prawo do śmierci](#)
[Blokada](#)
[Zamachowcy](#)
[Zapamiętaj jedną chwilę](#)
[Wróć do Sorrento](#)